KAMENA

KWARTALNIK SPOŁECZNO LITERACKI

ROK XII (XX) LUBLIN NR 4 (90)

TREŚĆ

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA: Polski pisarz laureatem Nagrody Pokoju . . 1

MAREK ADAM JAWORSKI: Socjalizm to człowiek 3

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI: „I laur pod stopy padł żałobnie" . . . 5

JANINA BRZOSTOWSKA: Konstantemu Ildefonsowi Gałczyńskiemu . . . 7

ZYGMUNT MIKULSKI: Promień 7

STEFAN WOLSKI: S. F. Klonowicz (z „Poematu o Lublinie") 8

NIE UMRĘ ANI MNIE CZARNEMI STYKS NIEWESOŁA ZAMKNIE ODNOGAMI SWEMI 10

EUGENIUSZ GOŁĘBIOWSKI: Giordano Bruno 12

SEWERYN POLLAK: Uwagi o Czechowie 17

OLGIERD WOJTASIEWICZ: Słowo wstępne do poematu Ciu Juana . . . 24

CIU JUAN: Przywoływanie ducha — przeł. Olgierd Wojtasiewicz . . 26

ZYGMUNT MIKULSKI: Jesień warszawska 30

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI: Obława 34

BOHDAN MARCONI: Bitwa pod Grunwaldem 40

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI: Porządny obywatel — przeł. Bogdan Żyranik 43

A. KALININ: Ogień w stepie — przeł. Anna Jakubiszyn 45

KONRAD EBERHARDT: Czerwona i Czarna 47

ALINA RYBICKA: Wspomnienie 52

EUGENIUSZ KAPUSTA: Lekcja życia 56

JERZY KOLASINSKI: Lubelska muzyka ludowa 61

WACŁAW GRALEWSKI: Piosenka urzeka ziarno 64

HELENA PLATTA: Lipiński z Lubelszczyzny — rywal Paganiniego 68

JAN SZCZEPAŃSKI: Na marginesie pierwszego lubelskiego kursu wysokogórskiego 70

JAN NAGRABIECKI: Przyjaciołom młodości 72

MAREK ADAM JAWORSKI: Dlaczego w wierszach miłości tak mało? . . . 73

GRZEGORZ TADEUSZ LIPSZYC: O poziom krytyki teatralnej w Lublinie . . 74

RECENZJE: Jerzy Starnawski — Henryk Syska Opowieść o Romanie Zmorskim; Józef Nikodem Kłosowski — Michał Rusinek „Wiosna admirała"; Danuta Bieńkowska „Dach nad głową" 75

KRONIKA KULTURALNA LUBELSZCZYZNY: (g) — Działalność Lubelskiego Oddziału ZLP; (m. b.-r.) — Państwowy Teatr im. J. Osterwy; S. M. — Świetlice i domy kultury; W. G. — Jesienna wystawa okręgowa plastyków lubelskich; (w) — Wystawa prac Stanisława Noakowskiego; (r) — Projekt Domu Pracy Twórczej 78

Okładkę projektował FRANCISZEK SEIFERT

K A M E N A

KWARTALNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XII (XX) LUBLIN, 1953 Nr 4 (90)

Czas 2552/12/4

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

POLSKI PISARZ LAUREATEM NAGRODY POKOJU

Wśród dziesięciu nowych laureatów Międzynarodowych Nagród Stalinowskich „Za utrwalanie pokoju między narodami" jest trzech pisarzy: Howard Fast, Leon Kruczkowski i Pablo Neruda, a w latach poprzednich otrzymali to wysokie odznaczenie: Ilja Erenburg, Anna Seghers, Johannes Becher, Jorge Amado. Ten cenny dowód uznania dla wybitnego udziału literatury w walce o najistotniejsze potrzeby narodów akcentuje szczególnie mocno ścisłą łączność postępowej twórczości literackiej z życiem politycznym i dążeniami społeczeństw.

Minęło już przeszło dwadzieścia lat od chwili ukazania się „Kordiana i chama", w którym celność wyrazu artystycznego związana jest organicznie z czystością ideologii marksistowskiej. Dalsze międzywojenne powieści Kruczkowskiego „Pawie pióra" i „Sidła" również charakteryzowały autora jako pisarza bezkompromisowo demokratycznego nieprzeciętnej miary. Po tragicznych latach okupacji powstała jego sztuka „Odwety", wymowny obraz dramatu pewnego odłamu młodzieży, obałamuconego przez prowodyrów reakcyjnego podziemia, a wkrótce potem ukazują się „Niemcy" — wydarzenie polityczne i literackie w skali międzynarodowej. Ciemny czas „pogardy" nie tylko nie osłabił, ale przeciwnie pogłębił walczący humanizm, który jest cechą zasadniczą twórczości Leona Kruczkowskiego.

Ażeby ocenić w pełni wagę znakomitej sztuki Kruczkowskiego, przypomnijmy sobie główne założenie „Niemców", polegające na tym, że nasze spojrzenie na naród niemiecki z okresu hitlerowskiego powinno być polityczne i historyczne. Należy dostrzec w tym społeczeństwie „zwykłe społeczeństwo cywilizowane, podobne do innych", — zaznaczał autor. „Społeczeństwo to jednak w określonych warunkach historycznych zostało przez określone siły społeczne, k l a s o w e, przez określony system ideologiczny, odpowiednio spreparowane, urobione w sposób, który doprowadził do tego, co widzieliśmy podczas wojny... Emocjonalny punkt widzenia uniemożliwiłby wszelkie polityczne koncepcje rozwiązania problemu niemieckiego, wszelką myśl o „reedukacji" pohitlerowskiego społeczeństwa".

W „Niemcach" ukazane są różne aspekty winy burżuazyjnej inteligencji, która przyczyniła się masowo do długotrwałego zmierzchu człowieczeństwa w narodzie niemieckim i do jego klęski.

Jak wiadomo, utwór, którego epilog ma akcenty optymistyczne, wywarł w Berlinie ogromne wrażenie. „Była to godzina zastanowienia a zarazem poznania, za pomocą jakich środków może naród niemiecki odzyskać zaufanie innych narodów", — mówił o przedstawieniu jeden z niemieckich antyfaszystów, więzień obozów koncentracyjnych. Sztuka Kruczkowskiego, grana nie tylko na wielu scenach polskich, nie tylko w NRD i licznych miastach innych krajów europejskich, ale nawet w dalekim Tokio, przyswajała społeczeństwom ideę pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego, jednego z kluczowych zagadnień ruchu obrony pokoju.

A oto niedawno powstało nowe dzieło Leona Kruczkowskiego przepojone humanizmem — rzecz o Rosenbergach „Juliusz i Ethel", której prapremiera odbędzie się w Teatrze Polskim w Warszawie. Już obecnie tłumaczą ją na języki: rosyjski, francuski, niemiecki i czeski. Znaczenie szerokiej popularności utworów polskiego pisarza, bojownika o pokój i sprawiedliwość społeczną, nie wymaga komentarza.

Wzorowa jest harmonia między twórczością literacką a życiem autora „Niemców", który potępił profesora Sonnenbrucha za odizolowanie się od rzeczywistości, wysuwając doniosły problem postawy intelektualisty wobec walki politycznej. Leon Kruczkowski stanął od razu po wyzwoleniu w awangardzie działaczy nawołujących do zespolenia wysiłków dla obrony pokoju i cywilizacji. Był jednym z organizatorów Wrocławskiego Kongresu Intelektualistów, zgromadzenia międzynarodowego, które stało się punktem wyjścia światowego ruchu na rzecz pokojowej współpracy i braterstwa narodów. Hasła kongresu, odbytego w prastarym grodzie polskim, dotarły na wszystkie kontynenty, słowo „Wrocław" było na ustach ludzi różnych ras i narodowości.

Potem reprezentuje Kruczkowski nasz naród na kongresach w Paryżu i Warszawie, na sesjach Światowej Rady Pokoju w Wiedniu, Sztokholmie i Berlinie, przemawia na wiecu w Nowym Jorku do 20 tysięcy ludzi.

W dniu 11 marca r. 1949 podpisał Leon Kruczkowski, wraz z innymi przedstawicielami Polski, historyczną odezwę Międzynarodowego Komitetu Łączności Intelektualistów w obronie pokoju, skierowaną „do wszystkich organizacji demokratycznych i działaczy postępowych wszystkich krajów, — do związków zawodowych, organizacji kobiet i młodzieży i ich międzynarodowych zjednoczeń, do organizacji chłopskich, spółdzielczych, religijnych wszystkich krajów, do organizacji intelektualistów, uczonych, pisarzy, dziennikarzy, działaczy sztuki, postępowych posłów, występujących w obronie pokoju..."

Trudno czytać bez wzruszenia napisane prawie przed czterema laty prorocze słowa tego apelu o zwołanie Światowego Kongersu Zwolenników Pokoju w Paryżu: „Stanie się on wielką manifestacją ludzkości, która pragnie pokoju i ma dość siły, aby zwyciężyć ciemne machinacje potentatów pieniądza". W tym okresie, kiedy mówiono już coraz głośniej o „metodycznym szaleństwie dolarowego imperializmu", pisał Leon Kruczkowski w „Trybunie Ludu" (Nr 54 z r. 1949): „...dla intelektualistów całego świata nie jest już możliwa postawa „neutralności" wobec rozgrywającej się dziś walki między obozem pokoju a spelunkami machinacji wojennych. Muszą oni określić — i coraz wyraźniej określają — swoje miejsce i swój udział w tej walce". Ten właśnie motyw, ten sam, rozwinięty jest konsekwentnie w „Niemcach". Kruczkowski jest jednym z tych czołowych pisarzy polskich, którzy wyczuwali od początku swej działalności powojennej, że intelektualiści najbardziej są odpowiedzialni za świadomość narodów, że najpilniejszym ich obowiązkiem wobec ludzkości jest przekazanie światu pracy hasła walki o pokój, że plugawe rachuby imperialistów będą przekreślone z chwilą, gdy szerokie masy wszystkich krajów staną w obronie pokoju.

Wyróżniony zaszczytną Nagrodą Stalinowską, Leon Kruczkowski oświadczył, iż nagroda ta jest nie tylko oceną osobistych jego zasług, ale „zarazem dowodem gorącego uznania dla wszystkich bojowników o pokój w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej". Istotnie już Krajowa Narada Obrońców Pokoju w marcu 1949 roku — po której mieli wyjechać na Kongres Paryski m. in. pisarze: Władysław Broniewski, Jan Dobraczyński, Pola Gojawiczyńska, Adam Grzymała-Siedlecki, Jarosław Iwaszkiewicz, Zofia Nałkowska, Jan Parandowski, Ewa Szelburg-Zarembina, Leopold Staff i Julian Tuwim — zgromadziła przedstawicieli milionów naszych obrońców pokoju. Toteż całkowite pokrycie miały słowa Jerzego Borejszy: „Z dumą jedziemy na kongres do Paryża. Z dumą dlatego, że należymy do potężnego obozu pokoju, na czele którego stoi Związek Radziecki, z dumą dlatego, że w tym obozie stanowimy jedno z potężnych ogniw".

Pamiętamy dobrze skandaliczną historię odmowy wiz wjazdowych większości delegatów polskich, pamiętamy, że część Kongresu odbyła się równolegle z Kongresem Paryskim w Pra-

dze. Szykana rządu francuskiego, wykonującego rozkazy Wall Street, była jaskrawym objawem taktyki tych, co według trafnego określenia Pawlenki — „bogacą się dzięki wojnie i tracą na pokoju". Lecz wszystkie ich wybiegi nie są i nie będą zdolne zahamować najpotężniejszego w dziejach ludzkości ruchu—walki o pokój światowy.

Jest to zaszczyt niezrównany być w czołowych szeregach armii pokoju.

Maria Bechczyc-Rudnicka

MAREK ADAM JAWORSKI

SOCJALIZM TO CZŁOWIEK

Bardzo łatwo potrafimy się przyzwyczajać. Bierzemy do ręki gazetę. Ze szpalt rzucają się w oczy tłuste czcionki mówiące nam, że oto nowy obiekt Planu 6-letniego rozpoczął produkcję. Traktujemy już to jako sprawę codzienną, naturalną. Niejednokrotnie nie zastanawiamy się nad przeczytanym artykułem czy notatką. Przeczytanym? Często przecież ograniczamy się tylko do spojrzenia na tytuł wiadomości, który np. mówi o tym, że Fabrykę Samochodów Ciężarowych w Starachowicach opuścił 10-tysięczny samochód (w marcu), albo też, że cementownia „Wierzbica" dała krajowi (w czerwcu) pierwszy cement... A już na palcach możemy chyba policzyć w ciągu roku dni, kiedy przeglądając jakiekolwiek pismo zatrzymaliśmy wzrok na ogłoszeniach. Zobaczylibyśmy wtedy, że przeważają wśród nich takie, które mówią o wolnych posadach, o poszukiwaniu przez przedsiębiorstwa inżynierów, techników, majstrów, robotników...

Ale pracy jest w Polsce dosyć — aby ją znaleźć, nikt nie musi przeglądać ogłoszeń.

Jakiż to kontrastowy obraz w porównaniu z sytuacją w Polsce przedwrześniowej... Dwa lata temu, nakładem „Naszej Księgarni", ukazał się wstrząsający zbiór pamiętników, chłopów, inteligencji pracującej, studentów. Zbiór ten stanowi ciężkie oskarżenie ustroju kapitalistycznego, który deptał godność człowieka, zamykał drogę do przyszłości.

„Gdy nadszedł mróz i śnieg — pisze warszawski murarz — począłem pracować przy śniegu. Każdy dzień zapracowany wypłacają co dzień po ukończeniu godzin pracy po zł. 7 gr 50. Ale ta praca to nie stała, bo chcąc się do niej dostać, to trza było przyjść na dzielnicy do wyznaczonego miejsca o godzinie 2 w nocy i stać do przyjęcia aż do rana do 6. Czasem dostał się człowiek, a czasem nie, bo był nad liczbę z kolei, bo przyjmowali nie zawsze jednakowo, raz 100 osób, a drugi raz 150, a pozostałe osoby musiały zmarznięte i głodne pójść do domu. Otóż i ja byłem tam. Postanowiłem koniecznie się dostać do pracy, by zarobić te parę złotych. Co było robić? Trzeba było czekać od godz. 10 wieczór aż do rana, to wówczas byłem dopiero z kolei 22, to jakżem zobaczył, to mi włosy na głowie stanęły, bom myślał, że będę pierwszy, a tu tylu ludzi. Przestałem tę bożą noc i otrzymałem numerek do pracy od godz. 6 rano do 2 po południu. O głodzie i zmarznięty na mrozie poszedłem do pracy, mało ze mnie duch nie wyleciał. Przepracowałem te parę godzin w mękach, nie z lenistwa, tylko z zimna, o czczym żołądku. To było gorsze jak katorga za czasów carskich".

Można by przytoczyć wiele podobnych wypowiedzi. Świeże są jeszcze wspomnienia tamtych lat, niejeden mógłby do nich dorzucić garść gorzkich słów. Powróćmy jednak do dnia dzisiejszego.

Pomiędzy przytoczonymi przeze mnie faktami — uruchamianiem nowych obiektów przemysłowych i poszukiwaniem rąk do pracy — istnieje ścisła zależność. Fabryki, huty, kopalnie, gmachy mieszkalne i szkoły nie zjawiają się jak przysłowiowa manna z nieba; wznosi je c z ł o w i e k, wyzwolony z krępującego go pancerza kapitału, wznosi je po to, aby pomnażając ogólnonarodowy dobytek — służyły c z ł o w i e k o w i.

Nie ma więc chyba miesiąca, w którym nie nadeszłaby ważna wiadomość z frontu budowy.

Najpotężniejsza elektrownia w kraju — Jaworzno II rozpoczęła produkcję, 20-tysięczny traktor „Ursus" opuścił fabrykę, Warszawa otrzymała jeszcze jeden klejnot — Stare Miasto, ruszył wielki piec huty im. Bolesława

Bieruta w Częstochowie, nastąpił rozruch pierwszej części kombinatu chemicznego w Kędzierzynie — to tylko nieliczne meldunki spośród tych, które w ub. r. widzieliśmy w prasie.

Zmienia się wygląd naszego kraju, zmieniają się ludzie. Coraz więcej kominów fabrycznych, szybów wiertniczych, coraz więcej traktorów, przeorywujących pola, coraz więcej rozpogodzonych twarzy — może to łatwo zauważyć każdy przybywający do Polski gość z zagranicy, jeśli nie zatracił poczucia zdrowego rozsądku, jeśli ma oczy szeroko otwarte. Zwróciła na to uwagę delegacja francuskich deputowanych, przeważnie przedstawicieli partii burżuazyjnych lub drobnomieszczańskich i dała wyraz swoim entuzjastycznym wrażeniom po powrocie do swego kraju.

Te kominy fabryczne i pogoda ludzi, którzy je wznoszą, stanowią naszą rosnącą siłę. Muszą się z nią liczyć ci, którzy przy pomocy zbankrutowanych generałów hitlerowskich ponownie snują plany przekształcenia Polski w „Generalną Gubernię"...

Czyż trzeba jednak dodawać, jaka jest obecnie sytuacja międzynarodowa? Porównajmy rok 1954 z rokiem 1939, a nawet 1949! Spójrzmy na granitową jedność narodów od Łaby po Szanghaj. Tylko szaleniec mógłby marzyć, że chłop chiński, zaszantażowany bombą wodorową, dobrowolnie odda się w zależność „własnych" feudałów, a robotnik węgierski pokornie schyli głowę przed amerykańskim czy angielskim kapitalistą, przekazując mu klucze do s w o j e j fabryki. Zresztą i szantaż bombą wodorową należy dzisiaj do przeszłości, a doświadczenia koreańskie są jeszcze dość świeże dla wielu współczesnych zwolenników błyskawicznej wojny. Nawet senator McCarthy musiał stwierdzić pół roku temu, a jego wypowiedź może być chyba uważana za kompetentną: „Ponieśliśmy wielką klęskę w Korei". A czasopismo „Time" wtórowało smętnie: „Najpotężniejszy kraj na świecie po raz pierwszy nie potrafił wygrać wojny, którą prowadził".

A spójrzmy na sytuację w Europie Zachodniej, na wielką walkę narodu francuskiego z amerykańskim imperializmem. Czyż fakt, że dopiero podczas trzynastego głosowania burżuazja francuska zdołała dokonać wyboru prezydenta, nie ma swojej wymowy?

Pilnie śledzimy sytuację międzynarodową. Cieszy nas potężniejąca na całym świecie walka narodów w obronie pokoju.

Nasz kraj pod względem produkcji przemysłowej znajduje się dzisiaj na piątym miejscu w Europie. Zabezpieczenie w Polsce trwałej bazy przemysłowej, wzrost sił obronnych, korzystne zmiany w sytuacji międzynarodowej — oto najważniejsze czynniki, które wpłynęły na to, że obecnie możemy większą niż dotychczas uwagę zwrócić na rozwój przemysłu lekkiego, konsumpcyjnego.

IX Plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej ogłosiło tezy do dyskusji na II Zjazd Partii. Podkreślając nasze osiągnięcia, Plenum wskazało na braki, które musimy przezwyciężyć. Przezwyciężyć, by szybciej kroczyć naprzód.

W referacie Przewodniczącego Partii, towarzysza Bolesława Bieruta i w wypowiedziach poszczególnych dyskutantów na Plenum, z całą ostrością stanęło zagadnienie jak najszybszego usunięcia dysproporcji między prężnym przemysłem a słabo rozwijającym się rolnictwem. Wyraźnie podkreślono, że w obecnej chwili należy dołożyć wszelkich starań, aby wydobyć rezerwy, tkwiące w indywidualnej gospodarce chłopskiej, nie zapominając jednocześnie o budowie spółdzielni produkcyjnych na trwałych podstawach, na świadomości i zamożności chłopów.

Sprawa spółdzielczości produkcyjnej nadal jest sprawą pierwszej wagi, tym bardziej, że popełniono tu sporo poważnych błędów, które niekiedy nawet, zwłaszcza w Lubelszczyźnie, osłabiły zaufanie chłopa do władzy ludowej. Wielu wartościowych, ofiarnych aktywistów partyjnych, robotników, błędnie uważało, że im gorzej będzie chłopu, tym prędzej wstąpi on do spółdzielni. Wulgaryzowali oni często zagadnienie sojuszu robotniczo-chłopskiego sądząc, że teorii nie można pogodzić z praktyką, że co innego mówi książka a inne prawa dyktuje życie. I stąd niejeden aktywista widział swoją rolę jedynie w komenderowaniu chłopstwem, nie odróżniając przy tym często średniaka od kułaka, gubiąc się w problemach wiejskich, a nawet — często mimo woli — staczając się na pozycje lewackie, nie mniej wrogie i szkodliwe od ataków z prawej strony barykady.

Wielka zasługa naszej partii, Polskiej Zjed-

noczonej Partii Robotniczej polega na tym, że zawsze potrafi wskazać całemu narodowi najwłaściwszą drogę, umie poprowadzić go od jednego zwycięstwa do drugiego, jeszcze większego, jeszcze wspanialszego. A czyni to poprzez śmiałe, otwarte wytknięcie błędów, poprzez ostrą krytykę, która uzdrawia, która skierowuje główne uderzenie na zasadniczy odcinek walki.

A walka toczy się u nas stale z tym samym wrogiem, któremu na imię kapitalizm. Dzisiaj bastionem kapitalizmu, ogniskiem wojny i faszyzmu stały się Stany Zjednoczone, które pragnęłyby znaleźć oparcie w naszym narodzie. Daremny to trud, bezskutecznie władcy Białego Domu wyrzucają dolary na potrzeby wątpliwej wartości agentów.

Będziemy nadal wznosić nasze wielkie obiekty przemysłowe. Coraz więcej samochodów, motocykli i rowerów polskiej produkcji pomknie po naszych szosach o nowej nawierzchni. Coraz więcej nawozów sztucznych użyźni glebę, która da bogatsze zbiory zboża i ziemniaków. Coraz więcej rodzin robotniczych sprowadzi się do jasnych mieszkań. Ruszą elektrownie na Wiśle i Bugu, popłynie prąd do najmniejszych wsi i osad, w których przez lata rządów sanacji nic się nie zmieniało, poza tym, że głód bardziej dławił gardła...

A nasze dzieci będą z pierwszych poznanych liter alfabetu składać proste słowa, przemawiające do każdego: socjalizm to człowiek, socjalizm to pokój.

Marek Adam Jaworski

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

„I LAUR POD STOPY PADŁ ŻAŁOBNIE"

Tuwim nie żyje. Krótka informacja radiowa w ów poniedziałek poświąteczny jak tępe uderzenie pałką po głowie. Zaglądam do listu od niego sprzed miesiąca. Końcowe słowa: „wkrótce będę w Zakopanem". I właśnie w Zakopanem... Jakby po to tylko tam pojechał. „Magnis itineribus ku śmierci płynę..." „Jak brzytwą masło, tak przetnie mózg; jak kamień w wodę-cicho: plusk."

Odszedł bliski, swój człowiek, z którym poprzez jego słowo obcowało się od wczesnych lat młodzieńczych. I dlatego teraz wydaje się, że wraz z jego śmiercią oderwała się ode mnie część mej przeszłości — poetycka młodość. Pozostało tylko kilka listów, dedykacja na „Lutni Puszkina" i wszystkie zbiorki poety uszeregowane na półce. Ale przecież w nich, tylekroć odczytywanych na nowo, zamknął się bez reszty i żyje nadal.

Odsłonił mi piękno Poezji Nowej, którą witał w pierwszym i ostatnim wierszu swego wspaniałego debiutu. Poezja urzekła mnie już wcześniej: Staff, Briusow, Verhaeren. Ale „Czyhanie na Boga" i „Sokrates tańczący" to była rewelacja: odkrycie prawdy, że cały świat ocieka poezją, jeśli twórca potrafi znaleźć właściwe nań spojrzenie i utrwalić je w słowie odkrywczym, jedynym i niezastąpionym. Że można pisać wiersze o rwaniu czereśni, spacerze po ulicy, pustym domu, w którym wiatr hula, o „zbirach, katach, wyrzutkach", o staruszkach, ludziach stojących przy ścianie, czerwonych plwocinach suchotników, o Żydach, nożowcach, nudnej stacyjce kolejowej i tylu, tylu innych, nietkniętych dotąd przez poetów sprawach. Ograny temat wiosny można ująć w taki zaskakujący, nowy i na pozór odpoetyczniony sposób. Że ukochaną kobietę można w wierszu nazwać „dziewką" i tym epitetem jeszcze bardziej podkreślić siłę uczucia. Że nawet akt płciowy można poetycko udyskretnić.

I to bałwochwalcze uwielbienie życia, ta pogańskość, ten „skok barbarzyńcy, który poczuł Boga". Byłem pijany od tych wierszy, które przypinały mi skrzydła. Próbowałem sam latać. Terminowałem u Tuwima, jak on u Staffa. Że zrzynałem z niego nastroje i przenośnie — mniejsza o to. Była to dobra szkoła.

Już same tytuły ukazujących się zbiorków uderzały pięknem i trafnością. Któż z nas nie „czyha na Boga", budując w sobie Człowieka? Pijana mądrość „Sokratesa tańczącego" (nie znałem wtedy Hafisa). Miłość, która przetrwała „siedem jesieni". „Słowa we krwi" — to znaczy z męką wydobyte z samego serca. Cudowna w zestawieniu słów „Biblia cygańska". Norwidowsko-kochanowska „Rzecz czarnoleska". „Treść gorejąca",

bo jakąż inną zawierać mogą słowa we krwi skąpane? I tylko odbiegają od tego przekorny w swej suchości tytuł „Poezyj tom 4" i jakżeż wymowne w swej prostocie wojenne „Kwiaty polskie".

A jednocześnie z nową treścią jaka forma! Co za bogactwo języka, którego panem czuł się wszechwładnym! Ten „człowiek-wiersz", „logofag" był nie tylko żonglerem niewolniczo posłusznych mu wyrazów, ale przede wszystkim, jak właśnie sam się określił, „wtajemniczonym słowożercą". W istotę słowa wtajemniczały go pożółkłe starodruki, klasycy naszej mowy, grube słowniki. Nie tylko genialny talent, ale i pasja twórcza, zacięta praca. Ta dociekliwość słowa — „wtargnąć wewnątrz", wdzieranie się w jego rdzeń najgłębszy — „jarząc (to znaczy: prażąc jarem, pra-jarem ognia)", to tropienie „źródłosłowin" i „śródsłowin", czego klasycznym przykładem jest jedyny chyba na świecie poemat językoznawczy „Zieleń". To żarliwe umiłowanie „ojczyzny-polszczyzny".

Tak, miał prawo powiedzieć o sobie: „ja, co mowy tej caliznę do dna miłością przeorałem".

I słowo stało się ciałem. „Drgnęło-więc: życie". I żyją, najwyraźniej ocieramy się o nich, ci ślepcy, co to „kijkiem w bruk: puk, puk, kijkiem w ścianę: stuk, stuk, tu latarnia, tu próg-idą do restauracji grać na skrzypcach przy kolacji", i pachnie ten świeży, mokry bez, którego „narwali", „nadarli", „natargali", „nanieśli", i namacalnie czujemy tę martwą naturę „Magazynu gastronomicznego", tę „pornografię wspaniałego żarcia", i stąpamy realnie po tym lesie, gdzie „na twardych korzeniach ślisko, na mchu głęboko i miękko", chłoniemy jego piękno wszystkimi pięciu zmysłami. Tu naprawdę: pisać to znaczy tworzyć.

Serce Tuwima kocha i nienawidzi. Kocha nędzarzy, chorych, kaleki, nieszczęśliwych, prześladowanych, maluczkich. Ludzie „zdyszani", biegnący „do najbliższego doktora", „czekający w aptekach", „wygwizdani w teatrze" nawet „spóźnieni na pociąg", garbus, którego kalectwa nie zasłoni najpiękniejszy krawat, biedny telegrafista z prowincji, człowiek upadający pod ciężarem dębowego kufra, furman „w Krościenku na odpuście" to ludzie bliscy jego sercu. I ona, której oddał „każdy sen i drgnienie, każdy nerw ciała, każdy ruch i krok", w której oczach jest „wszystko: i Bóg, i Polska, i dom ojczysty". I największe jego umiłowanie „Miła Panna, słowu miła" — „Dziewczyna — nieśmiertelna Sztuka".

A nienawidzi „możnych i tyranów", zbrodniarzy, co „krzyż mają na piersi i brauning w kieszeni", „królów z panami brzuchatymi", co judząc do wojny „prostemu człowiekowi" karabin pchają do garści, kapitalistów, bankierów i fabrykantów, faszystów i rasistów, „ferajny durniów i szumowin", „strasznych mieszczan", ich tępoty i płaskości.

Ale widząc wyraźnie zło, Tuwim początkowo tylko z wysokości „poetyckiej Teologii" „piorunował ziemski rząd". Wystarczyło mu „ludzkiego buntu boże słowo", „kula z sześciostrzałowej, błyszczącej piosenki", trujące żądło satyry i prorocze: „biada tobie, Niniwe".

I trzeba było ostatniej wojny i jej doświadczeń, które nie oszczędziły i poety, by w dalekiej Ameryce zakwitły „Polskie kwiaty" wraz z poetycką deklaracją praw człowieka, widzącego w przyszłej Polsce „inną drogę do wolności". „A kiedy lud na nogi stanie, niechaj podniesie pięść żylastą: daj pracującym we władanie plon pracy ich we wsi i miastach, bankierów rozpędź — i spraw, Panie, by pieniądz w pieniądz nie porastał". „Pyszniącym się, nadymającym strąć z głowy ich koronę głupią". „Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość — sprawiedliwość".

I jeszcze jeden powód do wdzięczności. Tuwim odsłonił nam urodę poezji rosyjskiej i radzieckiej, z której piękna nic w swych arcyprzekładach nie uronił. Dla mnie osobiście odkrył Błoka i Majakowskiego, których w owych latach wydania książeczki „Błok-Briusow" i „Obłoku w spodniach" w oryginale nie znałem. I jego niedościgniony przykład, przykład tłumacza-twórcy pchnął mnie na długą i pełną radosnego trudu drogę przekładowcy.

„Nie kwiatami, lecz zbożem zasiewajmy groby" — pisał w jednym z „wierszy ocalałych". Oby grób jego mógł się stać dla młodych poetów Polski Ludowej takim „żywiącym grobem"!

Kazimierz Andrzej Jaworski

JANINA BRZOSTOWSKA

KONSTANTEMU ILDEFONSOWI GAŁCZYŃSKIEMU

Po cóż było się tak śpieszyć, kolego?
Nieopatrznie, nagle odchodzić?
Na dalekim, nieznanym brzegu
czy nie zabłądzisz?

Nie obawiaj się niczego, nie lękaj!
Ocaliłeś od zapomnienia
gwiazdę śniegu na łokach żony,
rąk matczynych przytulenia...

Leśniczówkę nad olsztyńskim jeziorem,
dzikie wino na gzymsach muru,
ów na szybie promień księżyca,
w którym nieraz maczałeś pióro...

Na poezji zielonych wzgórzach
zostawiłeś ślad swoich kroków...
Kwitły słowa twoje jak róże,
gdy śpiewały pracę i Pokój!

A że bardzo życie ukochałeś,
więc przyjmując cię w kompanii poczet,
i Wit Stwosz, i Corelli i Breughel
żałowali cię, żeś od nas odszedł.

Janina Brzostowska

ZYGMUNT MIKULSKI

6 grudnia 1953 roku w Warszawie zmarł Konstanty Ildefons Gałczyński

PROMIEŃ

To był walc poważny alejami liści
I piszczałki złote i muzyczna rosa.
I chwila za chwilą. I chmur było przyjście.
I księżyc był w chmurach jak grzebień we włosach.

Płynęły ptaki i nieba i rzeki,
krzew z ptakami z blaskiem rozkwitał dopiero.
I nagle. Nuty ptasie i gwiezdne i błękit
w Acheront.

Ściany twego domu jak nokturn otwarty.
Umarłeś. Echo kroków upadło ze ścian tych.
Patrz. Serafin śpi tutaj o swiecę oparty,
o, Konstanty srebrny, szalony Konstanty.

Gdy mówiłeś, w twą rosnącą mowę
wchodził wiatr, jak drogą szedł najszerszą.
Nawet księżyc i godziny południowe
przystawały, by napatrzeć się twym wierszom.

Bo w tych wierszach słońca, nieba kawał,
kosz z ptakami, dźwięki, proste dziwy.
A gdy ktoś by smutny, to twój wiersz przystawał
jak ktoś mądry obok i jak ktoś życzliwy.

Noc za oknem. A na szybie skaza.
Noc, jak cień rosnący na ciemnych obrazach.
Tylko nuta ostra i nuta napięta.

Jedna tylko gwiazda świeci ponad chmurą,
jak szczyt smyczka srebrny ponad partyturą,
jak w twym wierszu nagła, muzyczna pointa.

*

I liście i listki
i bas i światła wszystkie

i dźwięki i tony
i znów liść zielony

rzeczy, rzeczy, rzeczy,
rozgwar spraw człowieczych

wiązane co rano
mową układaną

chwila, chwila każda
i gwiazda i gwiazda

ptaki gadające
i słońce i słońce

i w sercu skurcz nagły
zostały, zostały.

A on zawsze wróci z daleka i znikąd
a przypłynie burzą, odpłynie muzyką,
jeszcze wróci jak w serce słoneczny bumerang,

w lekkość i w sen wejdzie, za promieniem stanie
księżycowym, nocą, i rozsrebrzy granie,
wszystkie bzy i gwiazdy z kluczy pootwiera

on — ten wiatr cygański, dźwięczność i natchnienie,
światło, co rozbłyska i milknące cienie,
zieleń nagła z dna nagłej zieleni

on — nieustępliwy, złoty i srebrzysty
ton idący ku nam z wielu strun najczystszych,
deszcz ze słońc wiosennych. I z chmur. I z promieni.

Zygmunt Mikulski

STEFAN WOLSKI

S. F KLONOWICZ

(fragment z poematu o Lublinie)

Wieczór go co dnia wabi na lubelskie wały,
ziemia [illegible] woła kłośna, rodna: jak pierś pełna.
Oto sady od jabłek złociste i białe..
Oto młyny ... W nich mąka, jak chmur letnich wełna...

Tam gdzieś Wisła... A Wisłą do Gdańska spławiają
flisy wory pszenicy: bogactwo tej ziemi.
A przecież w chłopskich chatach nie ma urodzaju;
chłodniej ciągle tam, głodniej i wciąż coraz ciemniej.

Nie kołyszą tych myśli zimne miasta mury,
chociaż zorza nad lasem, niby panna młoda...
Niżej pola podobne do gradowej chmury,
w radliny ułożone, jakby w fale woda.

Kto je sochą przeorał, kto odwrócił radłem?
I dla kogo? dla kogo? na czyje pociechy?
Człowiek, co je zaorał ,nie powie: „Stąd jadłem...
i stąd dostatek płynął pod dach mojej strzechy".

Poeta! On łez gorzkich oglądał nie mało
i bogactw karmazynów, biskupów i panów;
on wie, — na każdy trzos ich setki rąk orało;
na żyznej od łez ziemi wschodziło to wiano.

Hej, niebo już nad lasem, jak we krwi kałuży,
a słońce w tej krwi, w złocie, w lazurze i w żółci...
Przyjdzie czas — któraś zorza krew żywą wywróży
i niedolę człowieka na ziemi odwróci.

❀

Gaśnie płomień zachodu, wieczór senne oczy
przymrużył, łąki dymią mgłami, jak war w balii,
i księżyc, jakby światło w strudze mleka moczył...
i jaśmin pachnie mocno... A w domu konwalie...

Piękny byłby świat. piękny! — szeroki, bogaty;
i życie by spokojnie..., miękko, jak w kolasie,
gdyby ludziom po równo... A tak — oto chaty:
ów płacz, co go ręka żadna nie przygasi...

Szeptać poecie będą dziś tych chat westchnienia
nocą, gdy przy kaganku pisać będzie wiersze
i z szorstkiej jeszcze mowy, jak rzeźbiarz z kamienia
dobywać będzie rymów kształt prawie najpierwszy

A widzieć będzie w sobie i rajców, i targi
czasu swego, i tamte — Jagiełły, i inne...
i pachołka chudzinę, który sine wargi,
jak pieczęć... na dłoń pańską, jak gdyby był winny

że na stróży przy koniu pańskim do wieczora...
że przy koniu pobiegnie, jak pies koło nogi,
jak wyjęta z snu złego krew czująca zmora...
A chudziak wołać będzie: „Pan jedzie! Hej! Z drogi!...

Jedno tylko dla niego zakryte zostanie
w tej chwili, gdy jak drzewo wiosną puści pędy
myśli twórczej i kiedy, jak sól w świeżej ranie,
poczuje prawdy gorycz i szczęście, że tędy,

właśnie tędy go droga prowadzi, gdzie ciernie;
jedno zakryte będzie: że na rynku owym,
co się za ciemnym oknem pośród nocy czerni,
księgi jego zapłoną na stosie sosnowym...

Stefan Wolski

NIE UMRĘ ANI MNIE CZARNEMI STYKS

KOCHANOWSKI — CZŁOWIEK I OBYWATEL

Ale to grunt wesela prawego,
Kiedy człowiek sumnienia całego,
Ani czuje w sercu żadnej wady,
Przeczby się miał wstydać swojej rady.

Pieśni, I, 2

Cnota skarb wieczny, cnota klenot drogi;
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda;
Nad wszytkiem inszem panuje przygoda.

Pieśni, II, 3

Nie porzucaj nadzieje,
Jakoć się kolwiek dzieje:
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złej chwili piękny dzień przychodzi.

Pieśni, II, 9

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże.

— — — — — — — —

Zwycięstwo liczby nie chce - męstwa potrzebuje.

Pieśni, II, 19

A jeśli komu droga do nieba otwarta,
Tym, co służą ojczyźnie.

Pieśni, II, 12

Wy, którzy Pospolitą Rzeczą władacie,
A ludzką sprawiedliwość w ręku trzymacie,
Wy, mówię, którym ludzi paść poruczono
I zwierzchności nad stadem bożym zwierzono:

Miejcie to przed oczyma zawżdy swojemi,
Żeście miejsce zasiedli boże na ziemi,
Z którego macie nie tak własne rzeczy,
Jako wszytek ludzki mieć rodzaj na pieczy.

Pieśni, II, 14

Bodaj wszytkich mąk skosztował,
Kto naprzód wojsko szykował
I wynalazł swoją głową
Strzelbę srogą, piorunową.

Jakie ludzkie głupie sprawy
Szukać śmierci przez bój krwawy!
A ona i tak człowieczy
Upad ma na dobrej pieczy.

Pieśń świętojańska o Sobótce, X

NIEWESOŁA ZAMKNIE ODNOGAMI SWEMI

KOCHANOWSKI — ARTYSTA

I wdarłem sie na skałę pięknej Kaliopy,
Gdzie dotychmiast nie było znaku polskiej stopy.

Psałterz Dawidów, Dedykacja

... Trzęsła się w swym gruncie ziemia na wszytki strony.
Trzęsły sie góry, bo Pan był gniewem wzruszony.
Dym sie kurzył z nosa Jego, oczy pałały
Żywym ogniem, a z oblicza węgle strzelały.
Schylił nieba i spuścił sie: ćma nieprzejrzana,
Ogromna pod nogi Jego była posłana.
Siedział na lotnym cherubie, na nieścignionych
Skrzydłach latał akwilonów nieujeżdżonych,
Oblókł sie w noc, swą stolicę mgłami osadził,
Chmury w koło i ogromne burze zgromadził.
Ale zebranych ciemności mgłę zapalały
Łyskawice; grad i żywe węgle padały.
Zagrzmiał niebem Pan i wyrzekł słowo straszliwe,
Grad leciał, a z gradem węgle padały żywe.
Ruszył gromów i wypuścił ogniste strzały
A wnet okrył wszytki pola martwemi ciały.
Gniew Twój, Panie, rozdął morza, gniew przeraźliwy
Rozsadził ziemię i odkrył jej grunt leniwy.
Miłosierną rękę swoję z wysoka ściągnął
A mnie z pośrzodka powodzi bystrych wyciągnął...

Psałterz Dawidów, 18

...Tyś niebo, jako namiot, rozbił ręką swoją;
Nad nim wody za Twojem rozrządzeniem stoją.
Chmury — Twój wóz; Twe konie — wiatry nieścignione;
Duchy-posłańcy; słudzy-gromy zapalone...
Tyś na znak czasów sprawił błędną twarz miesięczną,
Ty niepościgniongo słońca lampę wdzięczną
Prowadzisz do zachodu; . . . . . .
Kiedy rękę otworzysz — wszyscy nasyceni,
A kiedy twarz odwrócisz — wszyscy zasmuceni,
Jeśli im ducha weźmiesz, w proch sie wnet obrócą,
Jeśli im ducha natchniesz, na świat sie zaś wrócą...
...Pan, który kiedy pójźrzy, ziemia drży; Pan, który
Kiedy ręką gór dotknie, dymem pójdą góry...

Psałterz Dawidów, 104

Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz siedząc w chłodzie
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A faunowie skaczą leśni.

Pieśni, II, 2

Jednak mam tę nadzieję, że przedsie za laty
Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty;
A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą czas późniejszy.
I opatrzył to dobrze syn pięknej Latony,
Że moich kości popiół nie będzie wzgardzony.
— — — — — — — —
A ja, o Panny, niechaj wiecznie wam hołduję
I żywot swój na waszych ręku ofiaruję,
Kiedy ziemi zleciwszy śmiertelne zewłoki,
Ognia rówien prędkiemu, przeniknę obłoki.

Muzy

EUGENIUSZ GOŁĘBIOWSKI

GIORDANO BRUNO

Dramat w 5 aktach

AKT II

(Na dworze Henryka III w Luwrze)

Osoby występujące w akcie II:

Giordano Bruno
Bartholomeo Frulla, jego przyjaciel
Henryk III, król Francji
Montluc, Regnault } jego dworzanie
J. Filesac, rektor Sorbony
P. Filesac, jego brat
Bellarmino, kardynał
Madrucci, biskup
Morosini, senator wenecki
Rzemieślnik
Profesorowie Sorbony, dworzanie, damy dworu, gwardia, paziowie króla Henryka III.

Paryż, Luwr, krużganek osłonięty oponą z herbami Walezjuszów, po bokach schody wiodące w dół ku dziedzińcowi, z lewej drzwi do apartamentów królewskich, z prawej kolumna krużganku. W środku tuż przy balustradzie Rzemieślnik wznosi dębowy, ozdobny postument. Czuwa nad pracą Regnault. Wchodzi hrabia Montluc.

Montluc: A to co? Nowy kaprys królewski?

Regnault: Tu ma stanąć ta machina filozoficzna.

Montluc: Którą wymyślił ten szalony Włoch? Rozumiem: król będzie na tym młynku ostrzył swój dowcip przed dzisiejszą dysputą.

Regnault: O, niosą już tę machinę... *(Wchodzi Bartholomeo a z nim dwaj paziowie dźwigający „machinę filozoficzną").*

Bartholomeo *(do hrabiego Montluc):* Z drogi, Signore, z drogi, niesiemy zegar mądrości.

Montluc: A cóżeś ty za jeden, że sobie tak śmiało poczynasz?

Bartholomeo: Jestem szlachetnie urodzony Bartholomeo Frulla z Noli, sekretarz mistrza Jordana Nolana, który oto przysyła królowi Francji zegar mądrości tudzież oznajmić raczy, iż stawi się punktualnie na zapowiedzianą dysputę filozoficzną z mędrcami Sorbony. Zechciej tedy, Signore, zawiadomić jego Wysokość Króla Andegaweńskiego, iż jest w posiadaniu najcudowniejszej machiny świata. *(Montluc nie rusza się z miejsca. Regnault śpieszy do apartamentów królewskich).*

Montluc *(podchodząc do machiny):* A więc nowe szalbierstwo. Do czego służy ten przedmiot?

Bartholomeo: Nie szafuj, Signore, pustym słowem, machina ta może ci się przydać, albowiem służy do rozkręcania ciemnych łbów, czyli wszystkim tym, którzy zamiast mózgu mają w głowie makaron. Jeśli chcesz, to ci za pomocą tej machiny zaraz udowodnię prawdziwość moich słów. *(Puszcza w ruch kręgi machiny).* Spójrz, Signore, co to za litera?

Montluc: „A".

Bartholomeo: Słusznie, widać, że mózg twój zaczyna już pracować, a teraz spójrz tu.

Montluc: Znów „A".

Bartholomeo: A czy wiesz, co znaczą te dwa „A"?

Montluc: Nie wiem.

Bartholomeo: To już widać za dużo jak na twój mózg. Muszę ci więc pomóc. Otóż te dwa „A" znaczą w języku filozofów tyle, co „Asinus asinorum", czyli osioł nad osłami.

Montluc: Śmiałku, czy wiesz, kogo zelżyłeś?

Rzemieślnik *(do Bartholomea):* Panie, to hrabia Montluc.

Bartholomeo: To dla mnie bardzo zaszczytne, ale muszę wyrazić swoje najwyższe zdumienie, że maszyna mądrości nie poznała się na twoim hrabiostwie, panie.

Montluc: Monsieur, jesteś bardzo śmiały i to ci się chwali, tym większa będzie moja przyjemność, gdy ci tą oto szpadą *(dotyka szpady)* przebiję mięsień sercowy.

Bartholomeo: Niestety, hrabio, musisz sobie odmówić tej przyjemności, moje serce nie należy do mnie, albowiem ofiarowałem je pewnej pięknej kwiaciarce z placu Saint Denis. Chętnie ci natomiast mogę służyć moją szpadą. *(Wchodzi Regnault i stanąwszy w drzwiach):*

Regnault: Król Jego Mość.

Montluc *(do Bartholomea)*: Zapraszam cię, panie, do Tuillerii.

Bartholomeo: Do usług waszej hrabiowskiej mości. *(Wchodzi Henryk III z małym pieskiem na ręku, za nim kardynał Bellarmino, biskup Madrucci i Paź. Król podchodzi do machiny filozoficznej i oddaje pieska w ręce Pazia).*

Henryk III: I cóż wy złego widzicie w tej niewinnej machinie? *(Dostojnicy badają machinę).*

Bellarmino: Przyrząd taki skonstruował przed laty wierny sługa kościoła, Rajmundus Lullus, aby przy pomocy mechanicznych dowodów przekonać wszystkich niedowiarków o prawdziwości Pisma. Ten instrument natomiast jest tak zbudowany, iż może służyć tylko do podważania naszych prawd.

Henryk III: Więc ten zegar Lullusowy niewiele wart, skoro można go nakręcać przeciwko jego twórcy.

Bellarmino: A czy nie można przy pomocy prochu strzelniczego powalić człowieka, który go wynalazł?

Henryk III: To jest właśnie, co mnie najbardziej pasjonuje, ta ustawiczna zmienność prawdy.

Madrucci: Gdybyś, Sire, zechciał stanąć na stanowisku wiary, miałbyś możność...

Henryk III *(przerwawszy mu gestem zniecierpliwienia)*: Nigdy nie deptałem wam waszych kwiatów, przeciwnie, szczodrze podlewałem je krwią, uszanujcie więc moje upodobania. Wałkujemy Giordana od trzech dni i nie wiem, o co wam chodzi, o politykę czy o religię i nie wiem, dlaczego nie chcecie zrozumieć, że królowi Francji wolno mieć kaprysy.

Bellarmino: Ale ten człowiek szkodzi nam.

Henryk III: To jest wasza sprawa.

Bellarmino: Nasze granice nie kończą się na Watykanie.

Henryk III: Lecz nie obejmują mojego królestwa.

Bellarmino: Ale obejmują rzesze wiernych naszych w tym kraju.

Henryk III: Z kazalnicy tylko a nie z tronu.

Bellarmino: Będąc tedy w przyjaźni z tronem francuskim, przybyliśmy, aby ostrzec, że zmuszeni będziemy głosić z kazalnic takie słowa, które mogą wywołać niepokój w tym królestwie.

Henryk III: Czyli innymi słowy chcecie powtórzyć noc św. Bartłomieja?

Bellarmino: Sądzę, że nie dojdzie do tego, zważywszy, że w tym królestwie włada tak światły monarcha.

Henryk III: A więc co mi radzicie?

Bellarmino: Odwołać dzisiejszą dysputę i wydać Giordana Świętej Inkwizycji. Stanie się to z korzyścią dla Waszego królestwa, Majesté, bo wiadomo, że ten, co godzi w zwierzchność duchowną, godzi również w władcę świeckiego. Od kogo bowiem jest wam dana władza, jeśli nie od Boga i jaka będzie pokora poddanych Waszych, Majeste, jeśli przestaniecie być pomazańcem Bożym?

Henryk III: A na jakiej podstawie mam wydać tego człowieka? *(Bellarmino daje znak Madrucciemu, ów rozwija pergamin i czyta).*

Madrucci: Akt oskarżenia przeciwko Philippowi Bruno, urodzonemu w Noli A. D. 1548. Tenże wkradł się do zakonu Św. Dominika i obrócił naukę jego przeciwko niemu, ogłosił liczne oszczerstwa przeciwko dostojnikom kościoła, splugawił „Księgę o 7-miu radościach" i naruszył w 13 punktach postanowienia Świętego Officium, tenże, zbiegłszy przed procesem z Rzymu i utopiwszy w Tybrze sługę Świętej Inkwizycji i poraniwszy wespół z Bartłomiejem Frullą troje innych sług kościoła w drodze między Bergamo a Turynem, urbi et orbi rozpowszechnia kacerską naukę Mikołaja Kopernika, ośmiesza kościół w komedii „Il Candelajo", granej w królewskim Paryżu i w książce „De umbris idearum", poświęconej Henrykowi III, królowi Francji stawia szatańską tezę, iż władza duchowna winna być zastąpiona władzą bezbożnej nauki.

Henryk III *(z uśmiechem)*: Zgadza się. Dedykował mi tę książkę i powiadam wam: zadziwiająca lektura. Uznałem nawet za właściwe mianować go za tę książkę profesorem Sorbony.

Bellarmino: Majesté, raczyłeś nas przed chwilą zapytać o zdanie.

Henryk III: Już wiem jak mam postąpić, po prostu powinienem wydać wam doktora Bruno, a na dodatek... siebie.

Bellarmino: Wasza Królewska Mość raczy żartować.

Henryk III: Kontynuuję waszą myśl. Żądacie wydania wam tego kacerza, a ja jestem jego wspólnikiem. Przyczyniłem się do rozpowszechnienia komedii „Il Candelaio", podzielam jego zdanie szatańskie o wyższości nauki nad religią, otaczam go opieką monarszą, a więc jestem jego wspólnikiem i z punktu widzenia Świętej Inkwizycji powinienem zasiąść na tej samej ławie, co i on.

Bellarmino: Ale tak się nie stanie.

Henryk III: Wynika z tego, że jestem wam jeszcze potrzebny.

Bellarmino: Majesteé, twój cynizm obraża wysłanników Stolicy Apostolskiej, ale racz liczyć się z tym, że cierpliwość i wyrozumiałość nasza może się pewnego dnia skończyć.

Henryk III *(zmienia ton)*: Klecho zuchwały, nie igraj z królem Francji, pamiętaj, że wystarczy mi klasnąć w dłonie, a zakopią cię w ogrodzie i wbrew woli będziesz kanonizowany.

(Bellarmino chce dać gwałtowną odpowiedź, ale hamuje go Madrucci).

Madrucci: Sire, czy to jest wszystko, co masz do powiedzenia Ojcu Świętemu?

Henryk III: Nie, nie wszystko, aby Ojciec Święty nie sądził, że Henryk Walezy, król Polski i Francji, jest protektorem szarlatanów, dostaniecie Giordana, jeśli przegra dzisiejszą dysputę. Ale jeśli ją wygra, Ojciec Święty otrzyma ode mnie inny dar.

Madrucci: Jakiż to będzie dar?

Henryk III: Różaniec z trupich główek na pamiątkę nocy św. Bartłomieja. *(Do Pazia).* Podaj mi Bilboqueta. *(Paź podaje mu pieska. Obaj dostojnicy z ukłonem wychodzą, król podchodzi do maszyny filozoficznej).*

Henryk III *(do Pazia)*: Niech przyjdzie hrabia Regnault. *(Bawi się kręgami machiny. Wchodzi Regnault).*

Henryk III: Nie wiem, czy to miejsce tu będzie dobre, jak sądzisz, Dodo?

Regnault: Padają na temat tego instrumentu różne ironiczne uwagi, hrabia Montluc nawet pozwolił sobie... *(Król przerywa gestem zniecierpliwienia).*

Henryk III: Ten cymbał doigra się jeszcze. Każ postawić machinę w moim gabinecie i niechaj się dwór pośpieszy, wkrótce zacznie się dysputa. *(Regnault każe paziom wynieść instrument. Schodzi się dwór, panowie i damy dworu przechodzą przez krużganek i udają się schodami na dziedziniec. Gwardziści odsłaniają oponę nad krużgankiem. Do Króla podchodzą Morosini, poseł wenecki, i Piotr Filesac. Naprzeciw krużganku królewskiego, w otwartej loży, zajmuje miejsce Collegium Scientiae, obok usadowiają się respondenci. Z boku mała pusta loża. Szmer licznych głosów dobiega z dziedzińca).*

Henryk III *(do Piotra Filesac)*: No i cóż, jak się czuje brat, szlachetny Rektor? Będzie miał trudną przeprawę z Giordanem, prawda?

P. Filesac: Powiedział mi brat, że rozłoży tego Włocha w trzy pacierze.

Morosini: Nie znam człowieka, który by umiał sprawniej myśleć od Giordana a wiedza jego jest wprost nadnaturalna.

Henryk III: A więc walka będzie pasjonująca, och, tres bien, i dopiero będą syczeć moje dworskie jaszczury.

P. Filesac: Cały dwór, Majeste, jest przekonany, że ten heretyk skompromituje się bez reszty.

Henryk III: Dwór jest przekonany, bo sobie tego życzy.

Morosini: A wasza Wysokość komu życzy zwycięstwa?

Henryk III: Pewnej małej, skromnej madame, która ma cudne imię.

Morosini: Jakież jest jej imię?

Henryk III: Prawda.

Morosini: Majeste, zawiozę tę myśl do Wenecji w złotej... szkatule. *(Nagle szmer na dziedzińcu przechodzi w szum, to pojawił się w bocznej loży Giordano w todze. Pedele w głównej loży stukają złoconymi laskami. Wstaje Respondent I, zmawia półgłosem modlitwę kończąc):*

Respondent I: Ad majorem Dei gloriam. Ad majorem Dei gloriam. Ad majorem Dei gloriam. Publice stają do dysputy vir clarissimus Jean Filesac, doctor philosophiae, Rector Universitatis i vir clarissimus Jordanus Nolanus, doctor philosophiae. Dysputa odbędzie się nad trzema tezami jeneralnymi doktora Jordana. Teza pierwsza, incipe:

Giordano: Ruchy, które obserwujemy w przestrzeni, wynikają z ruchu ziemi. Dixi.

Respondent I: Quis respondebit? *(Wstaje Jean Filesac)*

J. Filesac: Przeczę tezie pierwszej, Dixi.

Respondent I: Quis respondebit? *(Cisza, Respondent I daje znak Giordanowi).*

Respondent I: Incipe.

Giordano: Incipiam: Teza pierwsza nie jest moją tezą, lecz tezą astronoma polskiego, Mikołaja Kopernika. Moje tezy a to: o spłaszczeniu biegunów kuli ziemskiej i o rotacji słońca wiążą się z tezą pierwszą, dlatego uważam za konieczne zacząć od tezy kopernikowskiej. Dowody na poparcie jej zawarte są w dziele „De revolutionibus orbium caelestium". Jeśli szlachetny i przesławny profesor Filesac uzna je za słuszne, możemy przystąpić do rozpatrzenia dwu następnych tez a jeśli je uzna za fałszywe, niechaj je obala. Dixi.

Respondent I: Quis respondebit? *(Cisza. Respondent I daje znak Filesacowi).*

Filesac: Uczony dysputuje z uczonym i obaj zwykli opierać się na dyssertacjach prawdziwie naukowych. Książczyna, o której wspomniał mój adwersarz, stanowi stek szatańskich i szarlatańskich bredni, nad którymi prawdziwy uczony nigdy nie będzie się zastanawiał i jeśli przeciwnik mój chce się opierać na tego rodzaju „dziełach", to niechaj zaczyna od senników egipskich. Dixi. *(Liczne oklaski i śmiechy. Na twarzy Giordana pojawia się gniew).*

Giordano: Lżysz mnie, sorbonisto? Synu ciemnoty! A wy chcecie wrzaskiem zagłuszyć słowo prawdy? Na próżno. Echo mojego głosu nigdy nie przestanie brzmieć w świecie, a po was nic nie pozostanie jak tylko mierzwa głupoty. Lżycie Kopernika, uczonego, któremu kiedyś świat będzie dziękował za wyzwolenie z zaułków fałszywej nauki. Plwacie na najwspanialszą naukę człowieczeństwa. Oto jak Sorbona się zapisuje w annałach filozofii. *(Słychać głosy oburzenia).*

Głosy: Milcz, szarlatanie! Czarnoksiężniku! Bluźnierco! Zamilcz!

(Respondent I uderza w dzwonek)

Respondent I: Silentium! Silentium! *(Nastaje cisza).*

Respondent I: Nie obrażajmy uszu Jego Królewskiej Mości scholarskim hałasem a ty, zuchwały Włochu, jeśli masz co do powiedzenia, to mów, lecz nie wszczynaj swarów gwałtownych i powstrzymaj się od obelg, albowiem nie jesteś na jarmarku neapolitańskim, lecz stoisz przed Collegium Scientiae paryskiej Sorbony.

Giordano: Dobrze, postaram się wykazać wszystkim przytomnym, kogo należy posłać na oślą ławę. Będę mówił jak człowiek, który nie ma innego mózgu prócz własnego, nie jak święty prorok, ani apokaliptyczny magik, czy anielska oślica Balaama. Najprostszym sposobem obnażę waszą ignorancję. Questio: Będziemy mówili o filozofach..., których mój adwersarz uznaje. Questio: Czy Herakleides z Pontu jest autorem senników egipskich, czy jest filozofem?

Respondent I: Quis respondebit? *(Z loży podnoszą się ręce).*

Głosy: Jest filozofem.

Respondent II: Herakleides z Pontu jest filozofem.

Filesac: Każdy początkujący scholar o tym wie. Odkąd to włoska filozofia zaczyna od trivium?

Giordano: Scholarzy z trivium chcieliby dowiedzieć się od mądrego Filesaca, co on sądzi o poglądach Herakleidesa z Pontu na ruchy kręgów niebieskich. *(Następuje cisza).*

Respondent I: Quis respondebit? *(Cisza).*

Respondent II i III: Quis respondebit? *(Cisza).*

Giordano: Niechaj więc scholarzy z trivium pouczą czcigodną Sorbonę: Herakleides z Pontu wyraził sąd, że ziemia nasza znajduje się w ustawicznym ruchu. Idź, sławetny Filesacu, do biblioteki królewskiej, tam czeka na ciebie ośla ława od wielu lat.

Filesac: Psie! *(Powstają krzyki, padają obelgi pod adresem Giordana, zamieszanie staje się coraz większe).*

Morosini *(do króla):* Majeste, Jordanowi grozi niebezpieczeństwo. *(Król daje znak gwardii, żołnierze szybko zbiegają na dziedziniec. Marszałkowie zasuwają kotarę na krużganku królewskim).*

Henryk III *(do Piotra Filesac):* I co ty na to? Braciszek nie zdzierżył. *(Piotr Filesac wzburzony wybiega. Tymczasem głosy na dziedzińcu umilkły).*

Henryk III: To jest właśnie Bruno. Wciągnął ich w pułapkę jak małe dzieci.

Morosini: Widać było, że uplanował sobie każde słowo i ani na jotę nie chybił. Ale to chyba pierwszy raz w dziejach czcigodna Sorbona musi wędrować na oślą ławę.

Henryk III: Mon ami. Przed chwilą rozegrała się jedna z największych bitew świata i my sami nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wysoko podskoczyła madame Veritas. Dodo, w nagrodę poślesz Giordanowi mój portret. Spójrzcie: nawet Bilboquet jest wzruszony. Bil-

boquet, byłeś świadkiem wielkiego wydarzenia. *(Wchodzi D w o r z a n i n).*

D w o r z a n i n: Majesté, Doktor Nolanus.

H e n r y k III: Niech natychmiast stanie przed nami. *(Do dworu)* Zostawcie mnie samego. *(Wszyscy wychodzą z wyjątkiem Pazia, któremu król wręcza Bilboqueta. Wchodzi Giordano. Król obejmuje go i całuje w czoło).*

H e n r y k III: Bruno, przyjm hołd od króla Francji.

G i o r d a n o: Wasza Wysokość wzrusza mnie.

H e n r y k III: Dziś jeszcze poślę po Giraloma. Muszę mieć twój posąg.

G i o r d a n o: Majesté, przeceniasz moje zwycięstwo.

H e n r y k III: Jakto? wstępnym bojem powaliłeś przeciwnika.

G i o r d a n o: Powaliłem, ale nie przekonałem. Bitwę wygrała raczej twoja gwardia, Majesté. A ja zasłużyłem na karę za wywoływanie awantur na dworze królewskim.

H e n r y k III: Owszem, mogę cię ukarać, jeśli nie pogardzisz moim towarzystwem w Bastylii.

G i o r d a n o: Wysoko sobie cenię wielkoduszność Waszej Królewskiej Mości i żałuję, że muszę opuścić Francję.

H e n r y k III: Mon ami, rozumiem cię. Szukasz światła, ale wiedz, że poza krańcami mego królestwa rozciąga się ta sama ciemnota, co i w Paryżu.

G i o r d a n o: Nie o mnie chodzi, Majesté.

H e n r y k III: A o kogo?

G i o r d a n o: O ciebie, Majesté.

H e n r y k III: Mój drogi, prawisz zadziwiające rzeczy.

G i o r d a n o: Wiem co znaczy wizyta Bellarmina w Luwrze.

H e n r y k III: Tchórz cię obleciał, Bruno?

G i o r d a n o: Chcę, Majeste, abyś mnie dobrze zrozumiał. Zadaniem Bellarmina jest unicestwić mnie za wszelką cenę. Jeśli mu się przeciwstawisz, podzielisz mój los. Bellarmino nie ustąpi. Znam go dobrze od wielu lat. Ten pies nie zejdzie z mojego tropu, póki go nie rozszarpię, albo póki sam nie zginę w jego kłach.

H e n r y k III: A wiesz, Bruno, że mnie to pasjonuje? Ale czy my nie wyolbrzymiamy niebezpieczeństwa? W Watykanie są jeszcze tacni ludzie.

G i o r d a n o: Majesté, masz wrogów wśród katolików i kacerzy. Sorbona cię nienawidzi, dwór ci nie sprzyja. Cóż ci pozostanie, jeśli zrazisz sobie jeszcze Rzym?

H e n r y k III: Pozostanie mi francuska piechota. *(Bierze z rąk pazia Bilboqueta).*

G i o r d a n o: Na krwi chcesz, panie, oprzeć swój tron?

H e n r y k III: Filozof jesteś tęgi ale polityk kiepski, mój Bruno. Otóż posłuchaj: Jakże można inaczej rządzić w naszej szalonej epoce? Heretycy mnie nienawidzą, bo im nie pozwalam mordować katolików, katolicy gotowi mnie powiesić za to, że zakazuję im rżnąć heretyków, muszę więc mordować jednych i drugich. W naszej epoce, mon ami, król musi być zbrodniarzem a każdy porządny filozof kacerzem. Masz przykład na sobie. Ergo: nie pozostaje nam nic innego, jak zawrzeć we dwóch „święte przymierze".

G i o r d a n o: Sądzę, królu, że w przyszłości będziesz właściwie oceniony.

H e n r y k III: Mylisz się, aniele, historia to bogobojna ciotunia, nigdy mi nie zapomni, że bardziej interesowałem się moimi młodzieniaszkami niż królestwem. No cóż? Zawieramy przymierze?

G i o r d a n o: Pamiętaj jednak, Majeste, że wchodzisz w przymierze z człowiekiem, którego okrzyknięto szatanem. Czy to nie będzie zbyt... wzruszające?

H e n r y k III: Dość. tej liryki, jak każdy przyzwoity król mam swoje słabości i wiedz, że miłuję trzy istoty: siebie... z przyzwyczajenia, Bilboqueta dlatego, że jest jedynym moim wiernym poddanym i ciebie, a to z tej prostej przyczyny, że uważam cię za jedynego rozsądnego człowieka na naszym świecie.

G i o r d a n o: Bardzo mi pochlebia Wasze zdanie, Mąjesté, i nie sądzę, aby Bilboquet miał być o mnie zazdrosny, ale zapytam: co dalej?

H e n r y k III: Co dalej? Chwilkę cierpliwości. *(Klaszcze w dłonie, wchodzi Regnault).*

H e n r y k III: Dodo, misja dyskretna. W chambrette separee przygotujesz biesiadę na cztery osoby z włoskim winem. Zaprosisz mademoiselle Eyquen i madame Sobond. *(Regnault odchodzi).* Otóż, mój drogi Bruno — madame Sobond oświadczyła mi onegdaj, że jeśli cię nie zapoznam z nią, to się otruje. Nie pożału-

jesz. Rajski to ptak i szpakami karmiona anielica. *(Słychać hałas od strony dziedzińca).*

Henryk III: Cóż to znowu za hałasy w moim królestwie? *(Wpada Dowódca straży zamkowej).*

Dowódca: Majeste, zabójstwo!

Henryk III: Wrzeszczysz jak woźnica.

Dowódca: Hrabia Montluc nie żyje. Uśmiercony.

Henryk III *(wręcza Bilboqueta paziowi i groźnie):* Kto to uczynił? *(Straż wprowadza Bartholomea).*

Henryk III: Tyś zabił hrabiego Montluc?

Bartholomeo: Ja, panie.

Henryk III: Dlaczego to uczyniłeś?

Bartholomeo: Bo on łżył naszą... teorię.

Henryk III: *(do Regnaulta):* Dodo, każesz nakryć na pięć osób.

Zasłona

Koniec aktu II.

Eugeniusz Gołębiowski

SEWERYN POLLAK

UWAGI O CZECHOWIE

„...Jest w jego twórczości coś nowego; coś rześkiego i napełniającego otuchą przebija się przez najgorsze okrucieństwo życia". Te słowa Gorkiego krótko i lapidarnie określają najgłębszy sens twórczości Czechowa.

Twórczość Antoniego Czechowa przypadła na lata, gdy społeczeństwo rosyjskie po okresie zrywu i wzburzenia lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pogrążyło się w mrok beznadziejnego smutku i otępienia, jakie przyniosła ciemna władza obydwu Aleksandrów. Głębokim nurtem drążyła Rosję rodząca się w cierpieniu przyszła rewolucja. Na powierzchni nic się pozornie nie działo lub działo się źle. Życie płynęło jak mętna szara rzeka, w której tonęli zachłystując się codziennością co słabsi, co mniej odporni.

„Mszyca zżera trawę, rdza żelazo, kłamstwo duszę—a więc trzeba z nimi walczyć"— zasady, którymi się kierował Czechow już od początku swojej twórczości, okazały się elementem burzącym posępny mur panującej wówczas reakcji. Bohaterowie krótkich opowiadanek Czechowa, mali, szarzy ludzie, którym się wydarzają drobne, nic nie znaczące przygody, z biegiem czasu nabierają znaczenia symbolów, a ich małe sprawy stają się sprawami określającymi ówczesne życie. Obficie rozsiane po pismach humorystycznych anegdotyczne obrazki, które miały bawić przeciętnego mieszczucha nie budząc w nim żadnych myśli, pod piórem pisarza, którego każdy przejaw działalności artystycznej był nierozłącznie związany z wielką troską o człowieka, przerastały zakreślone ramy i może nawet wbrew intencjom młodego autora, stawały się znakomitymi dziełami realizmu krytycznego. Na próżno Lejkin, redaktor „Oskołkow", usiłował utrzymać Czechowa w ramach „nieszkodliwej" anegdoty mieszczańskiej — talent pisarza rozrywał narzucone mu więzy, a zmysł spostrzegawczości brał górę nad ciasnymi wymogami podporządkowujących się cenzurze redaktorów. Zadziwia nas teraz skromność, z jaką młody pisarz wchodził do literatury. Nie miał on, zdawałoby się, żadnych aspiracji, aby wdzierać się na szczyty tak zwanej „wielkiej sztuki", a jednak pod jego piórem jakby samorzutnie powstawały wielkie typowe postacie: „Podoficer Priszibiejew" czy „Kameleon", symbole żandarmskiej tępoty i głupiego, bezmyślnego zadufania w sobie, symbole służalczości i chamstwa.

W odróżnieniu od wielkich hiperbolicznych typizacji Gogola i Sałtykowa - Szczedrina, w odróżnieniu od takich postaci, jak Cziczikow, Sobakiewicz, Ugrium-Burczejew, czy Judaszek Gołowlew, Czechow tworzy postacie typowe nie przez monstrualne wyolbrzymienie ich cech, nie przez ich gargantuiczność. Gogol czy Sałtykow-Szczedrin ogniskowali w swoich bohaterach poszczególne cechy charakterów, nie pozbawiając ich przez to bynajmniej typowości. Nic nam nie szkodzi, że Maniłow jest jak gdyby wypreparowanym z organizmu społeczeństwa typem reprezentującym mdłą sentymentalność, że major Pryszcz ma głowę faszerowaną truflami i że

Ugrium-Burczejew znalazł w pewnym sensie swój odpowiednik dopiero w pierwszej połowie XX wieku w postaci Hitlera. Czechow poszedł po innej linii, po linii raczej prozy puszkinowskiej. Typowość bohaterów Puszkina, a następnie Czechowa nie polegała na hiperbolizacji pewnych cech charakterów, lecz na wychwytywaniu przez autora takich sytuacji z życia, w których te cechy uwypuklały się w ostrym świetle, przy czym bohaterowie nie tracą normalnych ludzkich proporcji. Czechow maluje drobne obrazki, mówi o dniu powszednim zwykłych ludzi, których spotyka wszędzie, na ulicy, w urzędzie, w szpitalu, na wsi itp. Umieszcza ich w sytuacjach również banalnych, ale są to sytuacje w pewnym sensie węzłowe w ich życiu, odsłaniające ich charakter. Czechow opowiada o najbardziej ponurych stronach życia z taką prostotą, z takim pozornym obiektywizmem, że już to samo stwarza wrażenie typowości pokazanych przezeń spraw codziennych w okropnych warunkach życia ówczesnego. A wszystko zanotowane jest pismem skrótowym, jakąś stenografią uczuć i faktów. „Umiem krótko mówić o rzeczach długich" — powiada Czechow o swojej metodzie pisarskiej. W innym zaś miejscu mówi: „sztuka pisania — to sztuka skracania". Istotnie, Czechow jest mistrzem kondensacji, jego małe opowiadanka to całe powieści z ekspozycją, rozwinięciem i dramatycznym finałem. Przywykliśmy uważać opowiadania Czechowa za zabawne; one są istotnie zabawne i istotnie wywołują w nas śmiech, ale jest to ten rodzaj śmiechu, który zmusza do zastanowienia, który jest jakimś pograniczem rzeczy śmiesznych i tragicznych, gdyż skupia w sobie te elementy rozproszone w życiu codziennym. Mali ludzie Czechowa są bohaterami wielkich tragedii na miarę antyczną, tragedii swojej epoki, swojej klasy. I tu, jak w tragediach antycznych, dochodzi do głosu owa „katharsis", dążenie do oczyszczenia. W jednym z jego opowiadań z 1894 r. pt. „Opowiadanie starszego ogrodnika" widzimy jakby w skrystalizowanej formie istotę twórczych pobudek pisarza: wiarę w człowieka. Stary ogrodnik opowiada, że w jego rodzinnym miasteczku żył kiedyś pewien lekarz. Był to człowiek, który całe swe życie poświęcił służbie dla dobra ludzi. Nieufni zrazu mieszkańcy miasteczka, gdy się przekonali o jego bezinteresowności i dobroci, otoczyli go niemal czcią. Pewnego razu napadli na niego w lesie zamiejskim bandyci, ale gdy poznali lekarza, otulili go płaszczem i odprowadzili do samych wrót miasta. Po jakimś czasie znaleziono lekarza zamordowanego w rowie. Na twarzy jego zastygł wyraz zdziwienia. A wkrótce u jednego z mieszkańców wykryto rzeczy należące do doktora oraz pokrwawioną koszulę. Dowody zbrodni wydawały się niezbite. Odbywa się sąd. Sędzia odczytując wyrok skazujący przerywa nagle i woła: „Nie, nie uwierzę, by mógł się znaleźć człowiek, który by się ośmielił zamordować naszego przyjaciela doktora. Człowiek jest niezdolny upaść tak głęboko!" I Czechow kończy: „Choćby wyrok uniewinniający przyniósł mieszkańcom miasteczka szkodę, osądźcie, jaki dobroczynny wpływ miała na nich ta wiara w człowieka, wiara, która przecież nie pozostaje martwą; wychowuje w nas ona uczucia wielkoduszności i zawsze budzi miłość i szacunek dla każdego człowieka. Dla każdego! A to jest ważne".

Oczywiście, całe to opowiadanie oparte jest na idealistycznej tezie tołstojowskiej o niesprzeciwianiu się złu. W czasach pogardy dla godności człowieka, w czasach rządów Pobiedonoscewów optymizm ten był czynnikiem rewolucjonizującym, tak samo jak rewolucjonizujące było dążenie Czechowa, aby wykazać piękno i celowość życia ludzkiego. W noweli „Skrzypce Rotszylda" zapytuje Czechow: „Dlaczego świat jest tak dziwnie urządzony, że życie, które człowiek tylko raz otrzymuje, mija bez pożytku?"

Najwyższym ideałem pisarza, celem życia, była praca i radość pracy. Gorki, który — jak powiada radziecki autor biografii Czechowa, W. Jermiłow — doskonale rozumiał wartość pracy i ludzi pracy, tak pisał o Czechowie: „Nie widziałem człowieka, który by tak głęboko i wszechstronnie jak Anton Pawłowicz odczuwał znaczenie pracy jako podstawy kultury". W świadomej, celowej pracy odkrywał Czechow istotę postępu.

Burżuazyjno-liberalistyczny krytyk S. Wiengierow słusznie nazywa Czechowa historykiem ciemnego okresu panowania Aleksandra III, ale niesłusznie przypisuje mu bezna-

miętny stosunek do zjawisk społecznych. Wiengierow odmawia Czechowowi jakiejkolwiek ideowości twórczej twierdząc, że jedyną jego troską jest jak najwierniejsze oddanie rzeczywistości. Przytaczam tę opinię, aby pokazać, jak krytyka burżuazyjna usiłowała zniekształcić wymowę społeczną dzieł Czechowa przesuwając go z pozycji realizmu krytycznego na pozycję naturalizmu. A przecież sam Czechow pisał o sobie w liście do Pleszczejewa: „Nie jestem liberałem, ani konserwatystą, ani progresistą, ani mnichem, ani indyferentystą", a w innym liście dodaje: „Dla człowieka myślącego, życie bez określonego światopoglądu nie jest życiem, lecz potwornym ciężarem".

Czechow pokazując prawdę swojej epoki, prawdę twardą i okrutną, nie zatracił nigdy wiary w człowieka, nigdy nie zboczył z tej wielkiej, postępowej linii, jaką wyznaczyła literaturze rosyjskiej twórczość takich pisarzy jak Gogol, jak Turgieniew, Sałtykow-Szczedrin i Tołstoj. Ta właśnie linia określiła stosunek Czechowa do społeczeństwa rosyjskiego, jego poczucie narodowe i jego prawdziwie humanistyczne podejście do człowieka.

Gorki przyrównał twórczość Czechowa do jesiennego dnia, kiedy to ostre światło wyraźnie rysuje kontury przedmiotów. Ten ostry rysunek nieubłaganego realisty świadczy o tym, że twórcy jego zawsze obce były wszelkie upiększania życia, wszelkie schlebianie, tak samo jak obcy mu był pesymistyczny w swej istocie naturalizm. Bo dziwna rzecz — te dwa tak rozbieżne pozornie sposoby widzenia świata, w istocie swej posiadają wspólne źródło: jest nim konformizm, zgadzanie się na zastaną rzeczywistość. Czechow, wielki realista, któremu bliskie były losy ludzi, zdawał się pytać poprzez całą swoją twórczość: „co czynić?" Na pytanie to odpowiedziały ofiary kilku pokoleń rewolucjonistów rosyjskich, odpowiedziała w kilkanaście lat po śmierci Czechowa Wielka Rewolucja Październikowa.

✽

Kiedyś Czechow określając istotę pracy dramatopisarza wyraził się, że w dramacie należy tak przedstawić życie i ludzi, żeby ten obraz całkowicie odpowiadał rzeczywistości. „A przecież w życiu ludzie stale do siebie nie strzelają, nie wieszają się, nie oświadczają się sobie. I nie stale mówią mądrze. Przeważnie jedzą, piją, umizgają się, plotą głupstwa. Trzeba więc, żeby na scenie było to również widoczne. Trzeba napisać taką sztukę, gdzie ludzie przychodziliby, wychodzili, jedli obiad, rozmawiali o pogodzie, grali w winta... Niech na scenie wszystko będzie tak samo skomplikowane, a jednocześnie tak proste jak w życiu. Ludzie jedzą obiad, tylko jedzą obiad, a w tym samym czasie tworzy się ich szczęście lub rozbija się ich życie..."

Słowa wypowiadane przez bohaterów Czechowa mają zawsze podwójne dno, mają zawsze sens zewnętrzny, pozorny, i sens istotny, wewnętrzny, to, co Niemirowicz-Danczenko określa jako podwójny nurt. Na pozór niewiele wynika ze słów, które wypowiadają w toku akcji bohaterowie sztuk Czechowa. Mówią oni przeważnie o rzeczach najbanalniejszych, najbardziej powszednich, od czasu do czasu tylko ze spokojnego toku ich mowy wydziera się na zewnątrz zdanie-symbol, zdanie-motyw muzyczny, które brzmi jak dramatyczne ostrzeżnie. Akcja rośnie wtedy, motywy wzmagają się crescendo i z zalewu codzienności wyłania się dramat losów ludzkich. Nie zawsze bohaterowie rozumieją istotę konfliktów, jakie pomiędzy nimi zachodzą, ale z zestawienia tych konfliktów wynika właściwy dramat. Sztuki Czechowa ukazują nam małych ludzi i wielkie uczucia, drobne sprawy i głębokie przeżycia, bezbarwne, pozbawione blasku życie i wysokie ideały, smutny los ludzi, szarą rezygnację i mocną optymistyczną wiarę w przyszłość.

Czechow rozpoczął działalność dramatopisarską stosunkowo późno. W 1895 roku przystępuje do pracy nad „Czajką", pierwszym swoim wielkim utworem scenicznym. Tego rodzaju sztuki, jak „Oświadczyny" czy „Iwanow", pisane uprzednio, nie zapowiadały jeszcze przyszłego wielkiego dramaturga i stanowczo ustępowały jego prozie. Dopiero „Czajka" stanowi pierwsze ogniwo, gdzie Czechow w formie scenicznej daje rozwiązanie najważniejszych dla niego problemów. „Czajka" jest utworem, w którym pisarz bezpośrednio określa swój pogląd na istotę i rolę sztuki, gdzie mówi o trudnej drodze artysty, o tym, czym jest i czym powinien być dla człowieka talent.

Tak jak wszystkie utwory Czechowa, „Czajka" jest utworem dwuwarstwowym i jeśli nie wniknąć głębiej w wewnętrzną treść tej sztuki, to na pierwszy rzut oka może się ona wydawać uboższą niż jest w rzeczywistości. Tą pierwszą zewnętrzną warstwą tematyczną ,tym wątkiem, który bezpośrednio narzuca się czytelnikowi — jest zagadnienie miłości. Sam Czechow pisał podczas pracy nad swoją sztuką, że jest w niej „wiele rozmów o literaturze, mało akcji, pięć pudów miłości". Bo istotnie, ileż tu wątków miłosnych: Treplew i Nina, Nina i Trigorin, Arkadina i Trigorin, Masza Szamrajewa zakochana w Treplewie, Miedwiedienko zakochany w Maszy, Polina Andriejewna zakochana w doktorze Dornie. Sama koncepcja „Czajki" znajduje — zdawałoby się — potwierdzenie w temacie, który Trigorin zapisuje w swoim notatniku pisarskim: młoda dziewczyna, mieszka nad jeziorem, jest wolna i szczęśliwa jak czajka, ale przychodzi człowiek, który ujrzał ją przypadkiem i który lekkomyślnie łamie jej życie. Wiele, zdawałoby się, przemawia za taką interpretacją — i sam symbol zabitej czajki, którym autor posługuje się w sztuce, i wątek nieszczęśliwej miłości Niny do Trigorina, i sama postać Trigorina, uwodziciela Niny. Ale taka interpretacja sztuki byłaby jedynie powierzchowna, tak jak często powierzchowne bywają nasze sądy o sprawach, które codziennie napotykamy w życiu, które wydają się nam powszednie, a których rozwiązanie, za każdym razem inne, uwarunkowane jest tym, czy dany człowiek posiada siłę charakteru i zdolność rozumienia istotnego celu swojego życia. To nie miłość jest istotnym tematem „Czajki", ona jedynie wytrąca bohaterów sztuki z ich ustalonych kolein i jest jak gdyby próbą ich charakterów wobec właściwego powołania: wobec sztuki. Nie na darmo główni bohaterowie „Czajki" są ludźmi sztuki. W bezpośrednim starciu z przeciwnościami życia, z nieszczęściami, jakie sprowadza na nich miłość, ginie nie Nina, lecz Treplew. To on wbrew wszelkim pozorom okazał się czajką. Dlaczego tak się stało? Treplew ma przecież znacznie lepsze warunki, aby zostać prawdziwym artystą aniżeli Nina, którą ciężkie koleje życia rzucają w atmosferę obrzydliwości i nędzy prowincjonalnego środowiska teatralnego. I tu właśnie tkwi wewnętrzny sens sztuki — Czechow ukazuje nam, jak wielką wagę ma słuszna postawa, właściwy stosunek artysty do swego powołania. Nina mówi: „W naszej pracy — obojętne czy gramy na scenie, czy piszemy, najważniejszą rzeczą jest nie sława, nie blask, nie to o czym marzyłam, ale umiejętność znoszenia cierpień. Trzeba umieć nieść swój krzyż i wierzyć. Wierzę i jest mi lżej, a kiedy myślę o swoim powołaniu, to nie obawiam się życia". Tragedią Treplewa jest słabość, uleganie wpływom zewnętrznym, które prowadzi do zrutynizowania, nieumiejętność odnalezienia istotnego celu swego pisarstwa. Treplew widzi, że Nina go przerosła. Zraniona czajka odleciała, a on został sam na brzegu jeziora. Jest w tym jakiś wspólny motyw z tym, co genialnie zarysował Puszkin w „Mozarcie i Salierim": motyw bezradności rutyny wobec wielkiej samowiedzy artysty. Tylko prawdziwe przeżycie tworzy prawdziwego artystę, tylko sztuka przeniknięta głębokim humanizmem ma istotny sens. Sztuka musi pomagać ludziom, musi im torować drogę do lepszej przyszłości. Motyw ten rozwija Czechow kilkakrotnie. W postaci Trigorina, która nosi wiele cech autobiograficznych, pogłębia autor zagadnienie roli sztuki w życiu pisarza. Czechow nie był rewolucjonistą, ale cała jego twórczość wbrew sugestiom liberalistycznej krytyki, która usiłowała przedstawić go jako pisarza oderwanego od zagadnień społecznych, malującego beznadziejny smutek życia — była kontynuacją wielkiej społecznej, postępowej tradycji literatury rosyjskiej, począwszy od Radiszczewa poprzez Puszkina i Niekrasowa. I w tej chwili, z dystansu lat, śmiało możemy uważać Czechowa za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli tzw. „obywatelskiej" tradycji tej literatury. Znamienna pod tym względem jest wypowiedź Trigorina w „Czajce", znamienna i istotna dla postawy autora sztuki. Mówi Trigorin: „Lubię tę oto wodę, drzewa, niebo; odczuwam przyrodę, która budzi we mnie namiętność, nieprzepartą chęć do pisania, ale przecież jestem nie tylko pejzażystą, jestem także obywatelem, kocham swój kraj, lud, czuję, że jeżeli jestem pisarzem, to mam obowiązek mówienia o ludzie, o jego cierpieniach, o jego przyszłości, mówienia o nauce, o prawach człowieka itd., itd., mówię o wszystkim, spieszę się, ze wszyst-

kich stron mnie popędzają, gniewają się, a ja miotam się tu i tam jak lis zaszczuty przez psy, widzę, że życie i nauka postępują wciąż naprzód, a ja zostaję w tyle, jak chłop, który spóźnił się na pociąg, i w końcu czuję, że jedyna rzecz, jaką umiem, to malować krajobrazy, a we wszystkim innym jestem fałszywy do szpiku kości".

Czuje się w tych słowach ustawicznie trapiące Czechowa problemy, które niejednokrotnie akcentował wobec bliskich: owo niezadowolenie z siebie, które świadczy o ogromnych wymaganiach, jakie pisarz musi stawiać sam sobie. Czuje się jeszcze jedno — wewnętrzną rozterkę pisarza, który nie potrafił mówić pełnym głosem, bo głos ten przygłuszyło mu ciśnienie epoki.

Jeżeli więc rację mają ci, którzy usiłują w „Czajce" widzieć jedynie traktat o miłości, to tylko wtedy, gdy rozszerzymy to pojęcie. A wówczas dojdziemy do takiej konkluzji: miłość wtedy tylko jest twórcza i rzutuje w przyszłość, kiedy wykracza poza jednostkowe, czysto indywidualne doznania. Ta konkluzja jeszcze raz obala tezę o rzekomym naturalizmie Czechowa i jeszcze raz podkreśla jego optymistyczną postawę pisarza-realisty.

Powiedziałem uprzednio, że klucza do utworów dramatycznych Czechowa należy szukać w jego prozie. Nie na darmo pomiędzy „Czajką" a „Wujaszkiem Wanią" w twórczości Czechowa znajdujemy tak znamienne opowiadanie, jak „Człowiek w futerale". Zagadnienie niepotrzebnego istnienia, zagadnienie człowieka, który umarł za życia, schroniwszy się w futerale skostniałych, tępych form bytowania, stale nurtuje Czechowa. W „Wujaszku Wani" ten problem jest jednym z centralnych i stanowiąc w pewnym sensie węzeł dramatyczny jest jednocześnie punktem wyjścia dla podstawowej problematyki sztuki. Ale w tym wypadku rozszerza Czechow ramy pojęcia „futerału". „Ludźmi w futerale" są właściwie wszyscy bohaterowie sztuki, futerałem jest dla nich bezwyjściowość warunków, w jakich przebywają, w jakich nieubłagany los historii kazał im żyć. Ten los określa ich postawę; martwym człowiekiem, który nie wiadomo po co żyje, jest profesor Sieriebriakow, ludźmi, którzy w ten czy inny sposób usiłują wydrzeć się z futerału ciasnego bytowania, są doktor Astrow, Wojnicki i Sonia.

Jest jakaś konsekwencja w samym symbolizowaniu przez Czechowa cech charakteru Sieriebriakowa jako „człowieka w futerale". Gdy po raz pierwszy zjawia się on na scenie, Wojnicki mówi z ironią: „Gorąco, duszno, a nasz wielki uczony chodzi w płaszczu, w kaloszach, w rękawiczkach i z parasolem". Bielikow scharakteryzowany jest w sposób podobny. Nie chodzi tu przecież o sposób ubierania się obu tych panów, ale o ich postawę wobec życia. Sieriebriakow przez dwadzieścia pięć lat „wykładał i pisał o sztuce, rozumiejąc się na niej, jak kura na pieprzu. Przez dwadzieścia pięć lat przeżuwał cudze myśli... słowem, przelewał z pustego w próżne... Poszedł na emeryturę i żywa dusza nie zna jego nazwiska, jest zupełnie nieznany, to znaczy, że przez dwadzieścia pięć lat zajmował cudze miejsce".

Nie tylko zajmował cudze miejsce — był pasożytem, żył z pracy Wojnickiego i Soni. I tu Czechow znowu powraca do zagadnienia celowości życia. Właściwym celem życia, celem, który usprawiedliwia istnienie, jest praca. Ale praca może być różna. Wojnicki stracił całą młodość na bezpłodną pracę dla Sieriebriakowa i pomimo że wierzył w niego, pomimo że praca jego była usprawiedliwiona w wewnętrznych intencjach — nie przyniosła ona żadnego pożytku i dlatego właśnie u progu starości ogarnia go rozpacz i bunt. Jako przeciwstawienie, jako „bohater pozytywny" — w naszej dzisiejszej terminologii — występuje w sztuce doktor Astrow. On również widzi cel życia w pracy, ale jego cel jest bardziej niezawodny, jest uskrzydlony wyższą, piękniejszą ideą — pomocy ludziom. Astrow kocha lasy, kocha przyrodę. Zdawać by się mogło, że łatwo może zboczyć na błędną ścieżkę idealistycznych zachwytów, ale oba te uczucia — miłości do ludzi i do przyrody, do ojczystego krajobrazu, kojarzą się w nim harmonijnie, bo oba jako punkt wyjścia mają humanistyczny stosunek do człowieka. Marzenia Astrowa o zalesianiu kraju są jednocześnie marzeniami o pożytku, jaki z tego będą mieli ludzie, jego poczucie piękna jest nierozerwalnie związane z poczuciem dobra społecznego. Lasy łagodzą klimat, a klimat stwarza inne, lepsze warunki życia. Pierwiastki estetyczne łączą się u z etycznymi.

Ale i Astrow i Wojnicki i Sonia, ci mali bohaterowie, których Czechow obdarza ciepłym uczuciem sympatii — wszyscy oni równie jak i Sieriebriakow są w pewnym sensie „ludźmi w futerale". Jest jednak zasadnicza różnica pomiędzy Sieriebriakowem a nimi. „Futerałem" dla tych małych bohaterów wielkiego czynu jest ustrój, w jakim żyją, są ciasne ramy, brak możliwości działania, są wysokie mury zakazów i przegród. Astrow, dla którego piękno nierozłączne jest z dobrem, gdy mówi o Helenie, która przecież bez wątpienia porwała go swoją urodą, wyraża się krytycznie o jej stosunku do życia: „W człowieku wszystko powinno być piękne: i twarz, i ubranie, i dusza, i myśli. Ona jest bez wątpienia piękna, ale... przecież ona tylko je, śpi, spaceruje, czaruje nas wszystkich swoją urodą — i nic więcej. Nie ma żadnych obowiązków, ktoś inny pracuje na nią... nieprawdaż? A życie próżniacze nie może być czyste".

To ostatnie zdanie jest dla Czechowa programem. Ale cóż z tego. Astrow, który w dzisiejszych warunkach byłby jednym z przeobrazicieli przyrody w Związku Radzieckim, sadziłby leśne pasy ochronne i walczyłby „nie z chorobami, lecz z przyczynami wywołującymi choroby", że użyję tu zdania Czechowa z „Domu z facjatą" — skazany jest na ciasne ramki prowincjonalnego bytowania. Życie tych trojga ludzi jest z góry zdeterminowane, ich wysiłki pójdą na marne, w najlepszym razie będą połowiczne. Nawet Astrow, człowiek najlepszy, najbardziej zresztą świadomy, nosi w sobie zarodki upadku — wiemy z góry: za kilka lat Astrow się rozpije, wessie go muł jałowego życia prowincji. Zdawałoby się więc, że wszystko na nic, że na marne pójdą wysiłki takich ludzi jak Astrow, Wojnicki, że dalej triumfują Sieriebriakowowie. Nie. Wniosek byłby co najmniej przedwczesny. Czechow nie wierzy w „drobne reformy", w małe ułatwienia życiowe liberałów i narodników, ideologia połowicznych reform jest mu z gruntu obca — wierzy za to w przyszłość człowieka, w szeroki rozmach jego dążeń. Słowa Astrowa w finalnym czwartym akcie „Wujaszka Wani": „Ci, którzy będą żyć za sto czy dwieście lat i będą gardzić nami za to, żeśmy przeżyli życie tak głupio i tak bez wdzięku — ci znajdą może sposób, jak być szczęśliwymi..." — słowa te nie są utopią ani dla Czechowa, ani dla bohatera jego sztuki — są one programem działania. Nie zapominajmy, że tysiące Astrowów i Wojnickich pracą swoją stworzyły podbudowę pod to nowe, co przyniosła ze sobą rewolucja socjalna w Rosji.

„Za dwieście, trzysta lat życie na ziemi będzie niezwykle piękne, zadziwiające. Człowiekowi potrzebne jest takie życie, i jeśli go tymczasem nie ma, to powinien je przeczuwać, oczekiwać go, marzyć o nim, szykować się do niego, powinien w tym celu widzieć i wiedzieć o nim więcej, niż wiedzieli jego dziadek i ojciec" — do wtóru Astrowowi powtarza Wierszynin z „Trzech sióstr". W dwa lata po napisaniu „Wujaszka Wani" Czechow nieco inaczej odnosi się do swoich bohaterów — coraz silniej przebija w sztuce nuta ironii wobec słabych marzycieli, którzy umieją jedynie roić o przyszłym szczęściu ludzkości. Autor nie odbiera im swojej sympatii, ani współczucia z powodu losu, jaki im przypadł w udziale, ale wyraźnie odgranicza się od ich postawy, patrzy na nich niejako z perspektywy przyszłych dni, gdy ich dramaty i burze, ich bezsilne porywy będą budziły politowanie. Słaby człowieczek, baron Tuzenbach mówi: „Nadszedł czas, idzie na nas wszystkich potęga, szykuje się zdrowa, mocna burza, zbliża się, jest tuż i wkrótce zerwie z naszego środowiska lenistwo, obojętność, uprzedzenie wobec pracy, zgniłą nudę. Będę pracował, a po jakichś dwudziestu pięciu — trzydziestu latach będzie pracował już każdy człowiek. Każdy!" Słowa te kazał Czechow mówić Tuzenbachowi, ale wyrażają one jego własne głębokie przekonanie. Od „Czajki" poprzez „Wujaszka Wanię" do „Trzech sióstr" droga twórczości dramaturgicznej Czechowa stale wiedzie w kierunku realizmu. Rozwiązywanie zagadnień odbywa się na coraz bardziej konkretnej płaszczyźnie życiowej. Czechow, daleki od praktyki rewolucyjnej, odczuwa napór nowych społecznych dążeń, zagadnienia, które stale go dręczą i którym daje wyraz w każdym właściwie utworze, nabierają coraz większej ostrości. Gdy mówimy o ironicznych tonach w „Trzech siostrach", nie wolno nam zapominać, że utwór ten powstał prawie w przededniu rewolucji 1905 r. Stosunek Czechowa do bohaterów „Wujaszka Wani", przy całym jego optymizmie, był w pewnym stopniu fatalistyczny, to jednak byli ludzie wytworzeni

przez ustrój i bezsilni wobec ustroju, a sam Czechow praktycznego wyjścia dla nich właściwie nie widzi. Inna jest rzecz z bohaterami „Trzech sióstr". Tu praktyczne rozwiązanie problemów, które gnębią jego bohaterów, autor znajduje w bezpośredniej konfrontacji z życiem. Dlatego właśnie Czechow tak bardzo się oburzał, gdy zespół Teatru Artystycznego potraktował sztukę jako dramat, podczas gdy on pojmował ją jako komedię. W „Trzech siostrach" motywy dramatyczne są nierozłącznie splecione z motywami komizmu i Czechow domagał się od aktorów właśnie wydobycia obu tych elementów. Jakież tu są motywy komizmu? Piękne wizje przyszłości, wspaniałe marzenia o powołaniu człowieka, z pełnią wiary wygłaszane przez Wierszynina, lśnią złudnym blaskiem baniek mydlanych w zestawieniu z jego praktyką życiową, z ustawicznymi utyskiwaniami na mieszczkę żonę, która grozi samobójstwem. Czechow-tragik staje się tu moralistą, wyszydza mistyfikowanie życia, podbarwianie, ubieranie w pstre szatki, które okrywają nędzę i słabość.

Ale obok Wierszynina, obok Tuzenbacha żyją i marzą trzy siostry, które reprezentują motyw dramatyczny sztuki — stały motyw Czechowa o ginącym na próżno pięknie. Czechow jak zwykle określa człowieka poprzez jego stosunek do pracy i to staje się miarą dramaturgicznej oceny. Te trzy kobiety, które marzą o pięknym i pożytecznym życiu, które umieją głęboko czuć i głęboko myśleć, nie mogą takiego życia osiągnąć, bo ich próby wyrwania się z beznadziejnej atmosfery otoczenia skazane są na niepowodzenie. Niemniej na nich właśnie buduje Czechow swoją wiarę w przyszłość, nie na jałowych deklamatorach jak Wierszynin.

I nie darmo powtarza się w sztuce zdanie: „Kiepsko żyjecie, panowie". Czechow przeciwstawia temu ni stąd ni zowąd przeczytane przez Czebutykina zdanie w gazecie: „Balzak brał ślub w Berdyczowie". To nie irracjonalizm, nie kpiny i bodajże nie symbol. Dla społeczeństwa u samego progu nowego stulecia — to zdanie, dla nas raczej zabawne, musiało brzmieć jako program: w małej mieścinie, Berdyczowie, można mieć wielkie ideały, może się coś dziać. Bo wbrew pesymisycznym przesłankom, wbrew temu wszystkiemu, co się dzieje na scenie, wniosek ostateczny z „Trzech sióstr" jest bezwzględnie pozytywny, optymistyczny. I to jest jeszcze jeden powód, dla którego Czechow nazwał swój utwór komedią.

Akcenty pesymistyczne w „Trzech siostrach", cała atmosfera beznadziejności, wynikają z postawy realisty krytycznego, tym więc bardziej na ich tle występuje głęboki optymizm Czechowa, jego wiara w człowieka.

Gorki w swoich wspomnieniach przytacza następującą anegdotę: „Pewnego razu przyszła do Czechowa jakaś tęga paniusia, zdrowa, ładna, dobrze ubrana i zaczęła mówić „pod Czechowa":

— Życie jest smutne, Antoni Pawłowiczu! Wszystko jest takie szare: niebo, morze, nawet kwiaty wydają mi się szare. I brak pragnień... serce jest pełne smutku. Zupełnie jak w chorobie...

— Tak, to choroba — powiedział z przekonaniem Antoni Pawłowicz. — To jest choroba, po łacinie nazywa się morbus udawantis.

Przedśmiertne dzieło Czechowa „Wiśniowy sad" jest dalszym rozwinięciem tego rodzaju dramatycznego, który można nazwać „farsą tragiczną". Jak twierdzi Jermiłow — Czechow jest w „Wiśniowym sadzie" twórcą nowego rodzaju dramaturgicznego: lirycznej komedii, połączonej ze społecznym wodewilem. Jermiłow przy tym sformułowaniu powołuje się trafnie na niezmiernie interesującą myśl Marksa, który mówi, że ludzkość „ze śmiechem" żegna swoją przeszłość, przeżyte już formy bytowania. Ten sam „śmiech" towarzyszy Czechowowi, gdy w „Wiśniowym sadzie" żegna dawną, ziemiańską, odchodzącą w przeszłość Rosję. W tym właśnie mieści się pierwiastek komediowy „Wiśniowego sadu". Głęboki liryzm tej sztuki — to pożegnanie piękna przeszłości i widzenie nowego, rodzącego się piękna. Raniewska i Gajew, którzy przeputali rodowy majątek, bardzo boleją nad stratą wiśniowego sadu. Uważają, że przekreśli ona całe ich życie. Gajew tworzy fantastyczne plany ocalenia wiśniowego sadu, ale oczywiście realne życie plany te z punktu przekreśla. Wiśniowy sad skazany jest na zagładę, na zagładę skazana jest cała Turgieniewowska Rosja „szlacheckich gniazd" tak piękna pozornie, ale przesłaniająca tą urodą tyle łez i krwi. Wiśniowy sad zostanie zrąbany. Nie łudźmy się jednak, Raniewska i Gajew, którzy tyle deklamują o jego urodzie, przeżyją bez większego wstrząsu tę stratę. Nie są oni organicz-

nie związani z ziemią rosyjską, nie są oni zdolni do pojmowania istotnego jej piękna. Ale obok nich już żyją ludzie, którzy kiedyś w przyszłości na miejscu zrąbanego przez wzbogaconego chłopa Łopuchina dawnego wiśniowego sadu posadzą nowe piękne sady. Student Trofimow, człowiek, który już zrozumiał trudną dialektykę urody wiśniowych sadów, na pytanie Ani: „Co pan ze mną zrobił, panie Piotrusiu, że już nie kocham wiśniowego sadu tak jak dawniej?" — mówi do niej: „Cała Rosja jest naszym sadem. Wielka i piękna ziemia, która ma wiele cudownych miejsc. Niech pani pomyśli, Aniu: pani dziad, pradziad i wszyscy przodkowie pani to byli posiadacze ziemscy, władający żywymi duszami, i czy z każdej wiśni w ogrodzie, z każdego listka, z każdego pnia nie patrzą na panią istoty ludzkie, czyż pani nie słyszy ich głosów... Władać żywymi duszami — przecież to wypaczyło was wszystkich, żyjących dawniej i teraz; i matka, i wuj pani, i pani sama, wy wszyscy już nie spostrzegacie, że żyjecie na kredyt, na cudzy koszt, na koszt tych ludzi, których nie wpuszczacie dalej niż do przedpokoju... Przecież to takie proste: aby zacząć żyć w teraźniejszości, należy przedtem odkupić własną przeszłość, skończyć z nią..."

Ania w przeciwieństwie do trzech sióstr, w przeciwieństwie do Soni z „Wujaszka Wani" skończyła z ową przeszłością i wie dokładnie, dokąd pójdzie, gdy opuści ten dom, którego już nie uważa za swój. Jej droga, tak jak i droga Trofimowa, jest wyraźna: Jeżeli dla Raniewskiej i Gajewa wiśniowy sad jest — wedle słów Puszkina — „...cichym schronieniem od śmierci, kryjówką uczt nie zakłóconych niczym", to Ania i Trofimow, wzgardziwszy tym schronieniem, wypowiedzą nieubłaganą walkę śmierci, walkę temu, co umiera bezpowrotnie — w imię nowego życia, w imię przyszłości. Względy cenzuralne nie pozwoliły Czechowi powiedzieć wyraźnie, że przyszła droga Ani to droga rewolucji. Ale doświadczony słuchacz ówczesny, który rozumiał dokładnie symbolikę podtekstu, nie mylił się co do istotnego sensu sztuki

„Wiśniowy sad" jest najbardziej optymistyczną, a jednocześnie najweselszą sztuką Czechowa. W żadnej bodaj akcenty liryczne i farsowe nie zostały tak harmonijnie rozłożone i w żadnej tak wyraźnie podkreślone elementy społeczne. Krytyka liberalistyczna i tu, oczywiście, usiłowała przesunąć w niewłaściwym kierunku istotę problemu. Twierdzono, że są to liryczne wylewy żalu po zanikających „szlacheckich gniazdach", podziwiano „krzepę" Łopachina, potomka niewolników, który zdobył majątek swoich panów, przedstawiciela rzekomo nowej klasy społecznej, a nie widziano szyderstwa, z jakim Czechow odmalował tę postać kułaka. Wielki patos liryczny „Wiśniowego sadu" zamyka się w dwóch okrzykach finalnej sceny. Ania woła: „Żegnaj, domu kochany! Żegnaj, dawne życie!" — a na to Trofimow jej odpowiada: „Witaj, nowe życie!"

„Witaj, nowe życie!" W tych prostych słowach jest zamknięta jedyna, najbardziej zwięzła, a pełna wielkiej treści charakterystyka twórczości Czechowa. Liryka pożegnania z pięknymi stronami starego życia i głęboka wiara, że nowe życie przyniesie z sobą prawdziwie humanistyczne rozwiązanie wszystkich problemów, wśród których szarpią się najlepsi spośród bohaterów jego dzieł, pogarda dla tych, którzy stworzyli warunki nieznośne dla ludzkiego bytowania — oto trzon, na którym opiera się cała ta wielka twórczość. Demaskowanie „ludzi w futerale" pomogło dojrzeć tym, którzy przygotowali grunt pod Rewolucję Październikową. „Nasz kraj nie lubi Priszibiejewów" — powiedział Józef Stalin. Czechow, który kochał swój kraj, pokazał swoim współczesnym Priszibiejewów, chwytając ich na gorącym uczynku codziennych, drobnych łajdactw. Pokazał również małych ludzi, którzy dokonują wielkich rzeczy. Małych ludzi z wielką duszą.

Seweryn Pollak

OLGIERD WOJTASIEWICZ

SŁOWO WSTĘPNE DO POEMATU CIU JUANA

Ciu Juan (ur. ok. 340, zm. ok. 280 p. n. e.), którego pamięć uczciło się w 1953 r. zgodnie z uchwałą Światowej Rady Pokoju, by pierwszym nie-anoninowym poetą-chińskim, a jednocześnie wybitnym, choć nieszczęśliwym politykiem.

Jako poeta, jeden z największych, jakich wydały Chiny, śmiało czerpał formę

a w znacznym stopniu i treść z utworów ludowych, i przetwarzał je w poezję oryginalną, żywą, w pełni wykorzystującą olbrzymią erudycję autora w dziedzinie historii swego kraju oraz wierzeń i obyczajów.

Jako polityk przez całe niemal życie niezłomnie walczył przeciw agresji ze strony jednego z państw, na jakie Chiny były wtedy rozbite, dążąc do zapewnienia Chinom pokoju. Jeśli nie osiągnął powodzenia, to z wielu przyczyn, od niego niezależnych: zawiłych stosunków gospodarczych, społecznych i politycznych ówczesnych Chin, niezrozumienia w kołach dworskich jego kraju oraz braku sił, na których mógłby się oprzeć celem wprowadzenia swojej polityki w życie. Stałością przekonań i bezinteresownością wyróżniał się w zgoła wyjątkowy sposób od ogółu polityków i intelektualistów chińskich swojej epoki, którzy byli gotowi ofiarować swoje usługi każdemu władcy, który za to zapłacił.

Te jego zasługi: patriotyzm, walka przeciwko agresji oraz wielka twórczość poetycka, ściśle związana z ludem, sprawiły, że czcimy dzisiaj jego pamięć.

„Przywoływanie Ducha" nawiązuje do obrzędu ludowego, polegającego na przywoływaniu — z zachowaniem odpowiedniego ceremoniału — ducha osoby zmarłej lub obłąkanej, gdyż w starochińskich wierzeniach zarówno śmierć, jak i obłęd uważano za oddzielenie się ducha od ciała. W wypadku zgonu obrzęd ten należał zapewne do ceremoniału pogrzebowego, miał być definitywnym potwierdzeniem śmierci, skoro duch mimo nawoływań nie wracał do ciała. W wypadku choroby psychicznej był to zabieg magiczno - leczniczy. Sama inkowacja polegała na opisywaniu niebezpieczeństw czyhających w odległych rejonach świata oraz piękna stron ojczystych osoby, której ducha przywoływano.

Tutaj człowiekiem tym jest zapewne władca państwa Cz'u, ojczyzny Ciu Juana. Wskazuje na to opis pałacu, stanowiącego własność osoby, do której obrzęd się odnosi. Utwór ten miał może znaczenie alegoryczne: wzywanie króla, aby powrócił do swego kraju, mogło oznaczać wzywanie go, aby zaczął prowadzić politykę zgodną z interesami ojczyzny. Niestety, obecnie sprawy te nie dadzą się ściśle rozstrzygnąć.

Poemat, oprócz właściwej inwokacji, składa się z dwuczęściowego wstępu i takiegoż zakończenia.

Pierwsza część wstępu nawiązuje do niepowodzeń autora, który nie zdołał u swego władcy znaleźć posłuchu dla swoich rad. Druga część, stanowiąca przejście do inwokacji, jest aluzją do wierzeń mitologicznych, nie całkowicie dla nas jasną.

Sama inwokacja na początku zawiera opis będący odbiciem dawnych wyobrażeń geograficznych na temat krajów sąsiadujących z Chinami, a w dalszej części obszerny opis pałacu królewskiego i życia dworskiego, bardzo cenny z punktu widzenia realiów i obyczajów.

W zakończeniu część pierwsza jest wspomnieniem z polowania, w którym udział brał władca będący teraz przedmiotem obrzędu, a część druga to alegoryczny finał, nawiązujący do pierwszej części wstępu.

Aluzje wymagające wyjaśnień: Pod koniec właściwej inwokacji znajduje się dwuwiersz o storczyku, na pozór nie związany z tekstem. Storczyk, podobnie jak wiele innych wonnych kwiatów, był w starożytnych Chinach symbolem mądrego i nieprzekupnego ministra. Dwuwiersz oznacza więc, że jeśli tylko władca zechce skorzystać z rad Ciu Juana, (który w czasie pisania tego poematu odsunięty był od wpływów), to ten natychmiast pospieszy, by służyć królowi pomocą. W samym zakończeniu „zarosła ścieżka..." oznacza, że król nie chodzi wśród storczyków, to jest nie otacza się mądrymi ministrami. „Samotne drzewo..." to zapewne symbol osamotnienia autora.

Ze względów językowych zachowanie metrum wiersza chińskiego w przekładzie polskim jest niemożliwe, a rym w poezji chińskiej oprócz zgodności wygłosu, jak w poezji europejskiej, wymaga również zgodności tonu, nie istniejącego w polskim systemie fonetycznym (szczegółów nie podaję, gdyż zamieniłyby się w rozprawkę lub wykład o fonetyce i wersyfikacji chińskiej). Wobec wynikającej z tego niemożliwości zachowania formy orginału poszedłem w kierunku jak największej wierności w oddaniu treści, kosztem i tak nieosiągalnej wierności w oddaniu formy. W dwóch miejscach opuściłem wyrażenia nieprzetłumaczalne w praktyce lub dziś juz mało zrozumiałe. W planowanym wydaniu książkowym, o charakterze bardziej naukowym, miejsca te będą zaznaczone w przypisach.

Olgierd Wojtasiewicz

CIU JUAN

Przełożył z chińskiego OLGIERD WOJTASIEWICZ

PRZYWOŁYWANIE DUCHA

Od lat się młodych zaprawiałem
W cnotach szlachetnych, prawość zawsze
Czynami mymi kierowała
I, nieskażony złym postępkiem,
Najjaśniejszemu chciałem służyć,
Lecz on się uwieść dał
Pragnieniom pospolitym,
I Jasność zbladła. W dziejach niezrównana,
Wielu doznała zaćmień i przygasła.

Niebiański władca wieszczce rzekł:
„Na ziemi jest człowiek,
Któremu chcę pomóc.
Duch jego się błąka,
Zaklęciem go sprowadź!"
Odpowiedziała wieszczka:
„Jam jest władczyni snów,
Trudno mi będzie spełnić Twoją wolę.
Jeśli go przyzwać mam,
Lękam się później władzę mą utracić,
Bo wtedy na nic już się nie zda wieszczka".

Przyzywać jednak rozpoczęła:
„O duchu, wróć!
Czemu siedzibę swoją opuściłeś
Aby przemierzać cztery strony świata?
Czemu wyszedłeś z krainy radości
By się zapuszczać w dziedziny złowrogie?

O duchu, wróć!
Stron wschodu nie bierz sobie za mieszkanie,
Gdyż tam olbrzymy tysiącosążniowe
Na zabłąkane czekają wciąż duchy,
Tam dziesięć słońc
Roztapia kruszce i kamienie.
Ich własny im nie szkodzi żar,
Lecz twój duch zginie, gdy się zbliży,
O wróć, o wróć!
Stron owych nie bierz za mieszkanie!

O duchu, wróć!
Na południu się nie zatrzymuj!
Tam ludzie źli o twarzach malowanych
I kłach czernionych dybią
By ludzkie mięso złożyć móc w ofierze
I z ludzkich kości gotować wywary.
Tam się od wielkich wężów roi,
Od strasznych lisów na tysiąc mil długich,
Tam kraj przebiegają
Srogie jaszczury o dziewięciu głowach,
Które się krzepią pożeraniem ludzi.
O wróć, o wróć!
W tych stronach długo nie zostawaj!

O duchu, wróć!
Zachód jest pełen niebezpieczeństw,
Ruchome piaski na tysiące mil,

Gdy w swój wir pochwycą,
Ślad nie zostanie po wędrowcu biednym,
A jeśli zdołasz umknąć ich objęciom
Dzicz się przed tobą roztoczy bez kresu —

Czerwone mrówki na kształt słoni wielkie
I czarne osy, olbrzymie jak dynie.
Nie rosną tam zboża,
A traw łodygi wyschnięte i zwiędłe
Za pokarm starczyć muszą podróżnemu.
Tam wypalona ziemia swoim żarem
Wyniszcza ludzi, wody tam nie znajdziesz,
Pomocy znikąd nie ma ni opacia,
Ani przestrzeni nie przemierzysz krokiem.
O wróć, o wróć!
Gdyż lękam się, by los złowrogi
Udziałem twoim się tam nie stał!

O duchu, wróć!
Na północy się nie zatrzymuj!
Lodowców zwały i śnieżyce
Ciągną się tam na mil tysiące.
O wróć, o wróć!
Nie pozostawaj na północy!

O duchu, wróć!
Ku niebu się nie kieruj,
Gdyż tam tygrysy strzegą bram dziewięciu,
Gotowe pożreć śmiałka, co się zbliży.
Tam czuwa olbrzym o dziewięciu głowach,
Co drzew tysięcy dziewięć
Jednym szarpnięciem zdolny wyrwać z ziemi.
Tam stale krążą wilki podejrzliwe
I wyciem swoim wypełniają przestwór.
Ze schwytanymi igrają okrutnie,
To ich wieszają, to strącają w otchłań,
Dopóki Władca Niebios nie orzeknie.
Spokoju duch nie zazna tam zbłąkany.
O wróć, o wróć!
Bo groza wokół czyha.

O duchu, wróć!
W podziemne nie schodź mroki.
Ich władca dziewięć ma ogonów
I w rogi zbrojny łeb,
Potężne bary, łapy krwią splamione.
Trójoki, z łbem tygrysim, cielskiem byka,
Wciąż ściga ludzi, których mięso
Za słodki przysmak ma.
O wróć, o wróć!
Gdyż lękam się,
Iż nieszczęść padniesz tam ofiarą.

O duchu, wróć!
Znów w miasta bramy wstąp
Biegły przyzywa cię czarownik,
Który na twoje wychodzi spotkanie.

Przędziwo z Ts'in, i jedwab z Ts'i,
I z Czeng tkanina czeka,
Piszczałki też gotowe do obrzędu,
By zawodzeniem długim
Przywołać ducha twego.

O duchu, wróć!
Do stron rodzinnych wracaj!
Bo przestwór i podziemie
Świata cztery strony
Są pełne zła i grozy.
W komnacie stoi posąg twój,
A wokół spokój niezmącony.
Wysokie sale, gmach wyniosły,
Wejście wspaniałe z poręczami,
Wieże, tarasy o wzgórza oparte,
I drzwi wejściowe, przemyślnie zdobione
Czerwienią wzoru ciętych czworokątów,
Zacisznie zimą a przewiewnie latem,
Wokół strumienie kręte ale bystre.
Kiedy po deszczu słońce znów zaświeci,
Zroszone trawy mienią się w promieniach,
A wonne zioła chwieją się na wietrze.
Gdy przejdziesz salę i w komnatę wstąpisz,
Tam szkarłat ujrzysz progu i podłogi,
Tam gładkie ściany z kosztownych kamieni,
Zdobione piórem zimorodka barwnym.
Kamień i pióro pod światła promieniem
Rozbłyski swoje splatają w uścisku.
O ściany lilie wysmukłe oparte,
Nad nimi zasłon jedwab rozciągniony,
Ozdobny haftem, naszyty klejnotem.
W komnacie widok przepyszny a rzadki:
Wnętrze przedziwne w blasku wonnych świec.
Dwa rzędy dziewcząt wyczekują,
Aby kolejno tę komnatę
Móc z tobą dzielić w każdą noc.
Dziewięciu możnych rodów córy,
Z urody i dworności słynne,
Wymyślnym uczesaniem piękne,
Pałacu sale wypełniają.
O licu gładkim, lecz poważne,
Szczere, nic w sercu nie kryjące,
Szczupłe i smukłe gromadzą się w sali.
Brwi atłasowe,
Spojrzenia powłóczyste,
Płonące blaskiem oczy,
Skóra przedziwnie gładka,
Spojrzenia potajemne.
Ukryte za kotarą,
Czekają, aż pan wezwie.
Tam zieleń zimorodka piór
Zdobi zasłony sal wysokich.
Belki nefrytem wysadzane,
A jeśli w górę oczy wzniesiesz,
W smoki rzeźbiony zoczysz strop.
Gdy z sali wyjrzysz,
W dole strumyk kręty,
A po nim wodne kwiecie pływa,
W podmuchach wiatru swoim liściem młodym
Na falach rzeczki pisząc znaki.
W lamparcie skóry straż przybrana
Przy schodach pana oczekuje.
Już wóz podjechał, a piesi i konni
W krąg go otoczą, by rozkazów słuchać.
Pałacu bramę storczyki tam zdobią,
A wonne krzewy żywopłotem chronią.

O duchu, wróć!
Czemu po świecie błądzisz?
Rodzina twoja do uczty zasiadła —

Młoda pszenica, ryż i proso,
Przyprawy ostre, pieprz i miód,
A potem wołu tłusty kark,
Wonny a kruchy niezrównanie,
I rosół mocno przyprawiony,
Według zwyczaju ludzi z Wu,
Pieczone jagnię, miękki żółw,
Z cukrowej trzciny wywar słodki,
Łabędzie w occie, dzikie kaczki,
Żórawie i pieczone gęsi,
Kurczęta, żółwie tak pieczone,
By z nich nie umknął smaczny sok,
Przesłodkie ciasta w miód obfite,
Słodowy napój do sytości,
Miody wszelakie pomieszane
W pucharze skrzydłami zdobionym,
Wino na lodzie — napój przeczysty,
I wszelkie inne napoje świetne.

O, wróć do rodzinnego domu,
Gdzie wszyscy czcią cię otaczają
I nikt nie żywi myśli złych!

Zanim mięsiwa w krąg obejdą,
Dwa rzędy dziewcząt się pojawią
Uderzać w bębny, w gongi bić
I biesiadnikom śpiewać pieśni
O przeprawach przez rzekę
I o kwiecia zbieraniu.
Pod wpływem wina piękne dziewczę
Rumieńcem swą oblewa twarz.
Błyszczący wzrok, spojrzenie tęskne,
W oczach uczucia płonie blask.
Kusząco wiotkie i powabne
W jedwabiach suto haftowanych,
Z włosem misternie ułożonym,
Cennymi klejnotami zdobnym,
Gdy się parami przesuwają
Tańcząc wymyślny taniec z Czeng,
W wirowym ruchu szaty lekkie
Coraz się wyżej wznoszą w krąg,
I tak podchodzą blisko, blisko,
Aż o stół muśnie biała dłoń.
Piszczałek świst i bębnów huk
W pałacu dźwiękiem groźnym brzmi.
Melodie z Cz'u, piosenki z Wu,
I tony z Ts'ai wciąż płyną.
Goście nie bacząc na obyczaj,
Siadają razem z tancerkami,
Zdejmują głów nakrycia
I szaty rozluźniają.
Kobiety piękne z Czeng i Wei
Siadają między nimi,
Ze wszystkich najpiękniejsze
Najśmielej się zbliżają.
A kiedy uczta już się skończy,
To biesiadnicy w gry się bawią,
Z drogich kamieni wyrzeźbione
Misterne bierki przesuwają
I prężnych łuków gną majdany.
Tak potykają się parami,
Swych sił probując w tych spotkaniach.
Rzucają kości, pokrzykują,

Do zmierzchu trwa zabawa ta,
A potem znów rozbrzmiewa flet,
Znów lira, gong i bęben.
Muzyka z winem na przemiany,
Nikt dnia i nocy nie pamięta.
Z brązowych lamp ozdobnych
Blask pada i woń płynie.

Jeśli pomyślisz o storczyku,
On wnet się zjawi koło ciebie.

Pragnieniom tajnym biesiadnicy
Piosenki nucąc dają wyraz.
Gdy wino radość coraz wzmaga,
Przeszłości wielkich mężów sławią.
O duchu, wróć!
Wróć do swych stron rodzinnych!"

Początkiem roku, bujną wiosną,
Gdy wędrowałem na południe
Wśród wonnych pąków młodych kwiatów,
Przebyłem rzekę i na wschód skręciłem.
Pośrodku jezior i moczarów
Bezludną dal widziałem wokół.
Cztery rumaki moje kare
Wśród innych wozów mkną tysiąca.
Kiedy pochodnie zapalono
Odblask popłynął po jeziorach
A niebo łuną rozgorzało.
Nagonka się rozstawia,
Gdy jedni ciągną pieszo,
Drudzy na koniach pędzą,
Miejsca zajmują inni.
Kieruję nimi: za mną w ślad,
To się wstrzymują to znów ruszą,
Ja wozem mym zataczam łuk,
By Króla spotkać wśród moczarów,
I ludzi swych przynaglam wciąż.
A oto Król — od jednej strzały
Rażony nosorożec padł.

Po nocy świt płomienny przyszedł,
Czasu nie zdoła nic powstrzymać,
Zarosła ścieżka wśród storczyków,
Samotne drzewo nad strumieniem...
Wzrok sięga na tysiące mil,
A serce smutku pełne...
O duchu, wróć!
W rodzinne powróć strony!

Przełożył *Olgierd Wojtasiewicz*

ZYGMUNT MIKULSKI

JESIEŃ WARSZAWSKA

(notatnik)

1.

Rok wstąpił w trzecią kwadrę,
wiatr przeszedł się ogrodem.
Miałem dokładny adres,
przepadł jak kamień w wodę.

W kieszeni siedział. Słowo.
Przepadł. No przepadł. Cóż...
Jakaś Warszawa — Koło,
jakaś Aleja Róż...

A może to i lepiej?
Szukać tych ulic i
jak drogi mebel w sklepie
oglądać czyjeś drzwi..

A może to i prościej?
W jesieni jest tylko cień.
Pójdę. Stanę na moście
obok jesiennych lśnień.

Z mostu w jaką ulicę
krok mnie powolny zniesie,
jak dziecko się zachwycę:
jesień, warszawska jesień!

2.

Szumi w słonecznikach. Wiatr to złota pszczoła.
Powój pięter pnie się i oknami kwitnie.
O, jesieni wietrzna, dźwięczna i wesoła,
o, jesieni wietrzny i wesoły rytmie!

A w ogrodach nuty, szepty, rozhowory,
ogień w liściach winnych, jak pożar na chórze.
Chodzą ogrodami wesołe kolory,
bo kolory wszystkie są dzień po maturze.

Siedzę. Mrużę oczy. Trzcina rzęs nad Wisłą.
Falą Wisła idzie. Pobrzękuje w strunę.
I znów wietrzyk wraca i sprzyja pomysłom,
i znów słońce wchodzi w warszawski rysunek.

3.

— Osiemnastka?
— Osiemnastka.
— A gdzie jakiś jest przystanek?
— Kochaneczku, gdzie ta gwiazdka,
perła wszystkich warszawianek.
Gwiazdki każda pragnie przecież.
— To i niebo jest w CDT-cie?
— Jest. To widać z tej ulicy:
w Ciągłej, Dziwnej Tajemnicy,
bo tych gwiazd przedziwnych mrowie
jak nad fantastycznym snem.
Ale niech mi ktoś odpowie:
gdzie jest w niebie MDM?
Chyba częściej patrzeć trzeba
na plan rozbudowy nieba.
— Pan warszawiak?
— A się gubię,
lecz w Warszawie i to lubię.
— Co, Słowacki?
— Tak, Mickiewicz.
A z ballady wyszedł bies.

Wodna lilia, mały trzewik,
kolia z elektrycznych łez.
C północy. Gdy wiatr wieje.
Wieje Wisła modrym snem.
Ja przepraszam. Ja się śmieję.
To Warszawa. MDM.

4.

Dajcie mi pierwsze słowo, chcę patrzeć w ten plac jak w kryształ.
Różo wiatrów, światłości, źródlana wodo czysta.

Wiatr pierwszy i dziewiąty, wszystkie ze scen romantycznych
tutaj przychodzą wiatry i z nimi jest wiatr uliczny.

Na dramatach Szekspira zbrodniarz wyznawał swe zbrodnie.
Chcę więcej światła unieść. Na tym placu chcę być przechodniem.

Architektura tutaj, a strąk jej kiedy pęka
wyfruwa światło dźwięczne i gra na wszystkich dźwiękach.

Okien, luster i gwiazd muzyka dotyka
i jak śnieg w żyrandolach wiruje ta muzyka.

Niech tu ptaki przylecą, niech tu liście przylecą.
Na tym placu słów szukam, jak Diogenes ze świecą.

Tyle gwiazd zapalonych i długich promieni .
Gdzie? Gdzie słowo choć jedno o warszawskiej jesieni?

Północ dawno wybiła na mym ręcznym zegarku.
Które drzwi? Który marmur? Gdzie zajrzę latarką?

Pustą torbą o słowo najsrebrzystsze żebrzę
u tej nocy w marmurze, u tej nocy w srebrze.

Ścian i okien wysokich i wszystkiej Warszawy,
u dróg niewiadomych i ptaków niemrawych,

które siedzą na rękach w lesie, we śnie dzieci —
a mrok spływa z sosen i paproć zaświeci,

źródło zatęczuje skryte pośród cienia
i zorze nad mchami — sygnał do kwitnienia,

nagle blask drżący, jakbyś gwiazdy zebrał.

Tak, nie dziecko, żebrałem u Wielkiego Srebra.

5.

Masz długie i czarne włosy .
Może jesteś Cyganką
Patrzę w ciebie jak w księżyc
na ostatnim przystanku

Tramwaj wepchnął się w liście,
wszedł w liściastą polanę.
Noc podeszła. Gałązką
puka w okno przystanek.

Jesteś damą pikową
czy cygańską dziewczyną?
Jak w domku z kart różowych
mieszkamy przez pięć minut.

Dzwonek. I znowu tramwaj.
O cuda, o zieleń.
Tramwaj, tramwaj dźwięczący
wzdłuż warszawskiej jesieni.

6.

Można by jeszcze wyliczyć struna po strunie
ile razy wiatr zagadał ze słońcem,
ile liści jeszcze zielonych frunęło w południe
nagle niezdecydowanych, uniesionych w koncert,
pokój, firanka, wietrzyk, ktoś Szopena...
(może nawet nie trzeba o tej porze skrzydlatej) —
jak te liście frunęły, jak te liście do nieba,
ile w liściach jest jeszcze tematów;
i ta struna, gruba struna, ta, co w dwójnasób
błyska słońcem, dźwiękiem, który oślepia,
struna, struna, bas generałbasów,
struna — bas, struna wiolin, Szopena fortepian,
a ty masz oczy, jak Cyganka czarne —
dwie siostry nocy, a noc to podniebna Wisła,
a nad Warszawę sypnęło już gwiaździstym ziarnem,
a w Warszawie jeszcze fala do brzegu przyszła,
fala, a ona jest więcej niż smyczek, niż oczy dziewczęce
dłoń czuła, szept liścia, twarz w dłoniach,
ona jest więcej, więcej, więcej,
ona — fala zielona, natchniona.
I noc. Mrok łazi po moście — śmieszne, duże kocię
I szum. Noc warszawska oddycha w robocie.

7.

W tym kiosku (trzy kroki)
kupimy gazetę.
Jesienne obłoki
tańczą piruetem.

— Proszę rok bieżący
w jesiennej mutacji.
Liść, ulica, słońce
pędzi spod rotacji.

Słońce — tom symfonii,
a ten mniejszy — słonko.
Tytuł gra. Druk dzwoni
garmontową czcionką.

Boruta panie bracie
Szlagier, super, bania.
A jesień w kwadracie
uprzejmie się kłania.

Cylindrem. I oto
jak magik, z mrugnięciem
wpycha w liście złoto
a w człowieka szczęście.

Ze skały tarpejskiej
z zachwytu w te blaski!
O, promienie miejskie,
o, wietrze warszawski!

8.

A ze wszystkich instrumentów grających
oplecionych dzikim winem i słońcem,

z fali rzecznej, co rozmawia z brzegiem,
z liści, które schodzą z drzewa szeregiem

idzie nuta i barwa i złoto —
a to jesień zaplątana w Mokotów.

Jesień — pora roku za latem
co wędruje i Nowym Światem.

I latarnie pali i liście.
I muzyki cichej jest przyjściem.

I lśni blaskiem po strunach i stronach
jesień dzikim winem natchniona.

Zygmunt Mikulski

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

OBŁAWA

(Fragment z powieści pt. „Zawieja" — pierwszy tom trylogii powieściowej)

Wieść o zwycięstwie pod Lenino przeleciała po kraju jak błyskawica docierając do najdalszych zakątków, do najbardziej zapadłych wsi i osad. Przedarła się nawet przez mury hitlerowskich więzień, przez druty obozów koncentracyjnych, dobrze strzeżone szosy i zapomniane, leśne ścieżyny. Podawano ją z ust do ust, ż chałupy do chałupy jak dobrą, z dawna oczekiwaną nowinę.

Do Dąbrowy przyniósł ją Franek Piskorz, wręczając Józkowi Smółce kartkę od Mikołaja z krótkim i suchym meldunkiem. Był to komunikat nadany przez radio: „12 października 43 r. l. p .p., po zwiadzie bojem dokonanym przez 1 batalion, zdobył pierwszą linię obrony faszystowskiej w rejonie miasteczka Lenino". W tym jednym, prostym zdaniu zamykało się wszystko: bohaterstwo, krew i chwała żołnierzy Pierwszej Dywizji im. T. Kościuszki, sława zwycięzców!

Jeszcze tego samego dnia zwołano odprawę Gwardii Ludowej. Chodziło przede wszystkim o omówienie bitwy pod Lenino i jej przełomowego znaczenia dla sprawy polskiej. Zebranie zagaił Paweł. W słabym świetle zakopconej lampy naftowej wyglądał blado i niepozornie. Tylko oczy żarzyły się, jak dwie iskry. Słowa jego były nabrzmiałe wzruszeniem, głos łamał się, to podnosił, grube, popękane wargi poruszały się wolno, wyrzucając krótkie zdania.

— Chwała poległym bohaterom spod Lenino — zakończył — Sława tym, co zginęli pod sztandarami, na których wypisano: „Za waszą i naszą wolność!"

Partyzanci powstali z miejsc. Zrobiło się cicho ,uroczyście. Przed oczyma zebranych stanęły cienie zabitych i pogrzebanych na Ziemi Radzieckiej żołnierzy Dywizji im. T. Kościuszki...

Wtenczas zabrał głos Józef Smółka. Stał na tle białej ściany, górując nad otoczeniem. Wszyscy lubili go słuchać, bo mówił lekko, płynnie. Z łatwością dobierał słowa, grzmiał, jak kaznodzieja. W ostatnich dniach przeniesiono go do roboty politycznej w Gwardii, bo był dobrym agitatorem.

— Żołnierze ci — mówił — idą do Polski po

drodze pełnej ofiar i poświęcenia, broczą serdeczną krwią i umierają z imieniem ojczyzny na ustach, wierząc, że kraj nasz będzie wolny i niepodległy, stanie się domem dla wszystkich obywateli, że raz na zawsze zniknie z tej ziemi krzywda, skończy się wyzysk i zacofanie i że państwo nasze będzie rządzone przez lud pracujący, przez robotników i chłopów! W walce pod Lenino Wojsko Polskie po raz pierwszy wystąpiło u boku Armii Radzieckiej, przypieczętowując wspólnie przelaną krwią braterstwo broni i idei z Krajem Rad. Był to bój odrodzonych Sił Zbrojnych z hitlerowskim najeźdźcą o Ludową Ojczyznę!..

Spojrzał na zebranych towarzyszy stłoczonych w niewielkiej, słabo oświetlonej izbie, na partyzantów z Dąbrowy, Zaklikowa, Uściąży i Kazimierza, a napotkawszy duże, myślące oczy Pawła Misia, zasnute mgłą rozczulenia, sam poczuł lekkie ściskanie w gardle...

Ale się opanował. Pochrząkując wydobył z kieszeni powycieranej kurtki najnowszy numer „Gwardzisty" i zaczął czytać: „Oddziały partyzanckie i grupy wypadowe Gwardii Ludowej w walce z transportem wroga wykoleiły 4 pociągi, powodując 71-godzinną przerwę w ruchu komunikacyjnym, stoczyły 11 bitew. Jedna z kompanii zniszczyła pociąg towarowy z bronią i amunicją na linii Dęblin — Puławy. Na polu walki zostało kilkunastu hitlerowców, dwie lokomotywy runęły z nasypu, a wagony zostały strzaskane".

— To o nas! — krzyknął Sęp.

— To my!

W izbie zaszumiało, jakby przez szeroko otwarte drzwi wdarł się nagle do wnętrza gwałtowny podmuch wichury. Światło trochę przygasło, a w gęstniejącym półmroku błyszczały tylko jak rozpalające się iskry młode, pełgające oczy...

— „Ruch partyzancki — czytał dalej Smółka — rozprzestrzenia się jak płomień. Spod rozkazów „Londynu" wyłamują się Bataliony Chłopskie, a nawet pewne oddziały AK. Drobne potyczki zamieniają się w otwarte bitwy. Rosną nasze szeregi, topnieją siły nieprzyjaciela"...

Piotr siedział w kącie chciwie chwytając każdą wypowiedź. Po przejściu Józka do roboty politycznej w Gwardii Ludowej, objął po nim komendę plutonu. Był dumny z tego wyróżnienia i czuł, że pracy tej poświęci wszystkie siły, całego siebie. Nie lubił gadania, długich i mądrych rozważań, gdyż sam był raczej mrukliwy, zamknięty. Toteż nie mógł usiedzieć w miejscu, rwał się do boju. Co tam słowa! Tylko karabinem można zmienić sytuację, pokonać wroga. Dlatego szkoda każdej straconej minuty, jeśli nie zbliża nas do zwycięstwa...

Sęp zbliżył się do stołu i potrząsając rozwichrzoną czupryną zaśpiewał znaną partyzancką piosenkę. Melodię tę podchwycili i inni. I oto naraz cała izba zatrzęsła się, zadygotała porwana burzą skłębionych mocnych głosów.

Szaleje straszna zawieja,
Za gromem bije grom,
Wróg zdeptał naszą ziemię,
Podpalił każdy dom.

Szaleje straszna zawieja,
Potokiem płynie krew,
Lecz z piersi naszych bucha
Buntu płomienny śpiew!

Chór nieco przycichł, jakby ktoś nogą przydeptał płomień, lecz zaraz zerwał się na nowo, podsycony przez gołowąsego Sępa. Ten śpiewał chyba najgłośniej, czerwony, przejęty.

Do broni, bracia, do broni
Za wolność, za nowy ład,
Zburzymy porządek stary,
Stworzymy nowy świat!

Zniesiemy przemoc i krzywdę,
Skończy się nędza i głód,
Gdy władzę ujmie w swe ręce
Prosty, walczący Lud!

Już dobiegała północ, gdy rozeszli się po chałupach; każdy z nich udał się w swoją stronę. Przez jakiś czas głośniej ujadały psy, a po obejściach rwał się śmiech i brzęczały męskie podniesione głosy. Potem wszystko umilkło i nad Dąbrową rozpostarła się ciemna październikowa noc, noc chłodna i nieprzejrzana.

Jasiek ostrożnie wsunął się do nagrzanej izby, szybko rozebrał się i legł obok pochrapującej Tereski, ale nie mógł usnąć, bo po głowie chodziły mu najrozmaitsze myśli. Najpierw zajmowało go gospodarstwo, stan tegorocznych zasiewów, inwentarz oraz kłopoty związane z odstawą kontyngentu. Do tej pory, idąc za przykładem sąsiadów, nie odwiózł

Niemcom ani jednego ziarna, lecz teraz postanowił nie ryzykować. „Trzeba im oddać coś niecoś, medytował, lepiej psa nie drażnić. Warto odjąć sobie od ust, byle mieć spokój!" Zaraz jutro weźmie się do młocki, bo i tak stracił tyle cennego czasu na robotę podziemną, na ciągłe akcje i coraz to częstsze wypady. Tak przynajmniej twierdzi Tereska!

Zbudził się jeszcze przed świtem. Przez chwilę wsłuchiwał się w spokojny oddech żony. Z kuchni dolatywało potężne chrapanie ojca, przechodzące w głośny świst. W jednej chwili odleciał go sen. Spojrzał w zamatowiałe szyby, ziewnął i powoli począł wciągać buty.

— Trza by zajrzeć do koni — myślał — nakarmić chudobę i chociaż trochę pomóc ojcu i Teresce. Żeby nie wiem co, muszę zająć się młocką, oddać kontyngent. Tamci niech robią co chcą, ja nie mogę ryzykować, bo chodzi mi o dom, o rodzinę... A niech ich tam zatka moja krwawica!

Wyszedł przed chałupę. Niebo bielało już na wschodzie, przypominając płynny ołów. Od Wisły, ukrytej w głębokiej kotlinie, dął chłodny wiatr. Jaśka przejął ziąb i dreszczem przebiegł po krzyżu. Skulił się, mocniej zapiął kurtkę i krok za krokiem poczłapał do stajni.

Wtem zza jaru, oddzielającego wieś od drogi, doleciał daleki, monotonny i ledwie dosłyszalny szmer. Jasiek przystanął i uważnie łowił wszystkie odgłosy płynące z puławskiego gościńca. „Co za diabeł?" szepnął z niepokojem. „Czyżby Niemcy?". Wybiegł za budynki, a wtenczas w ciszy szarego, październikowego przedrania zajęczał pomruk motorów. Teraz już wiedział, że pod osłoną spóźnionego świtu do wsi zbliżają się hitlerowcy, by spaść znienacka i zamknąwszy wszystkie trakty i przejścia, rozpocząć pacyfikację.

Jasiek wpadł do domu, ostrzegł Tereskę i porwawszy do kieszeni kawał razowca wyleciał jak wiatr w otwarte pole. Biegł co tchu, kierując się w stronę nadrzecznych kamieniołomów. Ale zaraz skręcił z obranej drogi, przesadził jakiś płot, okrążył głęboką wyrwę i za chwilę był już przed drzwiami Smółków. Zabębnił w szybę. A kiedy mu nikt nie odpowiedział, począł walić w ramę.

W oknie ukazała się rozkudłana głowa Józka. Przylgnął policzkiem do szyby i zapytał:

— Co tam, u licha?

— Niemcy!

— Gdzie?

— Zbliżają się od Puław! Uciekaj!..

Łoskot silników stawał się coraz bliższy. Jasiek przypuszczał, że kolumna znajduje się na początku Dąbrowy. Nagle wszystko ucichło i nad ziemią znów rozpostarła się kompletna cisza. Po obejściach piały koguty. Nad Wisłą mrugały jeszcze gwiazdy, a dołem wlokła się zwolna opadająca mgła.

Józek narzucił na ramiona krótki, trochę postrzępiony kożuszek, chwycił ukrytego pod poduszką Visa i stanął przed domem, by zorientować się w sytuacji. Zdziwił go zupełny spokój wiszący nad rozespaną, parującą ziemią, ale w tejże chwili ciszę rozpruł ogłuszający grzmot eksplodującego granatu.

— A to sukinsyny! — syknął z wściekłością. — Trzeba brać nogi za pas i wiać, jak cholera... Chodź ze mną, Jasiek. Pokażę ci dobrą kryjówkę, w jamie nad Wisłą. Tylko raz dwa!

— Nie, lepiej pójdę swoją drogą...

— To wiej!

Ruszyli w dwie przeciwne strony i za chwilę rozpłynęli się w kłębach mgły, kotłującej się nad rzeką. Znów parsknęły automaty, w powietrzu zaświstały kule, ktoś krzyknął: „Jezus!", z chałup wydarł się nagle przeraźliwy lament bab i żałosny, rozdzierający płacz przestraszonych dzieci.

Po zapłociach rozległ się tupot nóg wielu dziesiątków ludzi, uciekających w panicznym popłochu. Zza węgła wypadła jakaś rozczochrana głośno zawodząca kobieta i ciągnąc za sobą małą, pochlipującą dziewczynkę próbowała przekraść się nad Wisłę, lecz potknęła się i runęła w wyoraną bruzdę. Z sadów wymykali się raz po raz rozespani, złorzeczący chłopi, starając się dotrzeć do gęstej łozy, porastającej łagodne zbocza parującej rzeki, by stąd przedostać się do pobliskich kamieniołomów. Ale niejeden z nich musiał wrócić się z drogi, bo hitlerowcy zajęli już prawie wszystkie ważniejsze ścieżki i przejścia.

W obejściach wrzało, lament stawał się coraz to większy. Zdawało się, że nadszedł Sąd Ostateczny. Grzmot wystrzałów mieszał się z przeraźliwym krzykiem oraz z głosami komendy.

Rozwidniało się, kiedy przed dom sołtysa zajechało auto pełne bełkocących esesmanów.

Bańka został na miejscu, postanowił za wszelką cenę bronić wsi, nie dopuścić do nieszczęścia. Zbladł, ujrzawszy hałasujących faszystów, ale nadrabiał miną. Z ciężarówki wyskoczyło piętnastu wypasionych szwabów. Jeden z nich zbliżył się do chłopa. Spod hełmu wyglądała czerwona, tłusta twarz o niebieskich, dziecięcych oczach i jasnych rzęsach.

— To ty jesteś sołtysem? — spytał po polsku.

— Ja.

— Tak oddaliście kontyngent? A przecież wziąłeś odpowiedzialność za wszystkich. Za całą Dąbrowę... Tak?

— Tak, proszę pana...

— Ty, bandyto! Zachciało ci się bolszewizmu, co? Przygotowujesz rewolucję? Teraz pójdziesz na gałąź!

Wtenczas przypadł do sołtysa wysoki, barczysty hitlerowiec i kropnął go pięścią w twarz. Chłop zachwiał się i runął na stwardniałą ziemię, ale zaraz poderwał się. W głowie mu szumiało, a przed oczyma latały ciemne plamy. Szeroką jak łopata dłonią rozmazywał krew, siąpiącą z rozciętych warg.

— Gdzie mieszka Józef Smółka?

— Tutaj.

— Prowadź!

Sołtysa już opanował strach. Ruszył naprzód, za nim postępowało pięciu esesmanów. Szedł z odkrytą głową, w rozwianej kapocie, blady i ponury. Raz po raz podnosił rękę, by zatamować świeżą krew sączącą się z poranionych ust. Spod oka obserwował wieś i cieszył się, że przed żadną z chałup nie było ani jednego chłopa.

O parę kroków dalej biegła z płaczem Bańkowa. Była brzydka, przedwcześnie zwiędła i zestarzała. Jęcząc wycierała zaczerwienione oczy błękitną, podartą zapaską i błagała o litość dla męża.

— Zmiłujcie się, panowie! — prosiła. — Toć on nie winien, że wieś nie oddała kontyngentu. Miejcie choć krzynę miłosierdzia... Nie gubcie chłopa!

— Milcz! — krzyknął sołtys.

— Jezus! — jęczała.

Któryś z esesmanów odepchnął ją kolbą, inny zamierzył się z automatu. Zachwiała się i szlochając coraz głośniej, przycupnęła na brzegu gościńca.

— Bodaj was Bóg pokarał, zbóje! — zawodziła. — Za moje łzy, za moją mękę!

Z chałup dolatywał krzyk kobiet. Tu to tam huknął strzał. Z pól, z sadów i znad rzeki ściągała tyraliera hitlerowców, otaczając wieś gęstym pierścieniem.

Sołtys zatrzymał się przed starą, na wpół rozwaloną chałupą.

— Tutaj — szepnął.

Esesmani obskoczyli dom. Gruby, czerwony podoficer o błękitnych oczach dziecka wywlókł z wnętrza bladą i drżącą Hankę, z małą dwuletnią Zosią na ręku.

— Gdzie mąż?

— Wyjechał.

— Kłamiesz! — ryknął, podnosząc pięść. — Mów prawdę, bo wpakuję ci kulę w łeb.

Dziecko rozpłakało się na ręku. Hanka przytuliła je mocno do piersi, tak, by nie widziało żołdackich hełmów i podniesionych automatów.

— Cicho, Zosiu! Nie bój się! — szepnęła.

W tej chwili z sieni wybiegł pięcioletni Jędruś, a ujrzawszy matkę, szarpaną przez hitlerowców, przypadł do niej z głośnym, rozdzierającym krzykiem. Był tylko w krótkiej koszuli, boso, chociaż na trawie szklił się siwy mróz, a pod butami dzwoniła gruda. Matka przygarnęła go do siebie. Płacz małej Zosi zmieszał się z pochlipywaniem chłopca, z wrzawą żandarmów i ciągłą strzelaniną.

Żołdacy coś tam poszwargotali między sobą, podoficer rzucił jakiś rozkaz, a wtenczas dwu z esesmanów popchnęło wylękłą kobietę w stronę domu. Szła chętnie, sądząc, że na tym skończy się jej dzisiejsza męka, ale zaledwie zatrzasnęły się za nią drzwi, prowadzące do sieni, z wnętrza chałupy wydarł się przeraźliwy krzyk, krzyk ścinający krew w żyłach, potem zapłakały dzieci i zaraz Hanka znów ukazała się na progu w otoczeniu swoich oprawców.

Była blada jak płótno. Przez poszarpaną bluzkę wyglądały małe, prawie dziewczęce piersi. Jej drobna, chuda i niepozorna postać ginęła w tłumie rechocących faszystów. Spod przymkniętych powiek śledziła każdy ruch napastników, myślała o mężu.

Tęgi podoficer dał jakiś znak, a wtedy do Hanki zbliżył się młody, szczupły żandarm o płaskiej, tępej twarzy i wąskich, mocno zaciśniętych ustach. Spod hełmu spoglądały zie-

lone, wypukłe oczy. W garści ściskał potężny bykowiec. Szczerzył zęby, jak pies gotujący się do skoku.

— Gdzie twój chłop? — rzucił podoficer.

— Wyjechał...

— Dokąd?

— Do Lublina.

— Karl! — krzyknął.

Karl podniósł bat, wysunął dolną wargę i nagle rzucił się na bezbronną kobietę, tłukąc ją bez miłosierdzia. Zwinęła się w kłębek i jęcząc z nieludzkiego bólu, runęła na stwardniałą ziemię. Ale zaraz powstała. Oparła się o pień suchej jabłoni. Zagryzła usta, by nie wybuchnąć płaczem. Z pogardą spojrzała na swojego prześladowcę, potrząsającego bykowcem.

— Gdzie jest broń? — spytał komendant.

— Nie wiem.

— Mów!

Hanka milczała. Teraz już nie lękała się pogróżek, nie drżała na myśl o zbliżającej się śmierci. Chciała zachować się tak, jak żona bojowca, towarzysza gwardzisty.

— Gdzie broń? — huknął esesman.

— Nie wiem.

— Łżesz!

W jednej chwili spadł na nią grad piekących jak ogień ciosów. „Jezus!" — jęknęła padając. „Żeby choć Józek ocalał!", pomyślała. Zakryła twarz rękami, by uniknąć brutalnych uderzeń, ale i to nie pomogło, bo rozjuszony żołdak kopał ją, tłukł, deptał i poniewierał. Świst bata zmieszał się z głosem klątw i ordynarnych złorzeczeń.

— Ty, przeklęte łajno! — ryczał brzuchaty podoficer. — Zdychaj, kiedy zachciało ci się komunizmu...

— Verfluchte!

Komendant podszedł do skatowanej, kopał ją z wściekłością, a kiedy stwierdził, że nie daje nawet znaku życia, machnął ręką i dał rozkaz odwrotu. Ruszyli po zapłociach, wlokąc za sobą Bańkę.

Hanka otwarła oczy, ale nie mogła dźwignąć się z ziemi. Twarz miała szarą, potłuczoną i umazaną krzepnącą krwią, siąpiącą z rozciętego policzka. Z trudem poruszyła ciężką, obolałą głowę, próbowała podnieść rękę, lecz ogarnęła ją taka słabość, jakiej nie znała. Znów przymknęła piekące powieki i stoczyła się w jakąś ciemną otchłań, w przepaść bez dna i bez końca.

Zbudził ją żałosny ,przejmujący płacz dziecka. W jednej chwili oprzytomniała.

— Jędruś płacze! — przemknęło jej przez myśl — Chryste! A Zosia? Czy tylko nie skrzywdzili ich ci zbóje?

W pobliżu rozległ się pojedyńczy strzał. Potem gruchnęła seria z automatu. Hanka zebrała wszystkie siły i opierając się na rękach usiadła pod jabłonią. Jak przez mgłę zobaczyła swój dom, a za oroszoną szybą zamajaczyła przestraszona twarz Jędrka. Coś w niej zatrzęsło się, zadygotało, a serce mało nie pękło z żalu.

— Idę do was, już idę, moje najdroższe — szeptała, starając się dobrnąć chociaż na próg chałupy. — Ino mi nie płaczcie, nie bójcie się. Bo przecie jestem przy was.

Wdrapała się na próg, pchnęła drzwi i nagle znów osłabła. W głowie poczuła zamęt i przeszywający ból pod piersiami. Zziębnęte palce wpiła w futrynę, drżała.

— Jędruś!..

Z izby doleciał słaby, dogasający pisk, jakby kwilenie niemowlęcia. Hanka nacisnęła klamkę i za moment tuliła już w ramionach dwoje pochlipujących dzieci. Zosia zarzuciła jej rączki na szyję, Jędrek garnął się do piersi.

— Moja córeczko! — szepnęła przez łzy.

Za ścianą rozległ się głuchy tupot. To hitlerowcy pędzili zarekwirowane bydło. Z boku dreptała rozchełstana Czyżowa i wyciągnąwszy ręce, błagała o litość, o miłosierdzie.

— Oddajcie mi moją krowę — prosiła. — Toż to jedyna nasza żywicielka. Bez niej przyjdzie nam zdechnąć z głodu. Przecież i wy macie dzieci... Zmiłujcie się!

— Weg! — wrzasnął konwojent.

— Zlitujcie się!

Jeden z żandarmów pchnął ją kolbą. Zatoczyła się jak pijana, lecz wszystko jedno biegła dalej, żebrząc i molestując. A przy tym nie odrywała oczu od swojego bydlęcia.

W Dąbrowie działa się Sodoma i Gomora. Żandarmi hulali po obejściach, rabując, tłukąc szyby i niszcząc sprzęty. Z brzękiem sypało się szkło, grzmiały siekiery, a w warkot zapuszczonego motoru wplątały się odgłosy niemieckiej komendy.

Na czele ekspedycji stał kapitan Blum, wysoki, chudy mężczyzna, o dużej niekształtnej głowie i wąskich, przymrużonych oczach, ciskających złe błyski. Wyglądał tak, jakby się nudził. Łaził po wygonie i mrucząc „Różyczkę" Schuberta, raz po raz ziewał. Był wściekły. Jadąc tutaj przypuszczał, że spadnie na śpiącą Dąbrowę, jak piorun z jasnego nieba, nakryje i zniszczy buntowników, kiedy tymczasem zastał wieś prawie pustą. Chłopi uciekli do lasu, zostawiając tylko na miejscu paru starców, kobiety i dzieci. Zakipiał w nim gniew.

Z chałup zaczęto wypędzać ludzi i gromadzić ich na rozległym wygonie. Byli tam trzej starcy: siedemdziesięcioletni ojciec sołtysa, Grzegorz, Tomek Kwiatosz i biały jak mleko Bartłomiej Bednarz, ślepiec, poruszający się przy pomocy długiego kostura. Po drugiej stronie ustawiono baby i dzieci. Szybko sprawdzono Ausweisy, zapytano o coś sołtysa, potem przed frontem zjawił się kapitan Blum w towarzystwie grubego podoficera.

— Wiemy, że w Dąbrowie — zaczął podoficer — mieszkają sami bandyci, buntownicy i odszczepieńcy. Z bronią w ręku czyhają na przedstawicieli porządku Führera, by zabijać, mordować! — powiódł błękitnymi oczyma po wystraszonych twarzach zebranych. — Zamiast przyznać się do popełnionych zbrodni, siedzą jak wilki w lesie, szczerzą kły, grożą. A razem z nimi włóczą się bolszewicy, szpiedzy i dywersanci. Odpowiedzialność za to wszystko spada na was, na całą Dąbrowę!

Z tłumu wydarło się ciężkie westchnienie. Jakieś dziecko rozbeczało się, przestraszone potężnym głosem mówiącego. Ktoś jęknął.

— Złóżcie broń — wskażcie kryjówki partyzantów, wydajcie komunistów, a wtenczas dobry Führer daruje wam wszystko! W przeciwnym razie znajdziecie się na gałęzi.

Zaległo milczenie.

— Tylko prędko!

Kobiety zapłakały. Jedna po drugiej podnosiły do oczu brudne zapaski. Tylko chłopi stali bez ruchu, jakby wykuci z kamienia. Ślepy Bartłomiej poruszył białą jak śnieg brodą, podniósł do góry zamknięte powieki i mocno ściskając długi, zakrzywiony kostur, słuchał. Ale po żółtym, poradlonym czole przebiegały dreszcze.

— Schnell! — krzyknął kapitan Blum.

— I czego wy chcecie? — wyseplenił ślepiec. — Czy już nie macie ani krzty serca? Żyjemy tutaj, jak Pan Bóg przykazał. Nikogo nie krzywdzimy, staramy się robić swoje...

W tłumie ucichło. Nawet esesmani przestali się na moment uśmiechać. Z zaciekawieniem przyglądali się temu niezwykłemu starcowi o pustych oczodołach i białej, patriarchalnej brodzie. Stał wyprostowany w zgrzebnej, połatanej koszuli i z długim kosturem w ręku.

— Toteż zostawcie nas w pokoju — mówił wolno, z namysłem. — A sami idźcie swoją drogą...

Blum przywołał tłumacza, a kiedy już zrozumiał słowa starca, zmarszczył brwi, zaklął pod nosem i próbując zdobyć się na uśmiech, dał jakiś rozkaz.

— Bartłomiej Bednarz! — zawołał podoficer.

— Jestem.

— Bańka!

— Jestem.

— Jesteście skazani na karę śmierci!

W tłumie nastała grobowa cisza. Ludzie przestali nagle oddychać. Karl, szczerząc zęby popchnął skazańców w stronę pobliskiego jaru, gdzie miała odbyć się egzekucja.

Sołtys szedł blady, złamany. Zdawało się, że dźwiga na barkach ciężar całego życia. Z poszarzałej twarzy bił lęk. Spoglądał w ziemię, a jego wargi poruszały się bezdźwięcznie. Za nim wlókł się biały jak gołąb Bartłomiej. W pewnym miejscu zatrzymał się, podniósł kostur, jakby miał coś powiedzieć. Wyglądał jak prorok.

— Bracia — krzyknął — nie dajcie się gnębić. Bijcie tych przeklętych antychrystów!

Zamilkł.

Dąbrowianie rzucili się do swoich domów. W otwartych izbach zastali kompletną ruinę. W oknach nie było ani jednej szyby, a na podłodze piętrzyły się stosy porąbanych sprzętów. Obory straszyły pustką, podobnie zresztą jak i chlewy.

Baby posiadały na progach i uderzyły w lament. Ale już chyba najgłośniej zawodziła Czyżowa. Pękało w niej serce, kiedy spojrzała na głodne, zziębnięte dzieci.

— I co ja teraz poczne, nieszczęśliwa — pytała — co zrobię, żeby nie zginąć z głodu? W domu nie ma ani chleba, ani kapki mleka, i jak tu żyć?

Skoro tylko zapadł zmierzch, z lasu wysypali się chłopi. Co tchu biegli do swoich domów, pełni najgorszych przeczuć. W Dąbrowie było cicho, ciemno, posępnie, jak po wyniesieniu nieboszczyka. W oknach nie paliło się ani jedno światełko. W mroku wyły psy, ale to tak przejmująco i żałobnie, że głos ten ściskał za serce.

— Czyżby tam nikt nie żył? — szepnął któryś. Ale słowa te wsiąkły w mrok pozostając bez echa.

Józef Nikodem Kłosowski

BOHDAN MARCONI

BITWA POD GRUNWALDEM

Matejko nosił się z zamiarem namalowania obrazu przedstawiającego zwycięskie starcie się Polaków z Niemcami na polach Grunwaldu. W wykonanym w r. 1855 obrazie „Władysław Jagiełło z Witoldem modlący się przed bitwą" oraz w akwareli „Jagiełło na pobojowisku", malowanej w r. 1861, dojrzeć można pierwsze przebłyski tematu, który dojrzewał w artyście, żeby po kilkuletniej pracy zostać zrealizowanym w r. 1878 w czołowym wielkim obrazie „Bitwa pod Grunwaldem". Pierwszy szkic olejny (ol. pł. 73,5×138,5 cm, Muz. Narod. w Warsz.) o ustalonej już zasadniczo kompozycji, jak zawsze w szkicach Matejki znacznie mniej zapełniony, o mniejszej ilości postaci, powstaje w roku 1872.

Nad wielkim swym dziełem zaczyna mistrz pracować w r. 1875. Studia do tego obrazu to dowody olbrzymiej wszechstronnej pracy. Matejko studiuje materiały historyczne, kroniki, zabytki jak: zbroje i kostiumy, poświęca wiele czasu na szkice koni w ruchu. Szkice te powstają w majątkach takich jak Kraśniczyn, Gumniska, Krzeszowice, gdzie znajdowały się duże stadniny, oraz w folwarku artysty Krzesławice pod Krakowem.

Jesienią r. 1877, gdy obraz jest już daleko posunięty, prawie skończony, Matejko zwiedza pola Grunwaldu dla zapoznania się z terenem bitwy. Po powrocie przemalowuje częściowo swe dzieło, zmieniając wiele szczegółów.

Początkowo pracował artysta nad swym dziełem w sali Techniki krakowskiej (Muzeum Techniczno-Przemysłowe, mieszczące się w części gmachu klasztoru oo. franciszkanów) lecz z powodu szczupłości tej pracowni, dla wykończenia, „Bitwa pod Grunwaldem" przeniesiona zostaje w dniu 7 września r. 1878 do sali na drugim piętrze ratusza, gdzie obraz naciągnięto na właściwe krosna (blejtram). Tu Matejko kończy malowanie szczegółów u dołu obrazu i w dniu 17 września 1878 roku podpisuje i datuje swe dzieło.

W dniu 28 tegoż miesiąca „Bitwa pod Grunwaldem" zostaje udostępniona dla publiczności. Budzi ogólny podziw. Odzywają się jednak głosy krytyki. Rozbieżność zdań w ocenie „Grunwaldu" zaznaczała się już wśród miłośników sztuki i bliskich Matejce, którym dane było oglądać dzieło przed ukończeniem.

W listopadzie 1878 r. „Grunwald" rozpoczyna swą wędrówkę. Wystawiony jest w Wiedniu, Warszawie, Petersburgu, Berlinie, Lwowie, Budapeszcie i po raz drugi w Warszawie. W Paryżu w 1880 r. budzi wielkie zainteresowanie. Matejko otrzymuje od rządu francuskiego wazon Sevres jako dar honorowy. Lecz krytyki są rozbieżne. Zrozumiałe to jest, gdyż w centrum artystycznym świata, w Paryżu, gdzie już wystawiają impresjoniści z Monetem, Renoirem, Manetem, Degasem i Cesannem na czele, obraz ten, w ujęciu czysto malarskim, był anachronizmem. Wśród opinii nie brak jednak głosów krytyków francuskich i angielskich, niemal entuzjastycznych.

W czasie wędrówek po wystawach zagranicznych „Bitwa pod Grunwaldem" nie była już własnością autora. W niedługim czasie po ukończeniu Matejko sprzedał swe dzieło bogatemu kupcowi warszawskiemu Dawidowi Rosenblumowi, który zapłacił za nie 45.000 koron otrzymując prócz obrazu szkic olejny z r. 1872. Ostatnią ratę honorarium otrzymał Matejko w r. 1882.

W r. 1903 odkupiło „Grunwald" od Rosenbluma Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie. Obraz został zawieszony w wielkiej sali świeżo ukończonego własnego gmachu Towarzystwa. Zakup ten, dokonany za ce-

nę 25.000 rb., pokryto z funduszu im. dr Karola Benni'ego. Od chwili zakupu „Bitwa pod Grunwaldem" zdobiła prawie przez pół wieku wielką salę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych z przerwami w okresach obu wojen światowych.

W 1914 r. „Grunwald" zostaje ewakuowany pod opieką Aleksandra Lednickiego do Moskwy, gdzie spokojnie doczekał się zakończenia wojny. W r. 1922 powraca do Warszawy na swe dawne miejsce w „Zachęcie".

Druga wojenna wędrówka zaczyna się w pierwszych dniach września 1939 r. W obawie przed Niemcami prezes Komitetu Zachęty art. mal. Stanisław Ejsmond i dyrektor Towarzystwa Zachęty Stanisław Mikulicz-Radecki postanowili wywieźć obraz z Warszawy. Pod nadzorem konserwatora Mariana Słoneckiego z Państwowej Pracowni Konserwatorskiej, przy udziale technicznego opiekuna obrazów Zachęty Stanisława Garbarczyka i pomocy woźnych podczas licznych nalotów niemieckich została „Bitwa pod Grunwaldem" nawinięta na wał drewniany i starannie opakowana. Razem z „Grunwaldem" nawinięto na wał drugie znakomite dzieło Matejki „Kazanie Skargi".

Usilne starania o uzyskanie samochodu nie dały rezultatu. Samochody były zbyt małe dla pomieszczenia skrzyni długości 5 m. W końcu udaje się dyr. Mikuliczowi-Radeckiemu, na skutek interwencji wiceprezydenta miasta Warszawy Jana Pohoskiego, uzyskać od Zakładu Oczyszczania Miasta wielką platformę i dobrą parę koni.

Dnia 7 września 1939 r. o godz. 5 min. 20 obrazy wyruszyły pod eskortą dyr. Mikulicz-Radeckiego i Stanisława Ejsmonda w kierunku na Lublin. Przed Kurowem dołączył się do eskorty artysta malarz Bolesław Surałło-Gajduczeni. Podróż trwająca dwa dni była ciężka z powodu zatłoczenia szosy wojskiem i uciekinierami oraz częstych nalotów hitlerowskiego lotnictwa.

Do Lublina przybyły obrazy dnia 9 września o godz. 5. W porozumieniu z konserwatorem lubelskim i dyr. Instytutu Lubelskiego dr Józefem Dutkiewiczem złożono skrzynię w holu Muzeum Lubelskiego pod opieką intendenta Władysława Woydy. Tegoż dnia o godz. 9-ej Stanisław Ejsmond i Bolesław Surałło-Gajduczeni zginęli w czasie nalotu. Dyr. Mikulicz-Radecki wyszedł dnia następnego z Lublina, kierując się na Polesie (zmarł na gruźlicę w r. 1946).

O złożeniu obrazów w Muzeum wiedzieli, prócz dr Dutkiewicza i intendenta Woydy, prezes Instytutu Lubelskiego, w którego skład wchodziło Muzeum, prezes Sądu Okr. Stanisław Bryła, rozstrzelany przez hitlerowców w grudniu 1939 r., prezes Towarzystwa Muzeum Lubelskiego adwokat Stanisław Kalinowski i kustosz Muzeum Maria Zywirska. Jednocześnie powiadomiono naczelnika Wydziału Gospodarczego Zarządu Miejskiego mgr. Romana Pieczyraka, dzięki którego energii i poświęceniu obrazy szczęśliwie przetrwały okupację. Mgr. Pieczyrak dobrał sobie do pomocy zastępcę swego Henryka Krzesińskiego, kierownika Taborów Miejskich Franciszka Galerę i pracownika Wydziału Gospodarczego Franciszka Podleśnego.

Wobec wielkiego ciężaru skrzyni rozbito ją i wał z obrazami wtoczono do sali parterowej Muzeum. W dniu 18 września 1939 r., w chwili wkroczenia okupantów do Lublina, postanowiono obrazy ukryć. Wał postawiono na podporach, obito deskami tworząc rodzaj lady, na której ułożono książki. Książkami również zapełniono półki pod ścianami. Z biblioteki tej korzystała młodzież i nikt nie domyślał się, jakie skarby są tu ukryte. W tej zaimprowizowanej ladzie przeleżały oba obrazy bezpiecznie, pomimo częstych wizyt hitlerowców, do wiosny 1941 r., kiedy to gubernator zarządził oddanie gmachu Muzeum władzom niemieckim.

W kwietniu wtajemniczeni, z mgr. Pieczyrakiem i int. Woydą na czele, rozebrali deski kryjące wał z obrazami i przenieśli go tymczasowo do komórki na terenie Muzeum. Po naradzie postanowiono przenieść obrazy do szopy Taborów Miejskich przy ulicy Elektrycznej, oddalonej o dwa kilometry od Muzeum. W Taborach Miejskich przygotowano wóz drabiniasty, który przedłużono o dwa metry oraz wybrano najlepsze konie. Opiekunowie obrazów skorzystali z masowego przesiedlania Polaków, których mieszkania zajmowali Niemcy. Upozorowano przeprowadzkę. Dla umożliwienia wywiezienia „Grunwaldu" i „Kazania Skargi" trzeba było pod pozorem naprawy rozebrać część płotu, oddzielającego Muzeum od posesji przy ul. Narutowicza 2, gdyż wyjazd od frontu był niemożliwy z powodu różnicy poziomu te-

renów podwórza i ulicy. Latarnie uliczne przed Muzeum zbito. O zmroku od strony ul. Narutowicza wjechał na podwórko Muzeum powożony przez Michała Grzesiaka wóz, na który załadowano wał z obrazami, przykrywając go słomą. Na wierzchu ułożono meble, a z tyłu przyczepiono balię. Obrazy eskortowane przez opiekunów przejechały przez plac Bernardyński, ul. Zamojską, Fabryczną, Długą i dotarły szczęśliwie do ul. Elektrycznej do przeznaczonej na kryjówkę szopy. Złożono je na klepisku i przykryto słomą. Postanowiono obrazy zakopać. W tym celu zbudowano z materiałów otrzymanych na „Bezugschein" składaną skrzynię, którą częściami zwieziono do szopy. Dół kopano nocami. Z powodu kamienistej gleby, praca była niezmiernie ciężka, wobec czego mgr Pieczyrak powierzył robotę przedsiębiorcom budowlanym Ignacemu i Władysławowi Drewnowskim, którzy wzięli do pomocy dwóch swoich pracowników.

W Wielki Piątek 1941 r. przystąpiono do ukrycia obrazów. Skrzynię wyłożoną wewnątrz i zewnątrz papą wpuszczono w wykopany w klepisku dół. Wał z obrazami, owinięty również papą i okręcony drutem, wpuszczono do skrzyni przy pomocy prymitywnego dźwigu. Opakowanie uszczelniono słomą i wieko skrzyni zabito. Po kilku dniach nad skrzynią został ułożony i zabetonowany klinkier. Stodołę odwodniono przez zainstalowanie rynien i wykonanie kanałów odpływowych. Na klepisku zmagazynowano słomę i siano, które pozostały tam do czasu, gdy policja niemiecka wprowadziła do szopy swoje konie.

Tak ukryte „Bitwa pod Grunwaldem" i „Kazanie Skargi" spokojnie przeleżały do dnia wyzwolenia Lublina.

W dn. 18 października 1944 r. mgr. Pieczyrak i Henryk Krzesiński przekazali obrazy przedstawicielom Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w osobach Kierownika Resortu Kultury i Sztuki prof. Wincentego Rzymowskiego i kierownika Referatu Plastyki kpt. Aleksandra Rafałowskiego.

Uroczysty akt przekazania spisany dnia 13 listopada 1944 r. nie wymieniał nazwisk tych, którzy przyczynili się do uratowania dzieł Matejki ze względu na bezpieczeństwo ich rodzin, znajdujących się na terenach okupowanych jeszcze przez Niemców.

Okupantom musiało bardzo zależeć na odnalezieniu „Grunwaldu", gdyż wielokrotnie wypytywali personel związany z Muzeum o losy tego obrazu, a nagrodę za wskazanie miejsca ukrycia, początkowo wynoszącą dwa miliony marek, podwyższono do ogromnej sumy dziesięciu milionów. Tajemnica jednak została dochowana.

Po wydobyciu obrazów z ukrycia przewieziono je początkowo do gmachu Banku Rolnego przy ul. Szopena, a następnie do wielkiego magazynu Zakładu Fermentacyjnego Polskiego Monopolu Tytoniowego. Przy wydobywaniu z ukrycia stwierdzono silne zawilgocenie obrazów. Do zbadania stanu dzieł Matejki zaproszony został znany konserwator Tretiakowskiej Galerii prof. Aleksy Rybnikow. Przyjechał on do Lublina i w okresie od 15 listopada do pierwszych dni grudnia 1944 r. przeprowadził badanie stanu obrazów, dezynfekcję pleśni oraz próbę odczyszczenia i regeneracji niewielkich fragmentów.

Po wyzwoleniu Warszawy, na wezwanie Ministra Rzymowskiego, w dn. 8 lutego 1945 r. przybyli do Lublina dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, ówczesny naczelny dyrektor Muzeów i Ochrony Zabytków, prof. dr Stanisław Lorentz oraz kierownik Pracowni Konserwacji Malarstwa Muzeum Narodowego i kierownik Państwowej Pracowni Konserwacji Zabytków Malarstwa prof. Bohdan Marconi, który zbadawszy stan obrazów przejął nad nimi opiekę.

Na nowostworzoną Państwową Pracownię przeznaczono część gmachu Zachęty w Warszawie, gdzie dawna sala „Grunwaldu" była jedynym pomieszczeniem odpowiedniej wielkości dla przeprowadzenia zabiegów konserwatorskich przy obrazie tak wielkich wymiarów.

Po przeprowadzeniu prowizorycznego remontu gmachu, w dn. 8 sierpnia 1945 r. „Bitwa pod Grunwaldem" wraz z „Kazaniem Skargi" zostały nawinięte na nowy wał, opakowane w skrzyni i przewiezione specjalnie wybranym wielkim samochodem ciężarowym do Warszawy. Tu złożono obrazy w jednej z sal pierwszego piętra, gdzie oczekiwać musiały na ukończenie oszklenia i reperacji podłogi sali „Matejkowskiej". Prace konserwatorskie rozpoczęte w maju 1946 r. zakończono w czerwcu 1949 r. Kilkakrotne długie przerwy spowodował dalszy remont gmachu (obejmujący popra-

wę oszklenia świetlików i zmianę podłogi), zakończony zaledwie w lecie 1948 r. Rzeczywisty czas trwania prac konserwatorskich wynosi 17 miesięcy. Możliwe to było do przeprowadzenia w tak krótkim okresie dzięki umiejętności, zapałowi i poświęceniu wszystkich pracowników, którzy w ciągu tygodni całych przeprowadzali zabiegi konserwatorskie w pozycji leżącej, na rozpostartym na podłodze obrazie. Prócz kierownika Pracowni udział w konserwacji brali: asystent Zofia Blizińska, konserwatorzy — Cecylia Kowalska, Aldona Romanowiczowa, Jadwiga Tereszczenko, Stanisława Majewska, Maria Orthwein, Gustaw Pilecki, Władysław Kowalski, starszy technik Stanisław Garbarczyk i artysta - stolarz Maksymilian Sobiczewski.

Przy odczyszczaniu odwrocia z farby olejnej zatrudnieni byli studenci Studium Konserwacji Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, pracujący pod kierunkiem konserwatorów. Gorącemu poparciu Ministerstwa Kultury i Sztuki, Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków i Głównego Urzędu Konserwatorskiego, któremu podlega Państwowa Pracownia Konserwacji Zabytków Malarstwa, zawdzięczać należy przydział odpowiednich kredytów dla zdobycia niezbędnych do konserwacji narzędzi i materiałów kompletowanych od początku 1945 r.

Wielkie dzieło Matejki powróciło do swego pierwotnego wyglądu. Nikłe ślady olbrzymiego zniszczenia, jakiemu uległa „Bitwa pod Grunwaldem", dostrzegalne są tylko dla oczu specjalistów. Obraz jaśnieje pełnią barw palety mistrza tak, jak w chwili gdy opuszczał jego pracownię.

Bohdan Marconi

Źródła

Gorzkowski Marian — „Bitwa pod Grunwaldem", Kraków, 1878.

Gorzkowski Marian — „O artystycznych czynnościach Jana Matejki", Kraków, 1882.

Gorzkowski Marian — „Jan Matejko", Kraków, 1898.

Jabłoński Pawłowicz Izydor — „Wspomnienia o Janie Matejce" ,opr. dr Mieczysław Treter. H. Altenberg, Lwów, 1912.

Hopliński Jan — „Paleta J. Matejki do Joanny d'Arc" Praca zbiorowa „Jan Matejko, studia i szkice", Nakł. Zarz. st. Kr. m. Krakowa, Kraków, 1938.

Łepkowski Edward — „Matejko" z cyklu „Imago Poloniae", Krzyżanowski, Kraków, 1938.

Treter Mieczysław — „Matejko", Książnica Atlas, Lwów—Warszawa, 1939.

Rzeczpospolita, Nr 103, R. I., z dn. 15.XI.1944 r.

Prawda, Nr 254 (9731) z dn. 15.XI.1944 r.

Akt przekazania Pol. Kom. Wyzw. Nar. Resort Kultury i Sztuki, Lp. 1740/N. Dyr. Muz. z dnia 13 listopada 1944 r.

Oświadczenia na piśmie złożone przez: ob. ob. Romana Pieczyraka, Aleksandra Rafałowskiego, Hieronima Skurpskiego, Józefa Dutkiewicza, Stanisława Mikulicza-Radeckiego.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Przełożył BOGDAN ŻYRANIK

PORZĄDNY OBYWATEL

Jeśli twe oko
wroga nie widzi,
zapał nep wypił
i targów bajorko,
jeśli nie umiesz
już nienawidzić —
tu
przyjedź,
do New-Yorku.
Abyś
w milowych ulic pętach,
igłami
jeżów latarnianych kłuty,
przeszedł się
ze mną
na kształt liliputa

u stóp
ich pięter.
Widzisz —
tu śmiecie
ktoś wygrzebuje,
by z dziećmi raczyć się
ogryzkami,
by w aucie,
„busów" prześcigając sznury,
do pałaców
mknęły brylanciary.
Zajrzyj
w okienka,
w one — bogate,
jakież tu
stroje wspaniałe.
Tylko
stalą
głuszy elewator
chark
i kaszel
gruźliczych modniarek.
A gospodarz —
galareta lepka —
z pyskiem opuchłym
na radość wrzodowi,
pierś robotnicy
maca krewką;
„Która spodoba się —
córką zrobię!
Gdy mało setki —
dam dwieście całe,
smutek
na zawsze
z ócz wygnam precz!
Życie twe
będzie —
Coony-Island,
luna-park
o miliardzie świec!"
Weźmie ją,
a nazajutrz
tłum zwierząt —
wilcza banda
staruch bezpłciowych
prostytutkę —
w smołę i w pierze, —
i w smołę i w pierze
znowu.
A gospodarz
w hotelu Plaza,
gdy z kieliszkiem
i do Boga się wśliznie,
wznosi w podniebie
oczki płaza:
„Thank you
za dobry biznes".
Rądźcie spokojni,
gróźb ani cienia
dla waszej trzeźwości,
moralności,
dzieci,

bębny
licznych „armii zbawienia"
cnotę waszą
otrąbują
w świecie.
Bóg się na was
nie rozzłorzeczy:
od was
dla matki jego —
na szatę
i dlań
na kościół
zbierze — dorzeczny
menager boży,
pop Platon.
Club policyj
na was nie zawarczy.
Byś dobrzał wciąż
i brzuch miał na kształt kuli,
na ciebie poprzez wypieszczone palce
spogląda
demokrata Coolidge.
I macając
obłoków strzępy,
straż obłudy,
centów
i sadła,
wolność wasza
wyciąga rękę
nad więzieniem
Ellis-Island.

Przełożył *Bogdan Żyranik*

A. KALININ

Przełożyła ANNA JAKUBISZYN

OGIEŃ W STEPIE*)

Był mroźny poranek. Szwadrony podeszły do chutoru, którego chaty, lepione z gliny, rozproszyły się na solniskowym wzgórku. Daleko, na lewo, nad błękitną linią horyzontu, widniały białe domy, wysokie kominy, kopuła dzwonnicy.

— Co to za miasto?

— Mozdok. Nie słyszałeś?

— To co, pojedziemy tamtędy?

— Nie, dowódca mówił, że stepem do samego Donu.

— Wierzchem?

— Na tę górkę widać na czworakach poleziemy. Kazali konie oddać koniowodnym.

— Jakoś nie kapuję, mamy nacierać, a tu każą kopać okopy.

Zgodnie grzebali łopatami w miękkiej, piaszczystej ziemi. Niebawem czarna koronka okopów otoczyła podnóże pagórka, na którym rozsiadł się chutor.

— Słyszycie, nasze działa zahuczały?

— Zaraz i oni zaczną walić. Na wszelki wypadek — właźmy do okopów.

Potężny huk wstrząsnął stepem. Z trawy posypała się sadź, jak chmura unosząc się nad ziemią. Skądś z dalekiego kurhanu wzbił się berkut. Struga gorącego powietrza owiała mu skrzydła, ptak zakołysał się, ale natychmiast odzyskał równowagę i zaczął wznosić się w górę.

Nagle zapadła cisza. Drgnęły skrzydła berkuta płynącego nad stepem — ptak przeraził się ciszy. U stóp pagórka z okopów podnieśli się ludzie i ruszyli pod górę.

Gdy wstała pierwsza fala nacierających, zza wzgórza ukazały się czołgi, oskrzydlając ich od strony chutoru. Spieszeni kawalerzyści nie zdążyli dobiec do pierwszych domów chutoru

*) Fragment powieści pt: „Czerwony sztandar", która ukaże się nakładem Wydawnictwa MON.

i zawrócili. Skuliwszy się pobiegli w stronę okopów. W plecy łupnęły im karabiny maszynowe, wzbijając wśród biegnących rudawe kłęby kurzawy. Padli ranni.

Powrotna fala nacierających zdążyła dobiec do okopów i stoczyć się za zbawcze przedpiersie. Ale ciężko ranni pozostali na polu, pokrytym kępami burzanu. Niektórzy czołgali się w stronę okopów, ścigani łoskotem gąsienic. Młodziutki kawalerzysta z odkrytą jasnowłosą głową podciągał na rękach ciało, wlokąc nogi przebite serią karabinu maszynowego. Opadał z sił, opuszczał na burzan głowę ciężką jak ołów, odpoczywał i znów czołgał się dalej. Za nim ciągnął się ciemny ślad. Ranny oglądał się przez ramię, wciskał głowę w ramiona i czołgał się naprzód, barwiąc burzan krwią.

Czołgi sunęły przez wzgórek i wzbijając kurzawę zjeżdżały w dół. Ługowoj, stojący na stoku kurhanu, naliczył osiemnaście czołgów. Ale zza pagórka wysuwały się nowe, ukazując najpierw wieżę, potem gardziel działa i wreszcie żebra gąsienic dźwigających szary, grzechotliwy korpus.

Grzmiący warkot silników wypełnił step. Maszyna brutalnie głosiła swą siłę i władzę nad ziemią. Ale zdawało się, że berkut, pan stepu, nie chce uznać tej władzy. Uleciał z kurhanu i to majestatycznie płynął w żółtych promieniach zimowego słońca, to rozpościerał skrzydła jak czarny krzyż i tkwił na niebie nad stadem sunących czołgów.

Na połowie drogi do okopów czołgi dały ognia z dział. Pociski padły przed okopami na zboczu wzgórka. Zapalił się burzan. Wiatr wiał na południowy wschód, bury dym sunął po ziemi, ziejąc spalenizną w twarze kawalerzystom.

— Strzelają zapalającymi! Nie wyłazić z okopów! — rozkazał dowódca szwadronu, Dmitrij Czakan.

— Ranni się palą! — krzyknął przerażony głos.

Wiatr rozwiewał ogień po polu, na którym leżeli ranni. Wokoło nich wzlatywały strzępy płomieni. Ranny z przestrzelonymi nogami oglądając się, uciekał przed pożarem. Ścigały go potoki ognia, do czysta wylizując ziemię.

— Dokąd? dokąd? — bezładnie zakrzyczały głosy w okopach.

Kobieta z torbą sanitarną wygramoliła się na przedpiersie i na czworakach zaczęła czołgać się szybko zboczem pagórka. Piasek z szelestem posypał się jej spod nóg do okopu.

— Kto to, Kuprijanie?

— Przecie Frośka. Twego Dmitrija najdroższa. Nie poznałeś?

Frosia gramoliła się zboczem wzgórza. Świstał przeciągle wiatr, dmąc jej w twarz żarem. Torba sanitarna przesunęła się z pleców na brzuch i pętała się koło nóg. Frosia podnosiła oczy i widziała nadciągającą falę ognia. Burzan palił się z chrzęstem. Huczało całe pole falując czerwonymi i niebieskimi językami. Ziemia pod rękami stawała się ciepła; po suchej, piaszczystej ziemi szybko rozlewała się fala żaru. Czołgi rozwijały się półkolem, oskrzydlając okopy. Centrum półkola pozostawało w tyle, skrzydła wysunęły się naprzód. Zmieniono szyk — w centrum szły ciężkie machiny, żółte, jak piasek.

— Dać rozkaz bateriom? — pytał na stanowisku dowodzenia zdenerwowany Sincow.

— Zaczekamy — odpowiadał Ługowoj.

Czołgi zbliżały się do okopów. Nad nimi na szarym, zadymionym niebie niby rudy strzęp płomienia trzepotał się berkut.

— Jakie to podobne do żółwi, Kuprijanie! — pokręcił głową Czakan.

— A powiedz no, Wasiliju Iwanowiczu, co to za plugastwo u nich na przedzie? — odezwał się siedzący obok niego w okopie Kuprijan Zielenkow. Wypisz — wymaluj, niedźwiedź, co go Cyganie po jarmarkach wodzili.

— Bo też to i niedźwiedź. Abyśmy się gorzej wystraszyli.

Potoki ognia dościgały rannego młodego kawalerzystę, który opadał z sił, coraz częściej opuszczał głowę i długo leżał w trawie. Frosia podniosła się i wyprostowana biegła do niego, przytrzymując ręką torbę. Dziewczyna i ogień pędzili na wyścigi.

— Spalą się oboje! — mówili w okopie, wysuwając głowy zza przedpiersia.

— Siedzieć w rowach! Do kogo mówię! — wrzasnął wściekle Dmitrij. Zamiotał się po ciasnym okopie. — Działa? Dlaczego milczą nasze działa? Działa milczały.

— Nie rozumiem waszego spokoju. Czołgi podchodzą tuż — mówił do Ługowoja Sincow, drżącymi palcami wyjmując papierosa z papierośnicy.

— Dobiegła! Dobiegła! — podniósł się zgiełk w okopach.

Szczupła postać nachyliła się nad rannym. Frosia na klęczkach odwijała oślepiająco biały bandaż.

— Pić — ranny na sekundę otworzył czerwone oczy z opalonymi rzęsami i znów opuścił głowę na trawę.

Czołgi szły tuż za ogniem po czarnej, iskrzącej się ziemi.

— I czegóż ona się guzdrze? — powiedział Czakan — zginie dziewczyna!

— Zdaje się, że wiatr odwrócił! — Kuprijan wciągnął nozdrzami gorące powietrze.

Wiatr zmienił kierunek i zaczął dąć z boku. Żółtawoszary dym popłynął w bok, obnażając wypaloną ziemię. Wiatr szybko popędził kłęby ognia na prawo, wzdłuż łamanej linii okopów. Ogień pożerający trawę pomknął w stronę widnokręgu i rychło znikł z oczu, po raz ostatni machnąwszy lisią kitą nad jego skrajem.

Przed okopem rozpościerała się wyłysiała ziemia, straszna w swej nagości. Powoli dopalał się burzan. W kłębach czarnej kurzawy sunęły czołgi.

— Trzymaj się mojej szyi — powiedziała Frosia do rannego i szybko zaczęła czołgać się na kolanach z powrotem. Wykrwawione ciało rannego ciężyło bezwładem, ręce jego jak pętle zacisnęły się na szyi Frosi. Dziewczyna traciła oddech.

— Siostro, pić — dyszał jej w ucho ranny.

— Ech, nie da rady! — to wysuwał się z okopu, to znów chował głowę Czakan.

— Baterie? Gdzie nasze baterie? — jęczał rozpaczliwie Dmitrij. Wylazł z okopu i stał wyprostowany na przedpiersiu.

— Zgubicie pułk — z czerwonymi wypiekami bladej twarzy powiedział Sincow do Ługowoja. Szarpnął ku sobie słuchawkę polowego telefonu. — To klęska. Sam zadzwonię do dywizjonu.

— Nic tu po telefonie. I proszę bez histerii — zimno powiedział Ługowoj, wyjmując mu słuchawkę z ręki. Przypadł do aparatu i powiedział niegłośno: — Uderzyć w centrum.

Wstał i obrzucił okiem pole. Wzbijając czarną jak węgiel kurzawę czołgi już podchodziły do okopów. Nad okopami uniosły się białe obłoczki, rozległy się pojedyńcze wystrzały. Dały ognia rusznice przeciwpancerne. Na lewym skrzydle wyskoczyły z okopów i zaczęły uciekać grupki ludzi. Ługowoj zeszedł z kurhanu i rowem łączącym pośpieszył na lewe skrzydło.

Frosia ciężko przewaliła się przez przedpiersie, bezwładnie osunęła się do okopu, przymknęła oczy. Wyciągnęły się ręce i przyjęły z jej pleców rannego. Frosia na mgnienie otworzyła oczy.

— Pić! — zatrzepotawszy wilgotnymi rzęsami powtórzyła: — Pić — on chce pić!

Gdy Ługowoj zeszedł do okopów, baterie otworzyły już ogień do czołgów, a uciekający ludzie na lewym skrzydle zatrzymali się i zawrócili. Pierwsze pociski trafiły w centrum nacierających czołgów. Nad dwoma wozami wzbił się ciemny, tłusty dym. Rozszedł się najpierw ciężki odór płonącej benzyny. Ługowoj rozkazał przenieść ogień najpierw na lewe, potem na prawe skrzydło. Czołgi, wykręcając się bokiem do okopów zaczęły się wycofywać.

— Rusznice! — krzyknął Dmitrij.

Było widać wyraźnie, jak na stalowych blachach zaczerwieniły się gęsto okrągłe otwory. Buchnął z nich czarny dym. Mieszając się z kurzawą, wzbitą przez wybuchy pocisków, strzępiastym obłokiem zakołysał się nad stepem.

— Popatrzcie, towarzyszu majorze, wieją — powiedział Ostapczuk, przeciskając się wąskim rowem łączącym do Ługowoja.

Czołgi rejterowały, wspinając się na pagórek. Przed okopami dopalały się wozy, trafione przez pociski. Wysoka łuna oświetliła ponury step.

Przełożyła *Anna Jakubiszyn*

KONRAD EBERHARDT

CZERWONA I CZARNA

W maju 1953 r. wyszła spod prasy drukarskiej w Paryżu, nakładem „Les Editeurs Français Reunis" powieść Pierre Courtade'a „Rzeka czarna" („La riviere noire") osnuta wokół tematu wojny vietnamskiej. Również w maju 1953 r. opuściła Zakłady Graficzne Domu Słowa Polskiego w Warszawie powieść Mirosława Żuławskiego „Rzeka Czerwona" o takiej samej tematyce. Zbieżność dat i podobieństwo tytułów niewątpliwie zachęca do porównania obu

książek. Ale sens trudowi tego zestawienia nadaje okoliczność, że obie powieści są rzeczywiście udane. Istnieją tematy, które mają szczęście do autorów, a „brudna wojna" w Vietnamie niewątpliwie do nich należy. Powieści francuskie, wykorzystujące ten temat jak „La bataille dans la riziere" („Bitwa na polu ryżowym") Jules Roy czy świetny debiut ostatnich miesięcy młodego dziennikarza Jean-Pierre Chabrola „La derniere cartouche" („Ostatni nabój") — wybija się niewątpliwie ponad przeciętny poziom powojennej francuskiej „produkcji powieściowej". U nas książka Mirosława Żuławskiego otrzymała Nagrodę Państwową za rok 1953. Dlatego warto wyruszyć wzdłuż biegu obu rzek, aby dojść do delty wspólnej, w której znajdują swe ujście.

1. „LES CIRCONSTANCES" I „OSTATNIA EUROPA".

Na początku był chaos. Milkły ostatnie strzały. Ziemia ostygła po pożarach i eksplozjach bomb i pocisków. Nie zważając na snujące się jeszcze dymy, pisarze chwycili za pióra. Wiele mitów zwaliło się razem z domami, okropności wojny pogłębiły sceptycyzm, oblicze świata stało się trudniejsze niż kiedykolwiek do odcyfrowania. Pisarze europejscy jedną nogą tkwili jeszcze w atmosferze partyzantki przeciwko hitleryzmowi, drugą opierali się o wyłaniający się z odmętów wojny i krzepnący ląd Europy. Był to okres, kiedy Marat, bohater świetnej powieści Roger Vaillanda „Drôle de jeu" (Dziwna zabawa), z pewnością nadal reprezentował typ samotnego przechodnia („le passant solitaire"), mieszczanina zdradzającego swą klasę w imię przyszłości nadchodzącego socjalizmu, ale nie widzącego mimo to miejsca dla siebie w nowym świecie. Przeżycia wojenne zaostrzyły dramatyczne widzenie świata. Pozwoliły formułować wrażenia i myśli w błyskawicznych spięciach faktów, konfrontacjach ostrych, odsłaniających człowieka XX wieku lub „człowieka w ogóle". W tym to pierwszym powojennym okresie ujrzały światło dzienne doskonałe debiuty, szkicowane zapewne jeszcze w czasie okupacji. We Francji należał do nich tom nowel Pierre Courtade'a „Les circostances". W Polsce swoistym ewenementem literackim okazał się tomik „miniatur" Mirosława Żuławskiego pt. „Ostatnia Europa".

Obie te pozycje, różniące się „narodowością", wyrosły jednak na tej samej glebie kultury francuskiej, wystarczająco użyźnionej przez wieki, aby roślinom czerpiącym z niej soki dać od razu piętno dojrzałości, a nawet przejrzałości. Precyzja stylu, wykwint, bogactwo warsztatu literackiego łączy wspólnym tonem nowele Courtade'a i miniatury Żuławskiego. Za plecami tych książek czuje się dobrych mistrzów. Któryś z krytyków słusznie zauważył, że robota literacka Żuławskiego z „Ostatniej Europy" przypomina kwiaty mrozu na szybach: piękne, wytworne, ale z których wieje mroźną pustką... Jaka wiedza o życiu zawarła się w tych dwóch tomikach? Przede wszystkim świadomość różnorodności, bogactwa fenomenów życia, zdarzeń stających się i przemijających. Któż zapomni miniaturę Żuławskiego, podnoszącą raz jeszcze myśl katastroficzności Europy, w której niebawem szukać trzeba będzie ludzi z latarnią w ręku, jak uczynił to Diogenes. A więc: jeszcze jeden daleki odblask „Dżumy" („La peste") Camusa, czy „Podróży do kresu nocy" Celine'a.

Nowele Courtade'a są również szybkimi rozbłyskami oświetlającymi różne profile życia. Oto nowela „Occupations", w której znajdujemy jeszcze jeden wariant „samotności" — człowieka zdradzonego przez najbliższą mu kobietę. W „Lekarzu wiejskim" ranny rzekomo partyzant okazuje się zdrajcą i wydaje ofiarnego lekarza w ręce Gestapo itp.

Świat jest różnorodny, zmienny i bogaty. Pisarz nie nadąży w notowaniu wszystkich jego przejawów i układów.

A tymczasem liczne procesy społeczno-polityczne zaczęły już ustalać model powojennej rzeczywistości. Kapitalizm zachodnio - europejski ruszył wydeptaną już przez siebie drogą: podano rękę imperializmowi niemieckiemu, ze zdwojoną energią zaczęto tłumić krwawo ruchy wyzwoleńcze w koloniach, fabryki broni ruszyły pełną parą, ciszę pokoju przerwały detonacje w Korei. Na całym świecie wzmógł się protest ludzkości przeciwko nowej wojnie. Wobec siebie stanęły dwa systemy społeczno-gospodarcze, ale starcia pomiędzy ich zwolennikami zaczęły przebiegać już wewnątrz każdego z krajów Zachodu. Ludzie pracy zjednoczyli się i ich połączony protest kazał czołgom i armatom zza oceanu znikać w falach morza. Tak powstała sprawa Henri

Martina. A w dalekim Vietnamie dalej toczyła się „brudna wojna" — jedna z najbrudniejszych wojen historii...

Oblicze świata stało się nagle wyraziste, a układ sił zrozumiały. Wielu pisarzy, w tej liczbie Żuławski i Courtade, oddali swe pióra siłom postępu, by pomóc w ich zwycięstwie. Front tego zmagania przebiega również przez Vietnam.

2. W DELCIE OBU RZEK.

Czytelnika, który przeczyta jedną po drugiej obie powieści „vietnamskie", uderzą niewątpliwie i zastanowią zbieżności, zarówno w dziedzinie stylistycznej, kompozycji, jak i charakterystyki poszczególnych postaci. Niewątpliwie nasunie mu się wówczas niedelikatna myśl o tak zwanym „wpływie", jaki na polskiego pisarza mógł wywrzeć francuski prozaik. A jednak, ponieważ obie powieści ukazały się prawie równocześnie, myśl tę należy uznać za nieprawdopodobną. Być może obaj autorzy oparli się na tych samych relacjach autentycznych z gruntu vietnamskiego, na tych samych zdarzeniach. Pozostańmy jednak przy faktach. Jesteśmy niewątpliwie świadkami ciekawego zetknięcia się dwóch podobnych indywidualności twórczych o wspólnym rodowodzie społecznym i literackim. Debiutowali podobnie, nic więc dziwnego, że i następne dojrzałe powieści wykazują cechy wspólne. Z innej strony zjawisko to ma bardzo ważną wymowę. Oto dwóch pisarzy należących do różnych narodów europejskich dokonało takiej samej analizy intelektualnej problemu wojny w Vietnamie i wcieliło ją w podobne kształty artystyczne. Powieścią Żuławskiego współczesna literatura polska dowiodła, że nie pozostawia za kręgiem swej spostrzegawczości wielkich procesów historycznych, rozgrywających się o tysiące kilometrów od środkowej Europy.

Książki Żuławskiego i Courtade'a tworzą świat, w którym poszczególne postacie odnajdują swoich sobowtórów lub dalekich krewnych. Niekiedy nawet imiona przywiązane do danych osób są podobne. Mohamed Arab Arezki — jeśli wolno nam zaczynać nie od pierwszoplanowych postaci, którego poznajemy w pierwszym, niezapomnianym rozdziale powieści Żuławskiego, z pewnością odnalazł swego „brata", Mohameda Ben Abdallacha, ordynansa por. Larillere z książki Courtade'a. Sytuacja obu jest jednakowa, obaj zostali oszukani, podstępnie wmieszani w wojnę przeciwko ludowi dźwigającemu podobnie jak i oni ciężar przemocy kolonialnej. Tylko dalsze etapy ich dziejów różnią się — Mohamed francuskiego pisarza ginie nie osiągając oddziałów Vietnamu, los drugiego natomiast układa się lepiej, kontrastowo do poprzedniego. Podobną drogą dążą: prosty chłopak francuski François Jacquiot, lekkomyślnie zaciągający się na wojnę do Indochin i Polak Wiecki, zdeprawowany przez wojnę, ale zachowujący jeszcze resztki poczucia godności i gorzką świadomość wplątania swego życia w błędne, bezsensowne koło wypadków. Hans Werner, były hitlerowiec, zwerbowany tutaj wraz z innymi rzezimieszkami, poda niewątpliwie rękę Hirschowi z „Rzeki Czerwonej", sławnemu mordercy ludności tubylczej i sadyście; znaleźliby na pewno wiele wspomnień z czasów, w których urządzali rzeź w Oradour. Yves Lemay, wytworny dyplomata, tak doskonale nakreślony przez Żuławskiego, będzie musiał odnaleźć swego dobrego znajomego, karierowicza, dawnego sklepikarza Alberta Pommardier, dziś radcę Unii Francuskiej, udającego się na służbowy objazd francuskich terytoriów Indochin. Młody porucznik de Larillere, dowódca placówki Minh-Khai, w rzeczywistości człowiek myślący i wartościowy, na pewno odnajdzie swoje miejsce w towarzystwie porucznika de Theoliere, tego, który sądzi, — „że zdoła przejść przez brudną wojnę w białych rękawiczkach i kazuarze z Saint—Cyr, posługując się obronną tarczą wiary w Ojczyznę i w ideały patriotyczne", — jak o nim powiedział autor „Rzeki Czerwonej". Tylko środowisko vietnamskich sił wyzwoleńczych z postaciami Tran Van Dan i Nguyen Hang Hoe z powieści Courtade'a nie znajduje odpowiednika, gdyż polski pisarz ograniczył zakres swojej książki jedynie do strony francuskiej. Spotykając się bohaterowie obu powieści — polskiej i francuskiej — mogliby wymieniać swoje wrażenia z przejścia przez płonące puszcze, w których wizerunek świata nagle wykrzywił się do karykaturalnego grymasu.

Z problemem przedstawienia sylwetek postaci „Rzeki Czerwonej" i „Rzeki Czarnej" łączy się nierozerwalnie sprawa przyjętej przez obu autorów techniki literackiej i kom-

pozycji utworów. Czy śledzimy tam jednolity rozwój akcji „prowadzonej" przez bohatera i podporządkowanej mu? Wręcz przeciwnie Przede wszystkim nie wiemy, kto jest bohaterem „Rzeki Czerwonej". Czy porucznik de Theoliere? Czy major Forge? Czy wreszcie minister Lemay? W „Rzece Czarnej" napotykamy te same trudności. Kto pełni tam rolę „postaci głównej", por. de Larillere, czy vietnamczyk Tran Van Dan, czy może wreszcie radca Unii Francuskiej Pommardier? Wiele postaci pretenduje jednocześnie do tego zaszczytu i dlatego wskazać na „bohatera" tych książek niepodobna. Bohaterem jest „niesprawiedliwa wojna", pewien proces historyczny, którego jest ona wyrazem. Wszystkie postacie jednakowo są od niego uzależnione i dlatego mają równe prawa. Z tym założeniem głównym zharmonizowana jest doskonale kompozycja obu książek. Spotykamy tu wielogłosową, polifoniczną budowę powieści, wątki poszczególne przeplatają się wzajemnie na zasadzie migawkowego lub może filmowego kojarzenia obrazów. Poszczególne sylwetki, twarze pojawiają się na moment w blasku reflektorów, aby za chwilę pogrążyć się w mroku. Oglądamy je w kilku migawkach — resztę musimy dopowiedzieć sobie sami. A więc jest to wielki szkicownik literacki, w którym chodzi o sugestywne uchwycenie konturów, aby decydowały o szczegółach. Trzeba więc wybierać momenty najbardziej charakterystyczne żywe, istotne.

Bez wątpienia, metoda przyjęta przez obu autorów dała doskonałe wyniki. Mimo, że każda z postaci zjawia się najwyżej kilka razy i to w scenach krótkich, jest ona żywa i interesująca, a dzieje jej są zrozumiałe. Przy zastosowaniu takiej techniki istnieje podwójne niebezpieczeństwo, aby nie powiedzieć zbyt dużo, lub zbyt mało. Są miejsca w książce, w których Żuławski powiedział zbyt mało. Dotyczy to chociażby por. de Theoliere, którego widzimy trzy razy, gdy wybiera się do Vietnamu, na miejscu, jak wzdryga się przed wykonaniem rozkazu rozstrzelania grupy tubylców, oraz w czasie odwrotu przez puszczę. Następnie wiemy, że ranny powraca do Ojczyzny. Wydaje mi się jednak, że o nim samym, o jego przełomie, wiemy zbyt mało. Podobnie u Courtade'a — śmierć Mohameda ben Abdallacha wydaje się nie mieć pogłębionego znaczenia, podobnie, jak i prostego żołnierza, François Jacquiot.

Ale w ogólnym rozrachunku odnosi się wrażenie, że ludzie Mirosława Żuławskiego są pełniejsi, głębiej uchwyceni; autor, określając ich uczestnictwo w wojnie vietnamskiej, równocześnie rzucił przenikliwe spojrzenie w dziedzinę doznań i przeżywania przez nich rzeczywistości. Wystarczy ocenić to na podstawie postaci Francuzów: majora Forge'a i min. Lemay'a. Jakże doskonale rysuje się ta postać starego wojskowego, strzegącego od lat interesów kolonialnych swego kraju i powoli uświadamiającego sobie bezsens tego trwania. „To nie jest defetyzm — mówi major Forge do generała Carpentier. — To owoc moich niedospanych nocy. Tej wojny nie można wygrać. Ta wojna jest jak nasza droga kolonialna: można na niej utopić w krwi i błocie honor i armię...". Ale poza tym stwierdzeniem kryje się również tło osobiste, życie majora Forge'a wydaje się zapadać, obsuwać, jak droga kolonialna. „Forge miał już piąty krzyżyk, w tym wieku rodzina znaczy więcej niż kiedykolwiek. Forge odczuwał rosnący ciężar samotności i miewał chwile, kiedy namacalnie czuł przesuwanie się pasma życia, jakby to był pasek telegrafu Morse'a, wiotczejący pod palcami... Siedział przez chwilę zgarbiony, patrząc, jak drobne punkciki światła sączącego się przez zasłony mat migocą na szklanej tafli biurka".

U Courtade'a — poprzestającego raczej na doskonałych charakterystykach zewnętrznych i sytuacyjnych — takim momentem, w którym dramat jednostki objawia się w całej ostrości, jest smutna śmierć porucznika de Larillere. W chwili poprzedzającej zamknięcie powiek uświadomił sobie, że jego trzydzieści trzy lata życia poszły na marne, zniweczone w zbrodniczej i tragicznej równocześnie pomyłce.

3. JESIEŃ PARYSKA.

„Yves Lemay stał w złoconym oknie, sięgającym obitej pluszem podłogi i patrzył na Sekwanę. Liście już zwiędły. Zżółkły platany przed oknami. Po przeciwległej stronie rzeki, na prawym brzegu kasztany płonęły jak stare złoto... Lemay szukał w tym obrazie dowodów niewzruszalności owego pięknego, bogatego świata, któremu na imię Passy...". Motyw jesieni znany mi jeszcze z „Ostatniej Europy"

przewija się przez „paryskie" partie „Rzeki Czerwonej" Żuławskiego. Na jesień tę patrzy stary dyplomata Yves Lemay, filar Quai d'Orsay — oraz były minister, odchodzący już Dravet, który, jak mówił o nim autor, chciał zabrać z sobą do grobu całe piękno starego świata. Urasta ona do symbolu. W starym, zczerniałym złocie ram obrazów, wnętrz pałacowych i liści spadających z odwiecznych platanów schodzi powoli ze sceny historii wielkie mieszczaństwo francuskie. Rozumie to stary profesor Lefebvre i patrząc na tę samą panoramę jesiennego Paryża spostrzega, że to bynajmniej nie całe miasto więdnie i że słychać gwar tysięcy ludzi, nowych sił społecznych, które dojrzały do odegrania decydującej roli.

Do wielkich sukcesów pisarskich Żuławskiego należy ukazanie „zaplecza" sprawy Vietnamu, unaocznienie prawdy, że w istocie Vietnam leży w sercu Europy. Nad Paryżem pozornie więdnącym spokojnie — wisi widmo wojny toczącej się o 10.000 km. Widmo wielkiego, rozgrywającego się tam dramatu: oto po raz pierwszy Francja, reprezentantka Europy, przekonała się, że nie wszędzie ma coś do powiedzenia i ujrzała w pełni swą słabość. We wspaniałej scenie przyjęcia u ambasadora Indii Sinha Lemay z bólem stwierdził, że skończyły się czasy, kiedy krajom Azji tylko i wyłącznie stawiało się warunki.

Rozpiętością świata fikcji literackiej, zamkniętego dwoma biegunami Paryż — Cao Bang. Żuławski różni się od Courtade'a, który nie opuszcza w swej książce granic Indochin. Reprezentantem Paryża jest u niego nikczemna kreatura, radca Unii Francuskiej Albert Pommardier przyjeżdżający z Francji do Vietnamu, aby powrócić w aureoli bohaterstwa po zetknięciu się z „dzikim krajem". Yves Lemay miał chociaż „piękną głowę" i reprezentował starą kulturę mieszczaństwa francuskiego — Pommardier natomiast, niegdyś kupczyk z L..., jest tylko drobną, nieciekawą kanalią, wyrzuconą na powierzchnię życia przez falę koniunktury politycznej. Ale wobec głownych spraw politycznych zarówno Lemay, jak i Pommardier reprezentują to samo stanowisko: łączy ich wspólna sprawa jak najdłuższego utrzymywania się na lądzie, który zwolna pogrąża się w falach, podobny Atlantydzie, tak często porównywanej — z Europą. Wraz z ukazaniem się radcy Pommardiera na scenie powieści, tragizm niepotrzebnej śmierci młodzieży francuskiej w puszczach Vietnamu ukazuje się w pełni grozy. To przez konszachty Pommardiera młodzi żołnierze francuscy będą ginąć na polach ryżowych w imię interesów finansistów z dworu Bao-Dai'a. To Pommardier oddał w ręce policji francuskiej intelektualistę vietnamskiego Khöi, przebywającego wtedy w Paryżu. Spotka go później w Saigonie, w szpitalu dla obłąkanych, zmaltretowanego nieludzkimi badaniami policji. Usłyszy wówczas z jego ust okrzyk, który rozlegnie się po wszystkich salach: „Łotrze!".

. . .

W oświetleniu obu powieści: pisarza francuskiego i polskiego Vietnam przestaje być mitem, zbliża się do nas wbrew tysiącom dzielących nas kilometrów. Na tej ziemi Europa Zachodnia poniosła wielką porażkę militarną i moralną. Cóż może przeciwstawić ona entuzjazmowi ludu vietnamskiego zjednoczonego pragnieniem osiągnięcia wolności? Broń, samoloty i działa okazały się niewystarczającym argumentem w ostatecznej rozgrywce. Czym Europa może się przeciwstawić w dziedzinie społeczno-ekonomicznej, czy nadal systemem kapitalizmu, odrzucanym nawet przez światlejsze jednostki o prawicowych poglądach? A w dziedzinie ideologii? A w dziedzinie kultury? Czy Europejczykom wolno posługiwać się argumentem „nosicieli kultury" wobec zabytków prastarej kultury, pochłoniętych przez puszczę, skoro ich własna kultura zwolna karleje i zrywa z wielkimi tradycjami?

Nic nie odwróci biegu obu rzek vietnamskich: „czerwonej" z powieści Mirosława Żuławskiego i „czarnej" z powieści Pierre Courtade'a. Obaj właściwie zrozumieli bieg ich nurtów, nieodwracalny jak historia, który wiedzie ku wyzwoleniu wszystkich kolonii. Zamknęli swoje spostrzeżenia w dwóch świetnych książkach podobnych i różnych jednocześnie.

Choć w rzeczywistości jest to jedna i ta sama rzeka — jak jedną jest sprawa wolności niezależnie od geograficznego równoleżnika i koloru skóry ludzi, którzy o nią walczą.

Konrad Eberhardt

ALINA RYBICKA

WSPOMNIENIE

Autokary już czekają. Wczesny szczeciński ranek. Pięćsetosobowa wycieczka dzieli się na dziesięć grup, z których każda ma zwiedzić dwie spółdzielnie. Rozjeżdżamy się po całym powiecie.

W autokarze nastrój raczej ponury.

— Czy zaraz każą podpisywać? — rozróżniam szept w łoskocie samochodu. Młoda kobieta. Twarz zmęczona podróżą drga niepokojem.

— Co wy! — aha, to Świątek. — Nikt wam nic nie każe podpisywać. Pojedziemy, obejrzymy, tak jak oglądaliśmy Szczecin.

Z twarzy kobiety nie znika jednak wyraz niepokoju i zmęczenia.

Autokar staje przed Domem Kultury w Warzynicach. Wchodzimy do sali. Zeby tu było pięknie, nie powiem. Sala wprawdzie duża i jest scena, ale to wszystko jakieś „nieurządzone".

Chłopi obsiadają ławki pod ścianami.

Borkowski staje obok stolika.

— To musi ichni przewodniczący — szepcze Migajowa.

— Et, gadacie. Taki młodziak...

Ale „młodziak" okazuje się istotnie przewodniczącym. W kilku słowach wita gości.

— Towarzysz z Powiatowego Zarządu Samopomocy zwrócił się do mnie, żebym wam opowiedział, jak powstała nasza spółdzielnia. To zaczęło się jeszcze w 1948 roku. Było nas wtedy dwudziestu dwóch...

... Było ich 22 młodych chłopców świeżo zdemobilizowanych „kawalerów do wzięcia". Pochodzili przeważnie z Wileńszczyzny i Nowogródczyzny. Po zdemobilizowaniu otrzymali od państwa działki po 5 - 7 ha i nadgryzione pociskami zabudowania. W Warzynicach stanowili całą ludność wsi.

Trzeba było pomyśleć o gruntownym remoncie budynków, o inwentarzu, a przede wszystkim ... o żonie. Bez kobiety gospodarzyć nie będziesz. Nie taka to jednak prosta sprawa. Kobieta na Ziemiach Odzyskanych była w owym czasie rzadkim i cennym zjawiskiem. Rzymianie poradzili sobie w ten sposób, że porwali Sabinki. Chłopcy z Warzynic musieli dokonać niemniej śmiałych wyczynów. Okazali się zuchami. W przeciągu 1949 r. pożenili się wszyscy.

Z gospodarką nie było łatwo. Brakowało inwentarza, narzędzi i maszyn. I wtedy młodzi samorzutnie, z własnej inicjatywy zaczęli się łączyć po dwóch, po trzech i gospodarzyć wspólnie. Ten miał konia, tamten krowę, inny narzędzia. Jakoś szło. Niezupełnie dobrze, ale...

Najgorszą plagą byli szabrownicy. Zlatywali jak stonki na ziemniaczane zagony. Pozostawała po nich goła ziemia, bo tej nie mogli zabrać ze sobą w łupieskie troki.

Rok 1950 rozpoczął się pod znakiem niepokoju. Po Warzynicach krążyły statuty spółdzielni produkcyjnych, a w wyremontowanych domach pierwsze noworodki witały świat piskiem niezadowolenia.

Młodzi gospodarze radzili i sprzeczali się: zakładać, nie zakładać... Na zrujnowanym murze obszarniczej stodoły groził resztkami liter niemiecki napis: „Achtung! Achtung! Der Feind hört mit!"

Wróg słuchał. Wódka polała się strumieniem... Na zebraniu... ktoś zwymiotował na kolana sąsiadowi — wyprowadzili go koledzy sami ledwie trzymający się na nogach. Nawet ci, którzy najgoręcej agitowali za utworzeniem spółdzielni, kiwali się w takt pijanej drzemki. Wróg nie tylko słuchał — działał.

Przeszły orki... siewy... ozimina wykłosiła się pięknie... niemowlęta przewracały się na brzuszki i co niecierpliwsze zaczynały szukać w buzi pierwszych zębów... a sprawa spółdzielni ciągle była w zawieszeniu i w Warzynicach wciąż wrzało. Hańba lutowego zebrania dla jednych była piekącym przypomnieniem klęski, dla drugich momentem tryumfu. Oczy groźnie błyskały ku sobie. Zęby mełły groźby. To już nie byli koledzy z wojska — wzorowe chłopaki trzymające się kupą. To byli wrogowie gotowi skoczyć sobie z pazurami do oczu.

Wybuch wojny w Korei dolał oliwy do ognia.

Zdziwił się Borkowski, kiedy pewnego południa zjawił się u niego jeden z najzaciętszych przeciwników. Usiedli na ganku naprzeciw siebie.

Przez chwilę ssali w milczeniu papierosy. Z otwartego okna dobiegało mokre chlastanie — to żona Borkowskiego bieliła kuchnię.

Gość pierwszy przerwał milczenie.

— Ja, Olek, do ciebie po dawnym koleżeństwie, — zaczął bez zwykłych wstępów na temat pogody, urodzajów. — Razemśmy kolegowali w wojsku, razem tu żyliśmy od początku. Chciałem z tobą pogadać. Ty się, chłopie, zastanów z tą spółdzielnią. Wojna się zaczęła — tylko patrzeć, jak Amerykanie tu przyjdą. Tak ci pilno ginąć? Żonę masz, dziecko... Toż ciebie na pierwszej gałęzi powieszą.

Borkowskiemu wściekłość uderzyła do głowy. Wstał.

— O Amerykanów ty się nie martw! — cedził zduszonym głosem. — O mnie też! Siebie pilnuj! Jeszcze nie wiadomo, który z nas pierwszy będzie wisiał!

— Gad, ścierwo! — rzucił tamten trzasnąwszy drzwiami od ganku.

Napięcie sytuacji osiągnęło swój punkt szczytowy. Nie było już mowy o koleżeńskich pertraktacjach. Stało się jasne, że strona, która przegra, będzie musiała opuścić wieś.

Nie przebierano w środkach.

— ...warto by czerwonym czerwonego koguta posadzić w stodole...

...mordę tak skuje temu parszywemu, że go rodzona matka nie pozna...

I znajdywane rankiem napisy na drzwiach: „Uwaga! Bolszewicki sługus!"
„Uwaga! Amerykański lizodup!"

...i zniszczony kierat... i cielna krowa otruta w oborze wroga — sąsiada... rozbita kamieniem głowa Walczaka... i pokaleczony koń...

I wreszcie telefon do Powiatowego Zarządu ZSCh.:

— Towarzysze, przyjeżdżajcie. Chcemy zrobić zebranie w sprawie spółdzielni.

Już teraz mowy nie było o wódce. Zebranie się odbyło. Siedemnastu członków zorganizowało spółdzielnię produkcyjną. A pozostałych pięciu... Nie! To nie był jeszcze koniec walki.

Z kredytów państwa zakupiono inwentarz, bo nikt nie miał więcej niż jedną krowę. Do spółdzielni wniesiono tylko konie. Na jesieni przystąpiono do wspólnej orki. I wtedy okazało się, jak wielką pomocą jest POM. To, co końmi orano przez dwa i trzy dni, pługi ciągnięte przez traktor zorały w przeciągu jednej dniówki.

— Maszynami to moglibyśmy teraz więcej ziemi obrobić, gdybyśmy ją mieli — padło na zebraniu. Zaorano więc odłogi leżące obok gruntów spółdzielców i powiększono obszar do 276 ha.

Zbliżała się zima. Spółdzielnia powiększyła się o... dwóch nowych członków. Trzej najzagorzalsi przeciwnicy przenosili się do miasta. Pozostawiali domy, ziemię i pogróżki zgrzytane pod adresem spółdzielców.

W połowie listopada wzięły mrozy.

Był pochmurny, mroźny ranek. W południe Olejnik przybiegł do Borkowskiego.

— Olek! Adamowicz zabrał wszystek miód i zostawił pszczoły na pustych plastrach na zimę.

Olejnik był znany z serca do pszczół — wychował się przy pasiece.

— Ani kapki miodu ...syn nie zostawił! — oczy mu latały z gniewu i przejęcia.

Poszły w ruch telefony.

— Mnie one nie potrzebne — oświadczył mściwie Adamowicz — niech zdychają!

Borkowski nie zostawił jednak tej sprawy niezałatwionej. Póty jeździł, mówił, przekonywał po różnych zarządach, związkach i komitetach, aż wreszcie otrzymał na rękę pismo: Adamowicz zrzekał się wszelkich praw do pszczół, które skazał na zagładę.

...A Olejnik poznosił ule do pustego mieszkania i własnym cukrem podkarmiał roje, chodził koło nich, ratował jak umiał. Przyjechał instruktor pszczelarski z PRN, ale i on nie wiele mógł poradzić — cztery roje zginęły. Zostało dziesięć.

Na najbliższym zebraniu spółdzielni poruszono sprawę pszczół:

— Mała hodowla — duży kłopot, mały zysk.

— Duża hodowla — duży kłopot duży zysk.

I zakupiono jeszcze dwanaście rojów, a Olejnikowi powierzono troskę o pasiekę.

— Nawet w pole nie będziesz już wychodził. Tylko pszczół pilnuj, a ucz się, jak je hodować. Będzie kurs, poślemy cię.

Nie. Nie najłatwiejsze było życie w spółdzielni. Zorganizowanie jej nie rozwiązywało automatycznie wszystkich problemów. To był

dopiero wstęp do wysiłków. Trzeba było utrzymać ją przy życiu, rozwijać. I oto znów pojawiły się dwa zagadnienia: sprawa budynków gospodarskich i sprawa kobiet zdobytych z takim trudem.

Z zabudowaniami poradzono sobie stosunkowo szybko: na wiosnę we własnym zakresie przeprowadzono kapitalny remont, a raczej odbudowę, bo najczęściej pozostały tylko fundamenty dawnych, obszarniczych budynków. Inwentarz, zboże, maszyny, narzędzia znalazły pomieszczenie pod dachem.

Z kobietami było trudniej. — A co ja tam będę na cudzym robiła! Chcesz to idź! — ale to było rzadziej. Częściej tak:

— A z dzieckiem co zrobię? Na drodze zostawię czy jak?

To był problem. Rozwiązano go dopiero przez założenie żłobka. Nie było to jakieś warszawskie cudo, ale zwyczajne dwie bielone izby z dużymi oknami, małe łóżeczka, małe stoliki i młode nianie-pielęgniarki. I jeszcze gładziutka podłoga, jak makaron żółta od codziennego szorowania, na której można było raczkując urządzać długie spacery.

Z założeniem żłobka zbiegło się polepszenie warunków materialnych i wyraźna zmiana trybu życia.

Np. takie wyjazdy do kina, do teatru. Czy przedtem mogli sobie na to pozwolić? A teraz ławki stawia się na ciężarówkę, bo przecież mają własną, i całe towarzystwo odświętnie ubrane jedzie do teatru. To ostatecznie przekonało kobiety. Zastrzegły sobie tylko soboty i poniedziałki, bo przecież trzeba coś upiec czy przeprać...

...Sala słucha z rezerwą. Wydajność z ha w r. 1951, w r. 52... co to jest dniówka obrachunkowa... jak to jest, że nikt nie ma krzywdy, bo kto więcej pracuje, więcej dostaje... A podatki... a dostawy... a ubezpieczenia... a kredyty... A jak z działkami przyzagrodowymi... A jakie są obowiązki oborowego i jak mu się dniówkę oblicza... A... — tyle tych pytań i niepewności...

Koniec wreszcie z rozmową. Idziemy zobaczyć tę spółdzielnię.

Po obu stronach drogi murowane domki z gankami, dzikie wino, znane dobrze malwy i lipy. Najpierw do żłobka, bo to po drodze.

Uśmiechają się młode piastunki. Chwacki dziadzio z Zamojszczyzny bierze na ręce malutką warzynicką latorośl. Dziecko niepewnie dotyka rączką wspaniałych, bujnych wąsów i... wybucha rozpłakanym krzykiem. Przestraszyło się. No cóż, takiego starego to pewnie w Warzynicach jeszcze nie widziało.

Dalej, dalej, zobaczyć wszystko, zajrzeć w każdy kąt, czy gdzie nie ukrywa się prawda o nędzy spółdzielców, o wyzysku. Za dobrze jakoś, za dostatnio to życie wygląda. Przecież inaczej mówili u nich we wsi... Więc dalej, do komórek, do składzików, na strychy, wszędzie, wszędzie. Nic nie ujdzie czujnemu, chłopskiemu oku.

...cztery osoby w domu — raz, dwa, trzy łóżka i jedna kozetka w sypialni.

Tak, tak. Jest osobno sypialnia, osobno jadalnia, osobno kuchnia...

Trzeszczą schody pod zwalistą Cielniakową. Na strychu wielki komin. W kominie jawny dowód „nędzy": wisi szynka, połcie słoniny, lakierowane lśniącą tłustością kiełbasy...

Nie tu, więc gdzie jej szukać? Do chlewów, do obór. Nie tych wspólnych, bo to „na pokaz", ale tych przyzagrodowych.

...Nieduży chlew. Leży wyciągnięta bezsilnie wielka świnia. Zamknęła ślepia; nie reaguje na nic.

— Chora?

— Tak. Wczoraj się oprosiła. Młoda gosposia pokazuje sześć malutkich, niecierpliwych prosiąt... Zawód, zawód, zawód.

...Nareszcie! Trzy pokoje stoją pustką. W brudnej kuchni kilka „wyrek". Gnieździ się tu cała rodzina. W oknach nie ma firanek ani chińskich róż. Spoglądamy na Borkowskiego z pytającym niepokojem.

— Oni przyjechali do nas dopiero przed dwoma tygodniami. Są spod Białegostoku... Myśmy też na początku nie umieli żyć w trzech pokojach z kuchnią. A teraz... nie potrafilibyśmy inaczej — mówi z uśmiechem. — Przyzwyczają się i oni.

Ludzie są poruszeni. Ta kuchnia z wyrkami, ten charakterystyczny, pomieszany zapach potu i pomyj to ich własne życie tam, w ich wsi. Czy oni też nie umieliby żyć w trzech pokojach z kuchnią?..

...Pokażcie nam buchalterię! Chcemy zobaczyć książki!

— Zaraz przyjdzie buchalter. On ma klucze.

— Cooo? Kluczyki się zgubiły? — Dyjak nie panuje nad sobą. Z kieszeni wyciąga pęk wytrychów.

— My mamy kluczyki! Można zaraz otwierać.

Ale buchalter już idzie. W pięciu znikają w małym domku...

Na podwórku, przed wielkim kurnikiem, kokoszą się dwie setki wspaniałych leghornów. W niewielkim pomieszczeniu, obok, mieści się naftowa sztuczna wylęgarnia i magazyn jaj. Wielkie, kremowe, leżą poukładane w specjalnych kartonach.

Pękalski odciąga na bok jednego ze spółdzielców.

— Sprzedajcie mi dziesięć jajek, podłożę pod moją kwokę. Widzę, że ładne kury. A to, widzicie kobieta mi w domu piekło robiła, że jadę. Przywiozę jej gościniec — nie będzie pomstowała.

— No to..o, widzicie tam stoi. Idźcie do niej. Ona zajmuje się kurnikiem, to wam sprzeda.

Pękalski patrzy nieufnie.

— A wy nie możecie? To niby jaka dla was korzyść z tych kur, kiedy nawet jajek nie wolno wam sprzedać?

I znów długie tłumaczenie o podziale wspólnych zysków...

...Obora... stajnia... spichlerz... maszynownia... młyn... silosy... Ludzie są podnieceni do ostateczności. Gdzież się podział senny spokój wycieczki? Jazgoczą aż do omdlenia języków. Wszystko zobaczyć, wszystko sprawdzić, wszystkiego dotknąć, czy nie propaganda, czy nie kłamstwo. Czy dorodność tej krowy to nie jakaś magiczna sztuczka „kołchoźników".

Patrzą na ręce dojącej kobiety. Porównują wydajność z tym, co mówił Borkowski i co zapisali w notesach. Zgadza się. Zgadza. Nic nie mogła dodać, bo patrzyli, sami pilnowali.

Liczą sztuki bydła, liczą świnie. Zgadza się. Znów się zgadza. Nic nie dodał ani ujął.

Wszędzie ich pełno. Badają zboże na polu, sieczkę w stodole i pasy w maszynowni. Sprawdzają siewnik, pukają w pługi. Są wszędzie. Nic nie ujdzie bacznym, przenikliwym oczom i niecierpliwym, zgrubiałym rękom.

...Dom. Pusty.

— Co to?

— To gospodarstwo jeszcze nieobjęte przez nikogo. Czeka na was. Przyjeżdżajcie — zapraszający ruch ręki...

* * *

...Trzeba jechać dalej. Wsiadamy do autokarów.

— No, Dyjak, zgadza się?

— Co do grosza, cholera!

Autokar dygoce od nierówności drogi i gadania.

W spółdzielni „Pług i sierp" czekają już na nas z obiadem. I to jakim! Wygadane i rezolutne żony spółdzielców roznoszą olbrzymie porcje, od których długie stoły uginają się zupełnie bez przesady, bo zrobiono je z desek położonych na kozłach i nakrytych białym papierem. Strzelają dowcipy, leje się piwo. A po obiedzie kobiety ze spółdzielni zabierają gości do siebie. Każda ma wino swojej roboty. Chwalą się ładnym obejściem i odznaczeniami za pracę społeczną. A potem zwiedzanie spółdzielni. Znów przedszkole... cieplarnie... inspekty... traktory... wzorowa hodowla bydła...

* * *

...Wracamy. Dzień — noc — obojętne. Pociąg wrze. Niekończące się dyskusje sprawiają wrażenie zaciętych kłótni. Przekrwione oczy płoną gorączką, podnieceniem, niewyspaniem. Na półkach w przedziałach drżą pozawijane w mokre szmaty flance wspaniałych pomidorów, doniczki z szałwią, z zaszczepkami chińskich róż. W brudnych garściach wilgotnieją od potu próbki ziarna.

I wszystkie wątpliwości łamie jeden druzgocący argument:

— Widziałem!..

Alina Rybicka

EUGENIUSZ KAPUSTA

LEKCJA ŻYCIA

Ktoś zakaszlał nerwowo na sali. Janek Walczak poruszył się niespokojnie i jeszcze bardziej przygarbił. Nie śmiał się obejrzeć do tyłu, choć czuł niemal fizyczny ból w plecach gdzieś w okolicy krzyża od dziesiątków par oczu wbitych w niego. Miął tylko bezradnie pilotkę w zbrązowiałych palcach, niezdolny do myślenia.

Za stołem prezydialnym siedziało ich kilku. W środku przewodniczący koła ZMP Szymański, tuż obok niego, po prawej stronie, sekretarz partii Kozak. Trochę dalej jeszcze dwóch traktorzystów i Zielonka, dyrektor POM-u. Z boku pochylała się nad czerwonym suknem głowa Haliny. Miała protokółować dzisiejsze zebranie.

Cisza stawała się denerwująca. Walczak podniósł głowę i szybko ją znów opuścił.

— Niechby już wreszcie zaczynali!

Ale Szymański grzebał niezdecydowanie w rozłożonych na stole papierach. Zdawało się, że znalazł już to, czego szukał, po kilku jednak chwilach odkładał kartkę na bok i znów szukał.

— Czego on szuka? — myślał leniwie Walczak. — Udaje ważniaka. I tak wie już wszystko. Albo Zielonka... Ten też jest dobry. Zamiast... Ale zresztą...

Walczak znów ostrożnie próbował rozejrzeć się po świetlicy. Zaraz za nim siedział Janicki.

— Dlaczego on tak nerwowo szarpie guzik? — przebiegło mu przez głowę. — Jest taki śmieszny z tym wszystkim. I ta powaga... Cóż to, zamordowałem kogo, czy co?

Wzrok pobiegł dalej. Za Janickim siedział Kazik Smyk, przyjaciel od kieliszka. I on też był poważny, śmiertelnie poważny.

— Ileż to razem wychlaliśmy wódy? — twarz Janka skrzywiła się w niedobrym uśmiechu. — A teraz ani spojrzy. Na pewno będzie na mnie pyskował.

Na ławce pod ścianą siedziała Maryśka Klimczakówna. Widział tylko jej brązowe, opalone nogi i rąbek barwnej, kretonowej sukienki, osłaniającej kolana.

— Dlaczego nie w spodniach? — zdziwił się. — Zawsze przecież chodzi tak ubrana... Ale, prawda. Przecież dzisiaj niedziela.

Przeniósł wzrok wyżej. Prześliznął się po szczupłej postaci dziewczyny, na chwilę zatrzymał spojrzenie na jej krótko, po męsku przystrzyżonych włosach i uciekł gdzieś w bok. Nie chciał napotkać jej oczu, choć przecież może tylko one jedne patrzyły na niego ciepło, jakby współczująco.

— Potrzeba mi jej współczucia! Litować się będzie!

Podświadomie jednak pragnął jeszcze spojrzeć w te oczy. Chociażby po to, żeby wyczytać w nich wyrok. Niechby najgorszy, ale lepsze to od dręczącej niepewności.

Przypomniały mu się chwile sprzed miesięcy.

Maryśka Klimczakówna nie od razu przypadła do gustu Walczakowi. Zbliżyła ich dopiero wspólna praca w spółdzielni produkcyjnej w Olszynach. Bo tam właśnie skierowano ich z POM-u. Dbali o swego „Zetora", czyścili go i oliwili. Z początku Janek krzywił się trochę, że „jakąś tam babę" przydzielono mu na pomocnika. Ale po pierwszym miesiącu, gdy z „jakąś tam babą" wyrobił 180 procent normy, przekonał się do niej.

W dyrekcji POM, gdzie brali wypłatę, po raz pierwszy spotkały się ich oczy. Figlarne, wesołe Maryśki i zielone, niepokojące Janka. Potem spojrzenia ich spotykały się częściej. Nad traktorem, gdy wspólnie go myli, w czasie gorączkowej pracy w okresie żniw, albo w parne lipcowe wieczory. Wtedy właściwie mrok zacierał jej oczy. Ale Jankowi wydawało się wówczas, że widzi w nich lśnienia gwiazd. Usta ich zaś nieśmiało uśmiechały się wzajemnie, tłumiąc cisnące się słowa do czasu... do czasu, gdy się po raz pierwszy spotkały. W takim niezręcznym, ale jakże słodkim pocałunku.

Grały wtedy cykady gdzieś w zbożach zżętych za dnia.

Walczak westchnął niedosłyszalnie. W tej chwili Szymański chrząknął i zaczął mówić:

— Znacie chyba wszyscy cel naszego dzisiejszego nadzwyczajnego zebrania. Musimy rozstrzygnąć, jak należy postąpić z Walczakiem. Trzeba zdecydować całym kolektywem, czy sprawę jego przekazać milicji, czy też załatwić ją w inny sposób.

Głos Szymańskiego brzmiał surowo. Tak się przynajmniej wydawało Walczakowi. Słyszał go, ale nie potrafił rozróżnić poszczególnych wyrazów. Zlewały się w jakąś nieprzebytą zaporę, gładką, śliską zaporę. Dopiero słowo „milicja" uczyniło w niej pierwszy wyłom, wstrząsnęło nim. Drgnął i machinalnie przetarł oczy.

Szymański po chwilowej przerwie ciągnął dalej. Walczakowi zdawało się teraz, że słowa padają jak grad kamieni na jego głowę.

— Że jeszcze dwa miesiące temu Walczak był dzielnym traktorzystą i najlepszym kolegą, wiecie dobrze. Żył przecież z wami i razem z wami pracował. Przekraczał wysoko normy. Ale najważniejsze, że spółdzielcy Olszyn byli z niego zadowoleni. Pamiętacie, jak to kiedyś na zebraniu w POM przewodniczący spółdzielni Hetman nie mógł się go nachwalić. Przyjemnie było tego słuchać. Robotę wykonywał solidnie, razem z Klimczakówną dbał o powierzoną maszynę. Przez całe lato nie miał żadnego przestoju. Chociażby to świadczy przecie na jego korzyść, mówi o nim jak najlepiej. Aż tu nagle taka historia.

Walczak poruszył się niespokojnie na krześle i przelotnie spojrzał na Szymańskiego. Na salę nie potrzebował się oglądać. Czuł jej wrogość. Tchnęła z każdego kąta, z każdej pary oczu.

I nagle świetlica zahuczała. Burzę spowodował Górniak.

— Teraz już wiem, gdzie się podział mój koc! — wyrwał się. — A to szubrawiec dopiero!

Walczak skulił się od tych słów. Chciał zaprotestować, że to nieprawda, że on żadnego koca nie ukradł, ale bał się odezwać.

W świetlicy brzęczało jak w gnieździe os. Krzyżowały się w powietrzu uwagi i niepochlebne epitety pod adresem złodzieja. Napięcie rosło z minuty na minutę. Przewodniczący Szymański z trudem uciszył zebranych traktorzystów.

Spośród gęstwy głosów wybił się jeden, mechanika Janickiego z kuźni.

— Musimy się wstydzić, że w naszym kole znalazł się taki człowiek. Złodzieja nam nie potrzeba. Nie chcemy, by jedna parszywa owca ściągała hańbę na całe nasze koło. Niestety, zbyt mało czujności wykazaliśmy w tym, że dopuściliśmy go do naszego grona.

Janicki potoczył zapalczywym wzrokiem po zebranych. Potem spojrzał na stół prezydialny. Szymański zwiesił głowę nad stołem, podparłszy ją z prawej strony ręką, Zielonka bębnił nerwowo ołówkiem po czerwonym suknie, Kozak zapatrzył się gdzieś w okno. Jednak skupiony wyraz twarzy i lekka zmarszczka nad nosem świadczyły o czym innym.

Mechanik zaś ciągnął dalej:

— I któż to jest Walczak? Co my o nim wiemy? Wiemy tylko tyle, że gdzieś tam w Wereszynie ma matkę i rodzeństwo. Podobno małorolni. Czy ściągaliśmy opinię z tamtejszego koła ZMP? Nie. A on pewnie tam nabroił i potem przeniósł się do nas. Bo mu się ziemia zaczęła palić pod nogami... Żeby dalej kraść...

Janicki urwał. Oparł się o poręcz krzesła tuż nad Walczakiem i spoglądał z góry na jego gęstą, czarniawą czuprynę. Potem odwrócił się do tyłu i omiótł wzrokiem wszystkich zebranych zetempowców. Jakby zbierał myśli. Na sali zasiało makiem.

Szymański podniósł głowę wyczekująco. Już miał zapytać, kto następny zabierze głos, gdy Janicki odezwał się znowu. Tym razem w głosie jego przebijała jakaś złośliwa satysfakcja. Cieszył się z tego, że za każdym jego słowem plecy Walczaka, którego miał przecież tuż przed sobą, pochylały się coraz niżej.

— Uważam, że Walczaka trzeba było natychmiast oddać do milicji, a nie czekać na dzisiejsze zebranie. W naszym kole nie ma miejsca dla złodzieja.

Janicki usiadł. Z bocznej kieszeni wygrzebał nieco skruszonego papierosa i zapalił. Czekał na rezultat swego wystąpienia w poczuciu dobrze spełnionego zetempowskiego obowiązku. A echa jego nie dały na siebie zbyt długo czekać.

— Musimy go dzisiaj, zaraz, natychmiast wykluczyć z koła ZMP! — gorączkował się z kąta sali Próchniak, nie pytając przewodniczącego o pozwolenie zabrania głosu.

Wszystkie oczy zwróciły się w tamtą stronę. Tylko Walczak w dalszym ciągu patrzył ponuro w ziemię. Wiedział, że skoro takie jest stanowisko Próchniaka, to nie ma co

łudzić się jakąś nadzieją. Z jego głosem liczyli się wszyscy. Był przecież przodownikiem.

— Nie możemy takiego złodziejaszka nadal trzymać w naszym kole, — mówił Próchniak. — Wstyd tylko przynosi, jak słusznie zauważył kolega Janicki. Dlatego też popieram w zupełności jego zdanie. Walczaka należy natychmiast oddać milicji. Nie ma się co z nim ceregielić.

— Jak sobie trochę posiedzi, to oduczy się kraść — dorzucił złośliwie Antczak, zuchowaty, jurny chłopak z pobliskiej gromady Wierzbno.

Za nim odezwało się kilkanaście potakujących głosów. Reszta milczała niezdecydowanie.

Szymański poprawił się na krześle, gestem uciszył zebranych i zapytał:

— Walczak! Jak długo jesteście członkiem ZMP?

Walczak oprzytomniał, jakby wyrwany z głębokiego snu. Spojrzał niepewnie na stół prezydialny i ominąwszy, jak mu się wydawało, niechętny wzrok dyrektora Zielonki, wyjaśnił cicho:

— Od półtora roku!

— Pokażcie legitymację! — padły ostre słowa.

Niezgrabnie grzebał w kieszeni kombinezona. Wyciągnął wreszcie dowód, wyłuskał spośród innych papierów i ociągając się położył przed Szymańskim. Ten wziął go do ręki i przeglądał w milczeniu.

Tymczasem do głosu zapisał się dyspozytor Jasica.

— Z Walczakiem wyszło wcale nie tak nagle... — zaczął. — Już przynajmniej od miesiąca coś się zaczęło psuć. Zresztą sprawdźcie jego ostatnią wypłatę. Ile zarobił? Ja wam powiem. 720 złotych. A przecież dawniej Walczak potrafił i 1800 wyciągnąć. Zapytajcie go, dlaczego teraz... zapytajcie jeszcze o co innego. Co on zrobił ze swoimi butami? Takie eleganckie cholewy sobie uszył. Gdzie one są?

Walczak odruchowo spojrzał na nogi. Tak, miał kiedyś pierwszorzędne buty. Ale to było dawno. Chyba ze dwa miesiące temu. Wtedy jeszcze zależało mu na tym, by się podobać Maryśce. Sprzedał je, wódka przecież kosztuje. Ten sukinsyn Zaremba...

Przez policzki przebiegł rumieniec. Przed oczami stanęło mu pierwsze spotkanie z Zarembą. Młoda, śmiejąca się bezczelnie twarz. Podpatrzył ich wtedy zza płotu. Walczaka aż ręka zaświerzbiała, żeby prasnąć w tę gębę. Ale nie był sam. Maryśka leżała przecież z boku, na słomie.

Walczak wstał. Skórzana pilotka w jego palcach przybrała kształt kulki. Zaczął opowiadać urywanym głosem.

— Zarembę spotkałem przy traktorze... Siedział przy kierownicy i coś grzebał w sprzęgle... Nawet nie kiwnął głową, gdy odezwałem się do niego. A potem ze śmiechem powiedział: — Nauczyłbyś mnie jeździć na tym diable... Byłem wściekły na niego. No bo jakżeż! Obcy człowiek przy mojej maszynie. Teraz żałuję, że nie dałem mu w zęby. Ale wtedy... ech... Tego samego dnia popijaliśmy zgodnie u Krzywichy. Stara spekulantka... Zresztą, stawiał Zaremba. Miał z czego. Ojciec 15 hektarów obrabia...

Tego wieczora Maryśka nadaremnie czekała na Janka. Potem takich pustych wieczorów było więcej. Po Zarembie przyszła kolej na Walczaka. Trzeba się było rewanżować.

Walczak zaciął się. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Głowę opuścił jeszcze niżej, nie śmiąc spojrzeć na kolegów, a zwłaszcza na Maryśkę. Odetchnął kilka razy głęboko i opowiadał dalej.

W dzień jak dawniej pracował z Maryśką. Unikał tylko jej wzroku, choć ona nieraz szukała jego oczu. Chciała pytać... Po co?.. Lepiej, żeby nie.

Znów mu się łamał głos. Starał się to przezwyciężyć.

— Ale przyłapała mnie kiedyś samego. Właśnie wybierałem się do Krzywichy. Czekała tam już cała paczka. Zaremba, Stelmach, jego brat, zezowaty Gustaw, no i Jurczak... ten spod lasu. Byłem już wtedy podpity... No, bo tego dnia zakropiłem sobie przy obiedzie...

Walczakowi jak żywa stanęła w tej chwili przed oczami.

— Gdzie się wybierasz? — zapytała go wówczas.

Milczał dysząc na nią alkoholem.

— Czemu nic nie mówisz? Znowu z Zarembą na wódkę ciągniesz?

— Co cię to obchodzi? — odwarknął. — Pilnuj lepiej swojej cnoty...

Spojrzała na niego żałośnie. Aż się poruszył przypomniawszy sobie jej wzrok.

— Janku! Nie widzisz, co on z ciebie robi?.. Opamiętaj się... — szeptała urywanym głosem nabrzmiałym łzami.

Usiłowała ująć go za rękę i przytulić. Odepchnął ją brutalnie, aż się potoczyła na płot, i bez słowa wsiąkł między wiejskimi opłotkami.

Głos dyrektora Zielonki przywołał go znów do rzeczywistości.

— Tydzień temu uszkodził ciągnik. Gdzie go tam diabli ponieśli? Co mu do łba strzeliło?.. No i jak mu można powierzyć maszynę? Powiedzcie sami... Oczywiście po pijanemu.

Walczak otworzył usta, jakby chciał przerwać dyrektorowi, ale zreflektował się i znów przygarbił.

Dyrektor miał rację. Wprawdzie nie on sam uszkodził traktor, ale przecież odpowiadał za niego. Powierzono mu dobro społeczne, a on nie upilnował. Zniszczył...

Walczak nie wytrzymał. Zerwał się. Słowa popłynęły teraz nieprzerwanym potokiem.

— Po co mnie diabli ponieśli do tego Jurczaka?! Stare kułaczysko, ma maszynę, mógł sam omłócić. To Zaremba mnie namówił. Jak trochę nawalisz z robotą u spółdzielców — gadał — to i tak dziury w niebie nie będzie. Chcesz się wysługiwać kołchoźnikom? Za parobka u nich?.. Zobaczysz, że to wszystko się rozleci. U Jurczaka zarobisz, u mnie też... Ja ci mówię! Lepiej żyć z nami dobrze.

No, i żył dobrze. Popijał z nimi codziennie i słuchał ich gadaniny. Zapadała mu głęboko w duszę.

To Zaremba nasypał wtedy piasku do motoru — olśniła go z nagła myśl. — Przecie, że to on! Nikt inny nie mógł tego zrobić.

Przypomniał sobie wszystkie okoliczności.

Tak, on, Walczak, był wtedy pijany. Położył się gdzieś w stodole i zachrapał. A gdy się obudził o zmierzchu, właśnie Zarembę spotkał przy ciągniku. Przecież to on chciał się nauczyć jeździć na tym diable — jak mawiał. Albo to jego powiedzenie: co by się stało, gdyby tak ciągnik nawalił?

Teraz wszystko wydawało się jasne. Ani chybi Zaremba! Walczak zbladł od tej myśli. Ścisnął pięści aż do bólu, a tętnica na szyi nabrzmiała sinym sznurem.

— Tak, to był wróg! Teraz widzę to... Nie posłuchałem... Ma...

Urwał. Spojrzał ukradkiem na Maryśkę. Twarz jej była jak zawsze dobra, tylko smutna.

— Czyżby mnie jeszcze... Nie pogardziła...

Mówił znów Zielonka. Głos jego dudnił monotonnie w świetlicy.

— Musicie się dobrze zastanowić nad tym. Łatwo ukarać człowieka, ale... Walczak żyje z wami ładnych parę miesięcy. Czyście go poznali? Owszem, wiecie, że gra na harmonii, bo nieraz umilał wam czas, wiecie, że potrafił niezgorzej obchodzić się z traktorem, wiecie, że lubi zajrzeć do kieliszka. I... i to wszystko.

— A może wypowie się sam poszkodowany? — wtrącił Szymański.

Wszystkie spojrzenia skierowały się jak na komendę na Józka Barana. Dotychczas siedział cicho z tyłu, nie zabierając głosu. Zaczerwienił się pod tyloma parami ciekawie świdrujących go oczu i po chwili wahania wstał.

— Cóż ja mogę powiedzieć? Ubranie się znalazło... właściwie nie czuję do niego żadnej złości.

— Mówisz tak, bo byłeś jego kolegą... — przerwał Baranowi Antczak. — Dziwię się, że jeszcze po tym wszystkim stajesz w jego obronie.

— Wcale nie staję w jego obronie! — obruszył się Baran. — Ja też uważam, że należy go ukarać, ale po co zaraz do milicji?

Kozak, który dotychczas, zdawało się, zupełnie obojętnie obserwował pożółkły liść za oknem, spojrzał po zebranych. Jakiś cieplejszy błysk prześliznął się po jego oczach.

— Kto by przypuszczał, że Baran... — zastanowił się. — Ale dobrze, że to właśnie on.

Sekretarz nie chciał jeszcze zabierać głosu. Pragnął usłyszeć zdanie młodych. Znał ich już z roboty. To były „orły". Chciał się teraz przekonać, czy potrafią podejść do człowieka.

Człowiek! Siedział właśnie przed nimi. Jeden ze zbłąkanych, otumanionych ludzi. Nie był przecie zły. On nie był wrogiem. W żadnym wypadku!

Kozak znał jego historię może lepiej od niejednego traktorzysty. Walczak nie lubił wspominać tych rzeczy. Po co wywoływać dawne dzieje. Opowiedział o tym kiedyś Kozakowi, bo właśnie do niego czuł sympatię.

Kozak przypomniał sobie ten wieczór. Janek Walczak grał na harmonii. Grał wtedy „Daleko, daleko..." Melodia błąkała się wśród ciszy. A potem tak nagle urwał. Sekretarz spotkał go nad strumykiem. Przysiadł, zapalił, poczęstował Walczaka i... milczał. Walczak sam zaczął mówić.

Cóż, normalne dzieciństwo biedniackiego syna. Jeszcze mu koszula dobrze nie obeschła, a już bieda wygnała go z chałupy. Najpierw gęsi, potem bydło. Ojciec miał przecie tylko hektar piasku i tyleż nieba nad nim. Proboszcz wprawdzie obiecywał nagrodę niebieską za ziemskie cierpienia, ale stary Walczak nie chciał cierpieć. Chciał żyć... zwyczajnie po ludzku żyć.

Niemcy przyszli, gdy Janek miał dziesięć lat. A gdy dorósł do dwunastu, w jego oczach zabili mu ojca. Janek aż nadto dobrze pamięta ten moment. Kiedy odjechali ze wsi, przywarł do zczerniałej jak ziemia ręki. Pozostał tak długo. Nawet zar krwawiącej ogniem chałupy nie mógł go ocucić.

Potem codzienne borykanie się, jeszcze gorsza nędza, gdy nie stało czapki w domu. Kułackie parobkowanie. To było pieskie życie! Dopóki nie przyszło to lepsze. Ziemia z reformy i chłop u władzy, robotnik u władzy. A teraz...

Kozak obserwował w milczeniu zebranych. Jakżeby pragnął, żeby właśnie oni, żeby kolektyw zdecydował słusznie. Żeby dostrzegli człowieka.

Zgłosiła się Klimczakówna. Zaczęła trochę drżącym głosem, jakby niepewna przyjęcia.

— Zastanówmy się, koledzy, kto właściwie ponosi w tym wypadku winę. Dlaczego doszło do tego, że Walczak ukradł?

Na świetlicę legła cisza. Klimczakówna ośmielona tym mówiła już pewniejszym głosem.

— Wiedzieliście, że zaczął pić, że się opuszczał w pracy. Ja wam o tym mówiłam, Szymański może potwierdzić... mówili inni. Ale wtedy nie słuchaliście. Albo Próchniak... Coście mówili? Że kielich jeszcze nikomu nie zaszkodził. Teraz widzicie. To są skutki... A wiecie chociaż, z kim się Janek... to jest Walczak kumał. Ale to was nic nie obchodziło. Wiecie, kto był jego złym duchem? Zaremba! Smyk powinien wiedzieć coś o tym, bo i on zaglądał do Krzywichy.

Smyk zaczerwienił się. Spodziewał się, że go ruszą na zebraniu, ale myślał, że kto inny, a nie Maryśka.

A Maryśka już odnalazła siebie. Czuła poparcie w uśmiechu Kozaka.

— Kolega Janicki powiedział, że brak czujności...

— Czego ty chcesz od Janickiego! — krzyknął ktoś spod okna. — Też się znalazł obrońca...

Podniosła się wrzawa, z której wyrywały się jak pociski pojedyńcze słowa.

— Widzicie, jak go broni! — ryczał Próchniak dotknięty do żywego jej słowami. — A ktoś jeszcze dorzucił:

— Ściskać się w opłotkach z chłopakiem, to umiała, ale żeby mu wtedy pomóc...

Łzy jej się zakręciły w oczach. Ale już Szymański uciszał zebranych swym tubalnym głosem.

Po chwili Maryśka znów zaczęła mówić:

— Kolega Janicki powiedział, że... że... przez brak czujności przyjęliśmy Walczaka do naszego koła... Mnie się wydaje — oburzenie narastało w jej głosie — że kolega Janicki nie rozumie znaczenia czujności. Bo przecież Walczak jest nasz... Kolega Janicki wiedział o Zarembie! Gdzie była wówczas jego czujność? Czyż nie trzeba było wtedy, właśnie wtedy zaopiekować się Walczakiem? Ostrzec go, wyprowadzić na właściwą drogę?..

Urwała nagle. Nie wiedziała co dalej mówić. Po raz pierwszy powiedziała tyle rzeczy na raz, na jednym zebraniu. Ale w sercu podnosił się bunt i gniew. Na tych, którzy teraz domagali się surowej kary dla złodzieja, a przedtem...

Usiadła wzburzona na ławie. Na sali panowało milczenie. Tylko Janicki wiercił się niespokojnie na krześle. Szykował się do repliki. Ale uprzedził go ktoś ze środka sali.

— Właściwie Klimczakówna ma rację. Nas wtedy nie było! Musimy to sobie powiedzieć w oczy. Co prawda rozrzuceni po różnych spółdzielniach... ale to nas bynajmniej nie usprawiedliwia... To my jesteśmy winni, że dzisiaj Walczak siedzi tutaj pod zarzutem kradzieży.

Napięta atmosfera na sali powoli rozładowywała się. Coraz mniej niechętnych oczu patrzyło na Walczaka.

A Walczak przygarbił się jeszcze bardziej. Nie śmiał teraz na nich spojrzeć. O ile na początku dzisiejszego zebrania wydawało mu się, że to jego właśnie krzywdzą, o tyle teraz zrozumiał wiele rzeczy. Zwłaszcza po wystąpieniu Maryśki.

— Więc jednak... jednak jeszcze choć trochę...

Rozrzewniło go to, a jednocześnie zaczęła się w piersi rodzić moc jakaś. Aż zazgrzytał zębami.

Nagłym ruchem podniósł głowę.

— Chcę jeszcze coś powiedzieć! O tym wypadku... Ja zdaję sobie sprawę, że jestem winien. Nie upilnowałem, dopuściłem do zniszczenia. Przez wódkę. I... i ukradłem. Ale muszę powiedzieć! To właśnie Zaremba nasypał piasku. To jest wróg! Teraz widzę to jasno. U... karz...cie mnie, zasłużyłem na to. Wiem, że to uczynicie... że tak trzeba. Ale... ale... ja chcę przecież z wami!

Zachłysnął się. Nie mógł mówić. Siadając spojrzał na Maryśkę. Dostrzegł w niej siłę, której się po niej nie spodziewał. I nie litość, ale właśnie coś takiego, co go mogło podtrzymać, coś, co pchało do czynu.

Eugeniusz Kapusta

JERZY KOLASIŃSKI

LUBELSKA MUZYKA LUDOWA

W ugrupowaniu etnicznym ludu polskiego lublinianie należą do grupy wschodnio-kresowej, zamieszkującej obszar ograniczony Wisłą od zachodu i Bugiem od wschodu. Od północy, w powiecie siedleckim (należącym obecnie do woj. warszawskiego), obszar etniczny zazębia się z Mazowszem, od południa zaś z Chełmszczyzną.

Przed rozbiorami Lubelszczyzna należała do Małopolski, która, biorąc udział w kolonizacji ziemi lubelskiej, wpłynęła niewątpliwie na oblicze jej kultury materialnej i duchowej. Tak więc wpływy mazowieckie od północy, ruskie zaś od południa nie pozwalają na dokładne wytyczenie granicy etnicznej „lubliniaków". Niejednolitość etniczna grupy lubelskiej znajduje swój silny wyraz również i w kulturze duchowej. W pieśni np. znajdujemy typowe krakowiaki, które przypłynęły z flisakami i zapuściły korzenie w glebę lubelską. Te wpływy innych regionów zauważyć się dają zresztą i w innych obszarach etnicznych, choć wzajemne przenikanie się regionów nie deformuje prawie nigdy fizjonomii muzycznej regionu, fizjonomii, która w Lubelszczyźnie jest zdecydowana i pełna bogatej melodyki typowo ludowej, wynikającej ze stosowania skal archaicznych, a nie mającej prawie zupełnie cech „ześpiewania" melodii miejskich, jak to daje się zauważyć np. w kieleckim lub na Kaszubach.

Jest charakterystyczne, że Lubelszczyzna nie posiada swego reprezentacyjnego tańca, jaki mają np. krakowiacy, mazurzy czy górale. Wpłynął na to może inny, spokojniejszy temperament ludu lubelskiego, mniej żywiołowego, strudzonego codzienną pracą rolniczą na urodzajnej glebie. To nie umniejsza jednak w niczym wartości lubelskiej muzyki ludowej. Ma ona swe wyraźne oblicze i jak mało która jest pełna bogatej melodyki.

Obyczaje ludu lubelskiego, od których tak bardzo zależy ukształtowanie się muzyki regionu, nie różnią się co prawda wiele od obyczajów innych części kraju. I tu są wesela, dożynki, gaiki-maiki, dyngusy, kąpale (kupały). I tu w pieśni obrzędowej spotykamy rytmy walczyka (walszycha), mazura, polki, a także — kołysankę, dumkę, balladę i in.

Tak jak tańca swego własnego, tak i instrumentu typowego lud lubelski nie posiada. Wpływ natomiast bardzo duży na ukształtowanie się melodyki lubelskiej miały ligawki i fujarki.

Liczne archaizmy w tekstach pieśni ludowej lubelskiej świadczą o jej odporności na wpływ miasta. Specyficzna jest również wymowa: tzw. mazurzenie („cego" zamiast „czego"), zamiana „a" na „a" ścieśnione („pon" zamiast „pan"), „i" oraz „y" zamiast „e" (np. „syra"); występowanie nosówki „u" zamiast „ą" (np. „susiad"), typowe dialektyzmy morfologiczne (np. „wstawajta" i inne.

Najbardziej odporne na wpływ miasta są pieśni obrzędowe, jako części większej formy, nie uprawiane bez zdarzenia obrzędowego. Jeśli pieśń ludowa, ta dawniejsza, zamiera, dzieje się to wskutek zaniku obrzędów społecznych. Tym zanikającym obrzędom należy tu poświęcić trochę więcej miejsca.

Może najbardziej typowe dla Lubelszczyzny są obrzędy, które mają na celu oddalenie klęsk i chorób, zapewnienie urodzajów lub zdrowia. Należą do nich m. in. np. „szczodraki" — zwyczaj obdarowywania chłopców „chodzących po szczodrakach" pieczonkami z razowej mąki, za co chłopcy życzą gospodarzowi śpiewem urodzajów i dobrobytu.

Pieśni dyngusowe (dyndusowe), gdy chłopcy pojawiają się z kogutkiem, mają przeważnie tekst religijny, choć nie brak im nieraz przy melodii religijnej i tekstu żartobliwego, np.: „Śpiewumy, śpiewumy, leci głos po lesie, niech nom pon gospodarz kiełbasy wyniesie".

Prawie jednocześnie z dyngusem (śmigusem, „chodzeniem po racyjach") występuje dawny obyczaj naszego ludu na powitanie wiosny — „Gaik", obchodzony przez dziewczęta i „Kogucik" — przez chłopców. W obrzędach tych przechowały się wierzenia w moc oczyszczającą praktyk z nimi związanych (np. śmigus — gdzie woda spełnia rolę środka oczyszczającego, lub gaik — z obrzędowym biciem gałęzią dla odpędzenia złych duchów). W Lubelszczyźnie istnieją różne warianty melodii gaika, jednakże na całość obrzędu składa się tylko jedna pieśń.

Obchodzone w czerwcu (23) sobótki istnieją w lubelskim w dwóch odmianach: nad Wieprzem palenie ognisk świętojańskich nazywa się „kąpałą" albo „kąpałką", a pieśni do nich przywiązane opisują nieznane nam bliżej postacie „drębli" i „cęda" (prawdopodobnie „cęda", znaczy: dziecko-brudas). Pieśni sobótkowe sięgają niekiedy czasów wierzenia w czarownice:

„Gorajże, goraj, carownicysko,
za ludzkie krówki, za ludzkie mlicko"...

Nad Wisłą istnieje zwyczaj rzucania wianków na wodę, nie posiada to jednak formy obrzędowej, lecz jest raczej fragmentem kąpały:

„Płynie cółno po rzyce,
płace Junek po dziwce,
a po jaki takowy,
po Marysi Marcinowy..."

Dożynki posiadają bogatą pieśń z najczęściej spotykaną w lubelskim melodią do tekstu „Ej, jakeśmy się krężyli..." Wesele lubelskie reprezentuje typ obrzędu rodzinnego, swadziebnego. Cechuje je wyraźna akcja, dając jakby jakieś misterium sceniczne. Do każdej części wesela przywiązane są dłuższe lub krótsze melodie, nadające poszczególnym częściom osobliwy charakter: bądź skupienia nieomal religijnego, bądź niefrasobliwej wesołości i dowcipu. Osobne miejsce zajmują w muzyce lubelskiej pieśni pastusze, które zdawałoby się powinny odznaczać się ligawkowymi zwrotami melodii i skalą pentatoniki, gdy tymczasem te właśnie cechy przeszły do pieśni weselnych.

Pieśni taneczne Lubelszczyzny tak opisał Kolberg („Lubelskie", zeszyt II, str. 111):

„...obertas, zwany tu czasami obertany, przewracany; taniec ten u ludu naszego powszechny, wirowy (w takcie 3/8), w całej niemal Polsce na jednakowy wykonywany bywa sposób. Przy weselu tylko tańczą prócz tego jeszcze i starostę (niekiedy marszałkiem lub po prostu tańcem wolnym zwanego); kroki owego starosty rozpoczyna koło tancerzy, którzy w następstwie pomykają się posuwisto naprzód parami (w kierunku czy to na prawo, czy na lewo), zrazu w tempie powolnym, polonezowym, wreszcie coraz szybszym, tak, że ruchy jego przechodzą częstokroć w ruchy wspomnianego wyżej obertasa. W czasie oczepin tańczą miejscami (osobliwie na Powiślu) kowala i żwawego odbijanego. Podochoceni, biorą się do skoczniejszych tańców w takcie 2/4, jakimi są: kozak i oryl (taniec dreptany flisaków), którego to ostatniego nazywają niekiedy krakowiakiem, mniej tu już znanym w tym kształcie i akcencie, w jakim pojawia się w Krakowskim. Nazwa także kozaka dostaje się niekiedy i orylowi, a bywa i przeciwnie. Mazur, walc, polka i inne znane powszechnie tańce, przeważnie po dworach szlacheckich, jak i wśród zebrań miejskich są w użyciu...".

Poza podanymi przez Kolberga istnieją jeszcze inne formy taneczne w Lubelszczyźnie: cygan, świeboda (nazywana również biłgorakiem lub majdaniakiem) i mach (wiater). Ten ostatni jest tańcem weselnym typowym dla tego regionu; śpiewa-

ny i grany w coraz szybszym tempie (jak kozak, z przyklaskiwaniem publiczności) jest efektownym i bardzo lubianym tańcem obrzędowym:

„Tańcuj macha, dam ci piróg,
tańcuj macha, dam ci dwa.
Jednego mi mama dała,
drugiegom se ukradła".

Pieśni taneczne mają zartobliwe teksty, często jednak opiewają i miłość. Również miłość, lecz tragiczną opiewają ballady i dumki (te ostatnie rozpowszechnione w Chełmszczyźnie). Staropolskie pieśni żołnierskie zachowane w doskonałej formie do dziś prawie i nowsze pieśni rekruckie stanowią bardzo bogaty dział muzycznego folkloru lubelskiego i tak jak inne pieśni nieobrzędowe (kołysanki, pieśni pastusze) mają wiele cech melicznych wspólnych z innymi dzielnicami Polski. Również bogaty i piękny dział stanowią kolędy lubelskie, często o treści żartobliwej, a nawet frywolnej.

Śpiew zespołowy w Lubelszczyźnie jest zasadniczo unisonowy. Obecnie wiele zespołów chóralnych świetlicowych lub kościelnych uprawia śpiewy „harmonizowane" na 3 lub 4 głosy i chętnie się tym popisuje przy każdej okazji. Śpiew obrzędowy jest jednak stale unisonowy, prymitywny dwugłos jest wyjątkiem.

Muzyka instrumentalna, uprawiana przez liczne kapele, ma swe wyraźne oblicze lubelskie. Kapele wiejskie cieszą się nieraz wielkim powodzeniem i w miasteczkach (np. kapela Sienkiewiczów we wsi Kieszkówka k/Lubartowa, kapela Węgrzyna we wsi Rudka Kozłowiecka, gm. Niemce, kapela Magosia we wsi Rybczewice k/Krasnegostawu, wiele kapel w pow. kraśnickim). Kapela wiejska w Starym Zamościu przekształciła się jeszcze w zeszłym wieku w sławną orkiestrę ludową Namysłowskiego, o małym składzie symfonicznym. W ostatnich latach uległ wielkiej zmianie skład kapel. Według zdania starszych ludzi, basetla i bębenek bywały dawniej w użyciu. Dziś spotykamy i akordeon lub harmonię, klarnet, trąbkę, a nierzadko i saksofon, natomiast o basetlę coraz trudniej. Podobno były dawniej w użyciu i tzw. suki, czyli skrzypce podwiązywane sznurkiem. Powstało też wiele kapel dętych, które dochodzą nieraz do kompletów 20-osobowych, tworząc już właściwie orkiestrę dętą (np. kapela St. Maksima z Chrzanowa kraśnickiego, występująca z dumą w swych strojach regionalnych z repertuarem ludowym).

Nie miejsce tu na omówienie fachowe właściwości tonalnych, skali użytkowej, metrum, rytmu, taktów i specyficznych struktur formalnych ludowej muzyki lubelskiej. Zainteresowanych tym zagadnieniem odsyła się do artykułu omawiającego muzykę ludową lubelską w „Poradniku Muzycznym" Nr 5 z roku 1950.

Literatura nutowa lubelskiej muzyki ludowej jest dość bogata, choć stanowi jak dotąd jeszcze znikomą część tego, co ziemia ta dać może. Poza tomami XVI i XVII Kolberga i zbiorem 85 pieśni lubelskich wydanych w 1937 r. jako zeszyt I pod redakcją J. Chmary — wiele pieśni czeka na wydanie, m. in. zbiory Marii Hemplówny, współpracownicy Kolberga, znajdujące się pod opieką prof. K. Janczykowskiego w Muzeum Ziemi Chełmskiej, zbiory W. Batki, St. Pilikowskiego, Z. Todysa, Fr. Chanajca, St. Maślińskiego, I. Smagi, E. Sokalskiego, St. Wicińskiego, A. Wielhorskiego i innych.

Opracowania muzycznego folkloru lubelskiego są, niestety, jeszcze nieliczne. Na pierwsze miejsce wysuwają się transkrypcje symfoniczne: „Suita lubelska", „Wesele Lubelskie", „Tryptyk" Tad. Szeligowskiego, „Obrazki lubelskie", „Mach", „Kurzawiec", „Czółenko" Al. Bryka, „Lubelskie pieśni ludowe" na solo sopran i orkiestrę smyczkową, „Dumki chełmskie" na chór i orkiestrę, „Miłosne pieśni ludowe" na solo tenor z tow. fortepianu Jerzego Kolasińskiego, dalej dużo opracowań Karola Namysłowskiego ze znanymi mazurami opartymi na melodyce lubelskiej.

Ze zbiorów chóralnych doczekały się wydania: „Śpiewnik lubelski" (10 pieśni na chór miesz. 4-głosowy) J. Rafalskiego, „10 pieśni ludowych lubelskich" na chór miesz. 4 głos. J. Chmary, „Chełmskie pieśni ludowe" (10) na chór mieszany 4 gł. J. Kolasińskiego, „5 pieśni ludowych Lubelszczyzny" na 3-głosowy chór równy W. Wrońskiego, „5 pieśni lud. z Lubelskiego" na 3 głosy równe i na 3 głosy mieszane T. Szeligowskiego, „Walczyk lubelski" na chór męski T. Chyły, Zeszyt „Lubelskie" na 3 głosy równe jako Nr 5 „Biblioteczki pieśni regionalnych" pod redakcją K. Hławiczki oraz pieśni pojedyńcze w różnych zbiorkach chóralnych. Na wydanie drukiem czeka jeszcze wiele opracowań lub zbiorów pieśni uni-

sonowej, znajdujących się u muzyków lubelskich.

Prawie wszystkie utwory niniejsze powstały w okresie powojennym (wyjątek stanowią pieśni Chmary oraz „Dumki Chełmskie" Kolasińskiego drukowane przed rokiem 1939). Przyczyną żywszego zainteresowania się przez kompozytorów folklorem lubelskim był fakt powstania w Polsce Ludowej licznych szkół muzycznych i chórów, a głównie zespołów instrumentalnych w Lubelszczyźnie, z Państwową Filharmonią w Lublinie na czele. Możliwość bowiem wykonania utworu jest często bezpośrednim impulsem dla powstania dzieła muzycznego.

Sporo surowego materiału nutowego znaleźć można również w wydawnictwie PWM „Melodie Taneczne Powiśla" w świetnym opracowaniu J .Chorosińskiego (Kraków, 1952, wydanie II). W zbiorze tym znajdują się melodie terenów Lubelszczyzny położonych bliżej Wisły, a więc głównie powiatu puławskiego.

Poważną i na szeroko zakrojoną skalę akcję zbierania lubelskiej muzyki ludowej planuje Państwowy Instytut Sztuki w Warszawie. Akcja ta będzie zależała głównie od muzyków lubelskich, którzy w niej wezmą udział pod fachowym kierownictwem Zakładu Nagrań Folkloru P. I. S.

Jerzy Kolasiński

WACŁAW GRALEWSKI

PIOSENKA URZEKA ZIARNO

Pisanie o wiośnie, kładącej się na pola runią młodego niemowlęcego niemal zboża, nie jest rzeczą łatwą. Po prostu dlatego, że nie tylko poeci wszystkich wieków i szerokości (tudzież długości) geograficznych, ale i ci, co poetami nie byli, lecz jakąś łaskotliwą potrzebę pisania odczuwali, wyczerpali do cna wszystkie nasuwające się określenia. Znamy na pamięć te szmaragdowe runie, srebrne dzwoneczki skowrończe, zawieszone nad zielonym dywanem pól, aksamitne wietrzyki wytłaczające ruchome wzory w zielonym jedwabiu łanów itp. Metaforami tego typu można by wypełnić stronice wcale pokaźnej książki.

Rozmyślania takie rodzą się (bo jakby inaczej) w mojej głowie, gdy patrzę na przesuwające się kwadraty i prostokąty młodej zbożowej zieleni pomieszane z takimiż geometrycznymi figurami szarej, świeżo zoranej ziemi. Słoneczko mocno przygrzewa a i ciepłe wiaterki łaskoczą skórę, starając się wykryć wrażliwe na niej punkty.

Ale czujny obserwator, zaprawiony w pisaniu dokładnych sprawozdań i pedantycznych reportaży, łatwo wykryje, że podmuchy wiaterków pozbawione są tej specjalnej podniety węchowej, którą romantycy nazywali woniami szalonej wiosny, a nad zielonością pól nie unoszą się motyle, muszki i wszelkie latające chrząszcze. No, i nie słychać tradycyjnego dzwonienia skowronków.

Wszystko to staje się zrozumiałe, gdy zajrzy się do kalendarzyka. Wyraźnie jak wół stoi: 1 grudnia 1953 roku.

Powoli niknie wrażenie i uświadamiamy sobie, że to natura w tym oto roku przeżywa swą drugą młodość.

Zimowa wiosna stara się pokazać z jak najlepszej strony, kokietując ludzi ciepłem i zielenią. Ale sugestia rozprasza się. Pobłażliwie patrzymy na słonko, które trochę niżej siadło na niebie, niż ma zwyczaj czynić to na wiosnę. Wiemy, długo trwać to nie może. Nagle przycwałują tabuny ołowianych chmur i biały całun pokryje pola, godząc sprzeczającą się z szarością zieloność.

Gdy zamykam oczy i wsłuchuję się w rytmiczne dudnienie motoru naszego „Mavaga", słuszę, jak dzwonić zaczyna cicha, jakby oddalona piosenka. Raz jest bliższa ,raz dalsza, raz wpada w mechaniczny rytm, nadając mu koloryt życia i ciepła, aby w następnej chwili uciec od niego i wyraźnie się z nim przekomarzać. Znów wraca wizja wiosny i śpiewu ptaszęcego, co to dzwoniąc w górze wywabia z ziemi ziarno, a zieloności w żółte a ciężkie kłosy zamieniać się każe.

Do pojedyńczego głosu dołącza się drugi, trzeci — dzwonienie przeistacza się w dźwię-

kowe smugi, które wirują jak lassa kabokli i chwytać usiłują oporne a rogate serca.

To nucić zaczyna, tak z przyzwyczajenia, Wanda Łaszkówna, pieśniarka obdarzona skowrończym talentem i pobudza zwolna całe artosowe bractwo. Już wtóruje jej na subtelnym klawesynie swego głosu miedzianowłosa Laryska Mohorowska, interesująca kobieta, co udział swój w obronie Stalingradu miała, a teraz pracowity artystyczny żywot wiedzie w Warszawie, i Jadzia Balińska, tancerka, co dźwięki rytmicznie wystukuje trochę dla harmonii, a trochę dla rozgrzewki (bo biedactwu ciągle nóżki marzną) i wreszcie sam — nie w kij dmuchał — Witold Zalewski, tenor opery warszawskiej.

Tylko Henio Rucki milczy. Ten Henio, co to jak „ryknie" swym barytonem, to w dzwonienie wszystkie szyby wprawia. Serca kobiece przysiadają wtedy, jak konie na zadach, niby to spłoszone, ale chętnie płoszyć się dające.

Wreszcie dwaj akordeoniści, Jerzy Chomicki i Stefan Żochowski widząc, że oprzeć się nie zdołają nakazowi Muz, palcami zaczynają pieścić klawiatury swych instrumentów.

I tak zwolna autobus zamienia się w arkę najpiękniejszych melodii.

Nawet Jan Nagrabiecki, najlepszy znawca dżiu—dżitsu wśród rymopisów polskich, pogładziwszy swą płową czuprynę zamienia się w syrenę, która śpiewem wszystkie kobiety zaczarować pragnie.

Gdy taki śpiewający i grający autobus wtacza się pomiędzy domy podlaskiej wsi, przybyciem swym mobilizuje całą miejscową ludność.

Przed budynkiem szkoły, świetlicy czy remizy strażackiej gromadzi się tłum.

— No, przyjechaliście nareszcie — odzywają się chóralnie głosy — a my tu już od godziny czekamy na was!

Trzeba się usprawiedliwiać: a to droga była trudna dla ciężkiego „Mavaga", a to motor nie chciał zapalić, a to ciśnienie nawaliło i hamulce zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Bo tak rzeczywiście się zdarzało nieraz.

Ale wymówki te są na niby. Wieś potrafi cierpliwie czekać na zapowiedziane występy.

Raz, gdy resor trzasł i trzeba było robić nowy (zdarzyło się to w Białej Podlaskiej), to ludność Bohukał, Rossosza i Zalesia czekała do późnego wieczora, wierząc, że artyści jednak przyjadą. Przyjechali dopiero następnego dnia. A i tak miejscowi nie mieli do nich żalu. No, bo wiadomo: autobus, choć ma cztery koła, też się potknie, nawet przewróci lub po prostu ugrzęźnie na jakiejś miękkiej drodze.

Chwile, a właściwie godziny oczekiwania wynagradza muzyka i piosenka. A wieś jest bardzo jej spragniona, toteż imprezy Artosu cieszą się wielkim i zasłużonym powodzeniem. Przecież tego dawniej nigdy nie było, żeby do wsi, gdzieś daleko od dróg bityci rzuconej, przyjeżdżali artyści. I to tacy, co i w operach i operetkach śpiewają, i w Filharmoniach grają, i tacy, co zręczne słowo do śmiechu pobudzające powiedzieć potrafią.

Publiczność jest bardzo chłonna, wrażliwa i wdzięczna. Toteż po przedstawieniu dziesiątki rozgrzanych widzów odprowadzają ekipę do autobusu.

— A przyjeżdżajcie jak najprędzej, nie dajcie na siebie długo czekać! — wołają zgodnie wszyscy.

Ekipy Artosu szybko poruszają się po drogach Podlasia, rozsypując hojną ręką piosenki, tak jak rolnik ziarno. Porównanie to nie jest przypadkowe. Wiąże się z celem, jaki przyświeca grupom artystycznym. Słowo śpiewane i mówione ma pobudzić wieś do chętnego spełniania obowiązków wobec Państwa. Jesteśmy w okresie skupu zboża. Wiele gmin, wiele powiatów i województw wywiązało się z dostaw znakomicie. Ale są i takie ośrodki, które nie dotrzymują terminów, które ociągają się.

Straszenie karami, kierowanie spraw do sądów to ostateczność.

Bo przecież można uprzednio przemówić do serca i do rozumu. Do tego służą zebrania, na których rolnik uświadamia sobie konieczność punktualnego wypełniania obowiązków obywatelskich. Do tego służy i piosenka. Słowo na zebraniu jest argumentem, który trafia do głowy, a piosenka z estrady spływa wprost do serca. No i jedno i drugie osiągają zamierzenia.

Z Lublina w końcu listopada br. wyruszyły dwie ekipy na Podlasie: warszawska i lubelska. Janina Grabowska (recytacja), Laryssa Mohorowska (śpiew), Stefan Żochowski (akor-

deon) i Witold Zalewski (śpiew) stanowili zespół warszawski.

A w skład lubelskiego weszli: Wanda Łaszkówna (śpiew), Jadwiga Kolanos-Balińska (taniec i recytacja), Jerzy Chomicki (akordeon) i Henryk Rucki (śpiew).

Do każdej z ekip został przydzielony (w charakterze literackiego dodatku) członek Związku Literatów Polskich. Jan Nagrabiecki do zespołu warszawskiego a niżej podpisany do lubelskiego. Artyści wypełniali swe artystyczne powinności, a na literatów spadły obowiązki społeczne (aż do pomagania koleżankom w przenoszeniu wcale pokaźnych walizek włącznie).

Głównymi punktami wypadowymi były: Biała Podlaska, Parczew i Łuków. Z tych to baz codziennie wyruszał autobus, wiozący ekipy, jak to się mówi, w głąb terenu. Lubelska grupa dała przedstawienia w piętnastu wsiach. Tyleż wsi na swym koncie zapisali warszawianie.

Aby nie wpaść w suche sprawozdanie, z którego wyłania się, jak mówi poeta, szereg groźnie najeżonych cyfr i stwierdzeń, przestaję wymieniać osiągnięcia, a czytającego te słowa wprowadzam wprost do małej salki szkolnej wypełnionej po brzegi publicznością. Wieś nazywa się Tuchowicz i leży w powiecie łukowskim. Okazały budynek szkolny, z którego mieszkańcy są dumni, został wzniesiony niedawno. Na przedstawienie przybyła Gminna Rada w komplecie, nauczycielstwo, przodujący gospodarze i młodzież. Niezwykle serdeczny nastrój jest rekompensatą za braki techniczne, gdyż sala szkolna nie posiada sceny. Będzie ona dopiero wybudowana. Aby jednak umożliwić występy, ustawiono cztery beczki, a na nich położono deski. Scena trzyma się na słowo honoru. Wchodzącemu na nią z pomocą przystawionego krzesła świat wydaje się z lekka rozkołysany, jak morze, dźwigające na grzbiecie fal kutry wracające ze śledziowych połowów.

Niewątpliwie bohaterską postawę przejawia Jadzia Balińska, która nie zrażona warunkami tańczy polkę akrobatyczną, wykonuje szpagaty i wszelkie przerzuty z niebywałą elastycznością. Ale ponieważ i zapał ma swoje granice, więc zdarzyło się, że podczas wykonywania salta skończyła się... scena i tancerka wpadła w objęcia widzów siedzących w pierwszym rzędzie. Na szczęście nie odniosła żadnej kontuzji. Polka została ukończona, a żywiołowe oklaski publiczności zmusiły tancerkę do bisowania. Tym razem taniec miał mniej żywiołowości.

Inaczej czuje się na scenie Rucki. Wybrawszy umiejętnie najbardziej pewne miejsce staje w pozycji gladiatora i za chwilę swym potężnym barytonem zaczyna zwyciężać słuchaczy. Pieśni Ruckiego to murowany numer. Entuzjazm publiczności budzą i „Krakowiak" Moniuszki i popularna piosenka „Umarł Maciek" i „Podkóweczki dajcie ognia" i balladowy „Brodiaga".

Inne wrażenia, również zdobywające słuchaczy, wywołują piosenki Wandy Łaszkówny: „Czerwony autobus", „Trzej żołnierze", „Gimnastyka" i „Złocisty loczek".

Wszyscy wykonawcy bisują, bo publiczność nie chce puścić ich ze sceny.

Naprawdę wirtuozowsko gra na akordeonie Jerzy Chomicki. Jego „wiązanka najpiękniejszych melodii", „Polka śmieszka" czy „Flik Flak" to produkcje artystyczne wysokiej miary.

W poszczególne części wesołego programu umiejętnie wpleciono aktualne fraszki (o złym i dobrym rolniku) oraz utwory poetyckie o społecznym charakterze, jak „Twarde ręce" i „Warszawa z gruzów wstała" Władysława Broniewskiego, „Gałązka oliwna" Konstantego Gałczyńskiego, „Straszny sen rolnika" Stanisławy Fleszarowej, „Jedzie zboże" Zygmunta Mikulskiego. Recytowały je Balińska i Łaszkówna.

Wymieniony program poprzedzony był przemówieniem (literata) wiążącym całość.

Koncert w Tuchowiczu poświęcono przodującym rolnikom tym, którzy i społecznie i gospodarczo są dla wsi i okolicy przykładem. To Helena Bańko, Zofia Gajda, Józef Kopeć (syn Józefa), Jan Gajda (syn Tomasza) i Modest Abramek.

Po koncercie sypią się podziękowania. Widać, że spełnił on dobrze swe zadanie.

— Mamy nadzieję, że gdy następnym razem przyjedziemy do was, to program nasz poświęcimy całej wsi — mówimy do obecnych na pożegnanie. — Wierzymy, że wszyscy już wkrótce staniecie się przodującymi rolnikami!

Odpowiedzią są huczne oklaski, brzmiące jak przyrzeczenie.

Koncert w Tuchowiczu ekipa zapisała sobie dobrze w pamięci. Miły i serdeczny nastrój, żywy kontakt publiczności z wykonawcami i poczucie, że dobrze wypełniono obowiązki społeczne i artystyczne, czynią pobyt w tej podlaskiej wsi bliskim wspomnieniem.

Zresztą większość wsi i osad, w których bawiły zespoły Artosu, pozostawiła podobne wspomnienia. Zaliczyć do nich należy Kodeń, Bohukały, Wygodę, Ulan, Komarówkę, Zalesie i Stoczek.

Wieś rozumie cel społecznej akcji, która poprzez artystyczną formę mobilizuje ją uczuciowo i pobudza należycie.

Zdarzają się jednak wyjątki. Czasami stykamy się ze zjawiskami przykrymi i to z najmniej spodziewanej strony. I tak na przykład w Piszczacu, przedstawiciele miejscowej Rady są „pod tęgą muchą", a przewodniczący kategorycznie odmawia podpisania delegacji, stwierdzającej, że koncert się odbył. A i nazwisk wzorowych rolników, którym wieczór ma być poświęcony, wymienić nie chce.

— Nie trzeba — mówi i macha rękami. Argumenty nie trafiają mu do przekonania i nieuzasadnionego uporu przełamać nie możemy. Nagrodą jest postawa zgromadzonej publiczności, która żywo reaguje i wielce życzliwie przyjmuje zespół.

Mały incydent wynika w Horodyszczu. Koncert odbył się w miejscowej sali strażackiej. Mimo z góry podpisanej umowy określającej warunki, kierownictwo żąda dodatkowych opłat i to żąda bardzo energicznie. Ktoś wrażliwy podsuwa myśl, że lepiej zapłacić.

— No bo jak się nie zgodzimy, to mogą nam zaaplikować dębowe krople... — szepce podekscytowany.

Ale kapitulancki projekt został odrzucony. Zdecydowana postawa robi swoje. I w tym wypadku trzeba przyznać, że te dodatkowe żądania urodziły się „na gazie".

Ale na szczęście są to nieliczne incydenty. Cały obraz natomiast mieni się wdzięcznymi barwami i ma swoją prawdziwie śpiewającą wymowę. Językiem dźwięków bilansuje osiągnięcia ,które, prozaicznie rzecz biorąc, legitymują się wysoką frekwencją i wykonaniem zadania.

Z równym zapałem jak zespół artystyczny pracował i współpracował zespół techniczny. Składał się on z kierowcy „Mavagu", Jana Andrzejewskiego i jego wielce sympatycznego pomocnika, Wacusia.

Prowadzenie ciężkiego, bo z górą osiem ton ważącego wozu, częstokroć po miękkich drogach, jest rzeczą trudną i wymagającą dużego doswiadczenia. Na szczęście w tym „wiosennym" okresie nie padały deszcze, więc grunt miał dostateczną spoistosc i nie nastręczał niespodzianek. Ale i tak zjawiały się raz po raz rozne techniczne problemy, jak wspomniane już pęknięcie resoru. Niedaleko Parczewa nie wytrzymał znów mały mostek, który „usiadł" pod ciężarem olbrzyma. Na szczęście wóz nie doznał poważniejszych obrażeń. Awaria spowodowała tylko parogodzinne opóźnienie wyjazdu.

Innym razem (a było to pod Lubartowem) nawaliły nagle tłoki i cisnienie ulotniło się jak dym. Ale dla Jana Andrzejewskiego, b. lotnika, a obecnie kierowcy, który w swą pracę kładzie dużo serca, problemy techniczne to sprawa prosta. Kazde zadanie rozwiązuje szybko i sprawnie. Jest to kierowca artystyczny, który woził i wozi i „Mazowsze", i „Maiwy", i rózne zespoły artosowe. Do swych cygańskich pasazerow przywiązany jest szczerze, a i oni traktują go jako jednego z najwazniejszych członków zespołu. Współpraca jest serdeczna, dowodem czego bodaj taki fakt. Nasza miła tancerka Jadzia Balińska, produkująca murowany numer, polkę akrobatyczną, na początku objazdu skonstatowała z przerażeniem, że zapomniała zabrać ze sobą spodni, bez których ewolucje taneczne byłyby nie do pomyślenia.

Błagalne spojrzenia rzucone zostały w stronę kolegów.

W rezultacie tych spojrzeń okazało się, że najlepiej pasują spodnie Andrzejewskiego. I od tej chwili ,gdy Jadzia z rozmachem wyczyniała akrobatyczne ewolucje, nasz kierowca siedział za sceną owinięty do połowy kocem, broniąc się przed katarem i zarzutami siania zgorszenia. Symbioza trwała do końca objazdu i zamieniła się w serdeczną przyjaźń użytkowników jednej pary spodni.

Objazd dobiegł końca. Dla zespołu było to zakończenie zwykłego okresu wyjazdowego, po

którym następuje wypoczynek, no i nowe tournée. Dla mnie zaczęło się porządkowanie spostrzeżeń i wyciąganie wniosków. Objazd dał dużo materiału obserwacyjnego i doświadczeń, które należy wykorzystać przy ewentualnym pisaniu programu dla ekip artosowych. Spostrzeżeniami podzielić się trzeba z kolegami, szczególnie z tymi ,co czują skłonność do opracowań tego typu. Ważną jest rzeczą, aby literat poznał odbiorcę, jego psychikę, jego wymagania, warunki pracy na scenkach prymitywnych, pozbawionych najkonieczniejszych urządzeń, poznał trudności, na jakie organizatorzy i wykonawcy natrafiają.

Co innego jest pisać przy biurku, tak z wyobraźni, może nawet z dużym talentem, a co innego poznać warunki, w jakich rozwija się praca Artosu. Poznać życie perypatetycznego zespołu, który jak trzeba, to i trzy przedstawienia dziennie dać potrafi.

A i wspomnienie tej naprawdę wdzięcznej i chłonnej publiczności, tak różnej od publiczności miejskiej, rozgrymaszonej i wymagającej, bo przyzwyczajonej do licznych imprez i sprawnych urządzeń technicznych, daje obraz, który łatwo się nie zaciera. Ten obraz woła głosami żywych ludzi, mieszkańców wsi, osad i małych miasteczek: „pamiętajcie o nas, przyjeżdżajcie jak najczęściej z sercem i prawdziwą sztuką, którą my przyjmiemy jako bogaty dar".

Wacław Gralewski

HELENA PLATTA

LIPIŃSKI Z LUBELSZCZYZNY – RYWAL PAGANINIEGO

(Józef Karol Lipiński: 1790—1861 r.)

Szeroko rozgałęziona rodzina Lipińskich pochodziła ze zubożałej szlachty, spokrewnionej z zachodnio-pruską rodziną Lipińskich — Schur.

Ojciec znakomitego skrzypka Feliks Lipiński był muzykiem-samoukiem. Uprawiał grę na skrzypcach i klarnecie, a zarabiał nauczaniem muzyki po dworach magnackich oraz dyrygenturą w orkiestrach dworskich utrzymywanych według modnego wówczas zwyczaju w wielkopańskich rezydencjach Lubomirskich, Tarnowskich, Łączyńskich, Starzeńskich czy Potockich w Galicji.

Józef Karol Lipiński urodził się w tym czasie gdy ojciec jego pełnił funkcję skrzypka orkiestrowego na dworze Potockich w Radzyniu. Karol już w siódmym roku życia grał na skrzypcach lepiej niż ojciec, w dziewiątym zaś budził podziw jako „cudowne dziecko", popisując się najczęściej w salonach pałacu radzyńskiego. Ojciec jego za radą Potockich projektował zorganizowanie występów syna w kraju i za granicą. Jednak chłopiec oparł się tym zamiarom stanowczo, porzucając jednocześnie grę na skrzypcach i poświęcił się grze na wiolonczeli. Wkrótce też ojciec zmusił go do występów publicznych w koncertach wiolonczelowych Romberga ,Lamara i in. Przydało mu się to później, bo wróciwszy po pewnym czasie do skrzypiec, — wiolonczeli zawdzięczał energiczne pociągnięcie smyczkiem, pełny, szlachetny, sprężysty ton, o jaki w pracy swej zabiegali inni.

W roku 1810 jako 20-letni młodzieniec wezwany został na stanowisko dyrektora teatru lwowskiego, lecz po czterech latach porzucił to intratne zresztą stanowisko i wyjechał do Wiednia, ażeby usłyszeć znakomitego wówczas niemieckiego skrzypka i profesora: Ludwika Spohra. W siedem lat potem odbył pamiętną podróż do Włoch, gdzie spotkawszy się w Piacenzy z Paganinim tak zachwycił go swą grą, że znakomity skrzypek włoski zaprosił go do wspólnego występu. Z „turnieju" tego Lipiński wyszedł niepokonany, gdyż walory wirtuozowskie obu artystów były doskonałe — każdego w swoim rodzaju, i publiczność włoska o tak przecież wyrobionym smaku — musiała obu przyznać mistrzostwo.

Po sukcesie we Włoszech Lipiński odbywał przez kilka lat podróże po największych miastach Europy, odnosząc wszędzie triumfy. W tym okresie też był dwukrotnie w Rosji, gdzie witano go z entuzjazmem i podziwem. Powszechnemu uznaniu jego mistrzowskiej gry dał wyraz w jednej ze swych pochlebnych recenzji osiadły w Lipsku Schuman, dedykował

on polskiemu skrzypkowi wielką kompozycję: „Karnawał". W roku 1829 Lipiński powtórnie spotkał się tym razem w Warszawie, — z Paganinim, który tu przybył na uroczystości koronacyjne Mikołaja I. W Warszawie powtórzył się „turniej" obu wirtuozów, a występy ich dały powód do gwałtownej polemiki co do wyższości ich gry. W kampanii prasowej warszawskich pism wziął udział Maurycy Mochnacki, którego artykuł, roztrząsający nie tylko sprawę wyższości gry któregokolwiek z muzyków, lecz także zagadnienia sztuki w ogóle — wniósł najwięcej obiektywizmu i rozsądku w zaciekłą walkę dzienników.

Efektowne odezwanie się Paganiniego: „Nie wiem, kto jest pierwszym skrzypkiem świata... ale bez wątpienia drugim jest Lipiński", — świadczy nie tylko o kurtuazji (i zarozumiałości) znakomitego Włocha, ale także o wysokim uznaniu dla polskiego wirtuoza.

W wielokrotnych podróżach Lipińskiego przyjmowano wszędzie z zachwytem — raz jeden tylko doznał chłodnego przyjęcia w Paryżu (1835), skąd też natychmiast wyjechał do Wiednia. A w Wiedniu odnosił sukces za sukcesem, tak samo jak potem w Londynie. Po kilku latach wyczerpujących artystycznych podróży w r. 1839 osiadł na stałe w Dreźnie, gdzie objął stanowisko dyrektora orkiestry kościelnej na dworze saskim oraz orkiestry teatralnej. W Dreźnie Lipiński skompletował kwartet smyczkowy, który pod jego kierunkiem wykonywał dzieła klasycznej literatury kameralnej. Tak więc grał z udziałem Liszta sonaty skrzypcowe Beethovena, a jako koncertmistrz opery grywał często pod dyrekcją Ryszarda Wagnera.

Na trzy lata przed wybuchem powstania styczniowego ,otrzymawszy emeryturę, wynoszącą połowę jego dotychczasowej pensji (1000 talarów) przeniósł się do kraju i osiadł w majątku swym — Urłowie koło Lwowa, gdzie w rok potem zmarł.

Pozostawił wiele kompozycji: 22 utwory na skrzypce, ponadto: koncerty, fantazje, kaprysy, wariacje, polonezy i ronda oraz „Zbiór pieśni ludowych", które dowodzą, że inresował się ludowym podłożem muzyki narodowej i oceniał jej głęboką wartość artystyczną. — „W historii muzyki polskiej przypada Lipińskiemu — pisze prof. dr Z. Jachimecki — wybitna rola pierwszego kompozytora w całym tego słowa znaczeniu d o s k o n a ł y c h i mających wszelkie warunki zdobycia pełnego i trwałego uznania w Europie — koncertów instrumentalnych. Pod tym względem, chociaż nie w tak wysokiej skali wartości artystycznych, był Lipiński osobistością analogiczną do Chopina, jako twórcy koncertów fortepianowych. Cztery koncerty skrzypcowe Lipińskiego zajęły trwałe miejsce w światowym repertuarze koncertowym obok dzieł Spohra, Baillota, nawet Beethovena..."

Jego „Koncert wojskowy" op. 21 grywany jest do dziś dnia z niesłabnącym powodzeniem jako wspaniały popis wirtuozostwa skrzypcowego.

W czasie pobytu we Lwowie oprócz utworów instrumentalnych skomponował Lipiński muzykę do operetki: „Kłótnia przez zakład" J. N. Kamińskiego przerobionej z komedii rosyjskiej: „Sobolowa szuba" oraz do opery tematycznej „Syrena Dniestru", będącej przeróbką sztuki Kauera.

Szczególniej jednak cieszyły się niesłabnącym powodzeniem w tamtych latach jego polonezy, lubiane i rozpowszechniane w pałacach magnackich, szlacheckich dworach i domach mieszczan, a nawet po wsiach grywane w karczmach przez kapele ludowe.

Mimo tego bogatego dorobku twórczego nie był Lipiński tak świetnym kompozytorem jak wirtuozem, gdyż miał zbyt słabe wykształcenie teoretyczne i mniejsze w tym kierunku uzdolnienie.

Ale o grze jego tak pisze ceniony krytyk muzyczny Niemiec — Finck: „...był panem swego instrumentu i trudności techniczne zwalczał bez wysiłku. W każdym tonie była dusza piękna, zdrowa, pełna głębokiego uczucia. Pociągnięcie smyczka śmiałe, długie, szerokie i potężne. Lipiński jednoczył *szczyt umiejętności z prawdą oczywistą*.

Gra jego to śpiew zawsze przemawiający do serca, nie przesłodzony ani potężny, dziką nawet namiętność w płomienistym roztopie uszlachetniający, co wszystko przy największym urozmaiceniu przez wrodzoną siłę w najzgodniejsze ujęte harmonie piękną tworzyło całość".

Po śmierci wielkiego artysty, a za jego wolą — syn jego, Gustaw w testamencie majątek swój Urłów przekazał na fundusz stypendialny

dla trzech kształcących się muzyków polskich, z czego tez w pierwszych latach obecnego stulecia skorzystało kilku znanych skrzypków.

Filharmonia Lubelska uczciła w październiku 1953 r. pamięć znakomitego wirtuoza uroczystym koncertem w Radzyniu.

Na marginesie dodać można, iż Lubelszczyzna, zwłaszcza zaś Lublin — była gniazdem rodzinnym kilku najgłośniejszych i światowej sławy skrzypków polskich takich, jak: współczesny Lipińskiemu — Stanisław Serwaczyński ur. w Lublinie (1781 r.) występujący w kraju i za granicą, koncertmistrz orkiestry teatralnej w Wiedniu i Budapeszcie, profesor sławnego Józefa Joachima, — Antoni Parys, znany w Warszawie i Moskwie jako solista i wirtuoz, Gustaw Frieman (1842), uczeń Serwaczyńskiego i Massarta w Paryżu — tego samego, który był profesorem największego z nich lubliniania: Henryka Wieniawskiego, genialnego wirtuoza i kompozytora.

Helena Platta

JAN SZCZEPAŃSKI

NA MARGINESIE PIERWSZEGO LUBELSKIEGO KURSU WYSOKOGÓRSKIEGO

Zdarzyło mi się przyłożyć ręki do pierwszego w dziejach Lublina kursu wysokogórskiego. Oto garść wspomnień i trochę rozważań, jakie mi się teraz po nim nasuwają.

Kurs lubelski miał piękną pogodę, przerwaną tylko dwoma dniami mgły, deszczu, wichury i wreszcie śniegu, który oprószył południowe zbocza Tatr. Miały to być dni wypoczynku pod ciepłymi kocami, dni lenistwa i obżarstwa — dni rozkosznego garowania. Stało się inaczej. Zamiast garowania — prawdziwe zapoznanie się z górami, takimi, jakimi trzeba je kiedyś poznać, jeśli chce się wiedzieć o nich prawdę.

Wiadomość o wypadku przyszła wieczorem, kiedy za oknami było już całkiem ciemno. Ze schroniska w Pięciu Stawach do Doliny Buczynowej biegliśmy, potykając się o korzenie kosówki i głazy. Czas stawiał nam opór, czuliśmy, jak gdzieś tam, wysoko rozciąga się w długie kwadranse rozpaczy. Bez tchu zatrzymaliśmy się na morenie, na skraju czarnego cmentarzyska skalnych złomów. Od oślizgłych maliniaków, od głębokich rozpadlin szedł ziąb, gęsta mgła osiadała nam rosą na twarzach. Wielka cisza, szumiąca jak wnętrze muszli, pomniejszyła nas nagle, przytłoczyła bezmiarem obojętności i pustki. Spływała od niewidocznych szczytów, a kiedy zaczęliśmy wołać, głosy nasze zabrzmiały nikło i ochryple.

Wiedzieliśmy już od ocalałego uczestnika przygody, że pod którąś ze ścian, na piargu, leży zabity człowiek i że towarzyszka nieszczęsnego turysty czeka gdzieś wśród stromych płyt i uskoków na naszą pomoc. Czy żyje jeszcze? Informator nasz nie orientował się w terenie i tak był wstrząśnięty przejściami ostatnich paru godzin, że nie mogliśmy wyciągnąć z jego opowiadania żadnej wskazówki. Wołania nasze ginęły bez odpowiedzi — zdawało się, że w tym kamiennym kotle wygasło wszelkie życie. Lecz oto, jak cień okrzyku, dobiega skądś zagubione, puste „aaa!". Skąd? Ptak? Wielka Buczynowa? Orla Baszta? — A może Czarne Ścianki? Wszystko możliwe. Turnie podają sobie blade echo, mylą. Wołamy znowu i znów odpowiada nam głos dziewczyny. Już wie, że idzie ratunek. Teraz najtrudniej jej będzie wytrwać, bo upłynie jeszcze wiele godzin, nim ustalimy, gdzie się znajduje i nim dotrzemy do niej.

Jest już późna noc, kiedy wchodzimy w ścianę. Ciemność, mokra skała, lina zesztywniała od wilgoci, skręca się i zacina w szczelinach. Trzeba szukać chwytów po omacku, wybierać drogę „na nosa". Labirynt gładkich płyt i stromych trawek pod przełęczą Nowickiego. Latarki pozostałych w żlebie i na piargu towarzyszy zapalają się we mgle tęczowymi krążkami — nie wiadomo jak głęboko: dwadzieścia, pięćdziesiąt metrów?

Urwał się kontakt z ratowaną. Jakaś skalna zerwa ucina głos. Szukanie może potrwać do rana. Żeby tylko nie zmarzła, bo drobny deszcz zamienia się w śnieżne krupy. Nagle, zupełnie niespodziewanie: jest! Pod samymi stopa-

mi, u podnóża dwumetrowego, pionowego progu. Czarna sylwetka skulona załośnie na skraju gładkiej płyty, którą spływa woda. We mroku, w napięciu uciążliwej akcji godziny zatracają miarę. Ale nikt nie czuje zmęczenia. Wyprężona lina, popuszczana ostrożnie z rąk, centymetr po centymetrze, dźwiga brzemię ocalonego ludzkiego życia. A potem mozolny powrót przez dziko spiętrzone maliniaki. Wydaje się, że dolina nie skończy się nigdy. Jak mogliśmy biec tędy?

Ta noc i następny dzień — szukania zabitego pod świeżo spadłym śniegiem — to nie beztroska akrobatyka. Góry wtajemniczają nas w swoją surową, dramatyczną treść. Świadomość tej treści jest przestrogą, odpowiedzią i wyjaśnieniem. Te sprawy nie wchodzą w zakres kursu, ale od zrozumienia ich zależy postawa człowieka gór.

Ze wszystkich przeżyć kursu zatrzymałem się na tym jednym, nie dlatego, żebym lubował się w tragicznych akcentach, ale dlatego, żeby podkreślić, iż pojęcie wspinaczki ograniczone do samej sportowej czynności jest zaledwie fragmentem — błahą rozrywką, której nie należy propagować lekkomyślnie.

Góry są żywiołem, jak morze. Jeśli wchodząc w nie, zacieśnimy nasze zainteresowania do techniki pokonywania skały, będziemy mieli z nimi tyle wspólnego, ile ma wspólnego z morzem pływak doskonalący swego crawla na basenie. Wspinaczka — sport bez widzów, bez tabel, bez rozgrywek — ma sens jedynie jako współżycie z górami, współżycie najpełniejsze. Oczywiście, tragiczny wypadek, taki jak opisany powyżej, stanowi przykład skrajny i raczej odstraszający, sądzę jednak, że akcja ratunkowa lubelskiego kursu w dolinie Buczynowej — jedyne praktyczne doświadczenie osławionej „grozy Tatr" dane uczestnikom tego kursu — pozostanie dla nich najcenniejszą nauką.

Nie rozstrzyga to jednak jeszcze kwestii sensu wspinaczki lub może rozstrzyga ją na jej niekorzyść. Wzrastająca popularność tego sportu pociąga za sobą coraz większą liczbę niepotrzebnych ofiar. Toteż, jeśli na zakończenie spróbuję wymienić pozytywy, nie uczynię tego dla zachęty, dla werbowania nowych adeptów, ale jedynie dla usprawiedliwienia tych, którzy już „wpadli", dla których wymiar górskiego pionu stał się nieodzownym elementem życiowej geometrii.

Znamy dobrze to uczucie: pogodny ranek, niebo czyste, głębokie, pełne blasku — co z tym zrobić? Wydaje się człowiekowi, że zabrakło mu możliwości doświadczenia tego piękna, skoro nie potrafi rozwinąć skrzydeł i wzlecieć. Coś podobnego dzieje się z nami w górach na widok zawrotnego piękna zerw skalnych, strzelistych iglic, misternie wciętych w błękit grani. Jak tego doświadczyć? Jedyny sposób: pokonać. Dotknąć granitowych ostrzy, poczuć pod sobą sto, dwieście metrów powietrznej głębi. Doznać oszałamiającej radości, która rodzi się z przezwyciężania własnego lęku.

Myślę, że poczucie niebezpieczeństwa i emocja walki są, w pewnych granicach, szlachetnymi i koniecznymi składnikami ludzkiej egzystencji. Zapobiegają one zobojętnieniu, rutynie, filisterstwu — temu wszystkiemu, co wyjaławia życie, czyni je nudnym i szarym.

Dobrowolne podejmowanie walki bezinteresownej, wśród piękna pierwotnej przyrody przywraca nam to, co tak łatwo utracić w trybach uporządkowanej codzienności: radość przygody, zdumienie nad wspaniałością świata, samodzielność.

I może najważniejsza ze wszystkich tych spraw — kwestia drugiego czołwieka, towarzysza, który ubezpiecza nas na skalnej drodze. Od niego zależy nasze życie i my trzymamy jego życie w rękach. Ten stosunek wymaga porozumienia i zaufania w bardzo wysokim stopniu. Zdani jesteśmy na siebie całkowicie, nasza lojalność musi wytrzymać każdą próbę — wichru, burzy, przymusowego noclegu w ścianie, nerwowego załamania. Wspinaczka jest kuźnią wielkich przyjaźni i głębokim źródłem wiedzy o człowieku.

Kurs lubelski ma za sobą kilkanaście pięknych dróg tatrzańskich, a jego członkowie zdobyli spory zasób technicznych wiadomości i wykazali potrzebne walory odwagi, koleżeństwa, fizycznej sprawności oraz orientacji w terenie. Opowiadanie o tym byłoby może na miejscu w sprawozdaniu dla prasy turystycznej. Tu chciałbym stwierdzić tylko jedno. W Lublinie żyją ludzie, którzy zrozumieli góry i wiedzą, czego w nich szukać.

Jan Szczepański

JAN NAGRABIECKI

PRZYJACIOŁOM MŁODOŚCI

I.

Po zaułku ciemnym lata,
po ciemnym lata zaułku
śnieg siwiuteńki i opada,
jak srebrny pław jaskółki.

Tędy, mój drogi, tędy,
ostrożnie — zaułek kręty,
zaułkiem śnieżnej kolędy,
ścieżyną tajemną poety.

W zaułkach kochają się dzieci,
przy swoich czarnych kawach.
marzące w szkolnych ławach
i dorośli wszyscy poeci,

W marzeń i wspomnień zaułku
poeta, plastyk i muzyk,
tam śnieg — zimową jaskółką,
świtu promienny wózek

i ręka drży wzruszeniem
przenosząc świat prawdziwy
na płócienny poemat
i kolorowe dziwy.

Oto jest miasto, śnieg siwy,
Rymkiewicz, Piotr Żyngiel,
Józef Maśliński krzywy,
bo zgubił gdzieś rym do Kingi.

Blaski sfruwają z latarni,
śnieg dookoła niej hula,
a Józef te blaski odgarnia
i znika z pamięci jak kula.

II.

Albo fantazje w kamieniu,
co wzruszyć mogą żelazo,
czechowiczowskie błądzenia
po lubelskim pejzażu.

Czupryna bujna i płowa,
co na wietrze udaje wiatr.
A to więcej niż wiatr, bo głowa
żywa i ludzka, w niej światło.

W niej słońce i uśmiech księżyca,
ale nie taki, co wpadł do wierszy
Jerzego Pleśniarowicza.
Ten był jaśniejszy i szerszy.

Już mniej zaułków, lecz za to park,
w nim jary, ławki i pary.
Tutaj Anusia Kamieńską (o tak)
wierszem raniła świat stary.

Tutaj Julii Hartwiżanki beret
Zygmunt spojrzeniami łowił.
A było Zygmuntów dwóch. Teraz
zgadnij który i sam powiedz!

Ponury Mikulski, Kałużyński wesoły.
Obydwaj — ciekawe chłopy.
W strofach mieszkali gołych,
ubogo, choć każdy jak złoto.

No i Jacka Bocheńskiego nos
haczył w świetlicy światło,
które jak gniazdo os
huczało w zimę i lato.

Lecz drogi powiodły nas dalej
lubelską szosą, aleją.
Pryskaliśmy jak fale
na wszystkie narodu koleje.

Dziś witam was prościej,
niż zwykle i świecę
tym wierszem wam, sobie, młodości!
Niech idzie z nami przez życie!

Jan Nagrabiecki

MAREK ADAM JAWORSKI

DLACZEGO W WIERSZACH MIŁOŚCI TAK MAŁO?

„Wiersz wasz, kolego, jest niezły, lecz temat...
Temat sprzed wieku, niestety.
Spójrzcie, jak szybko krajobraz się zmienia
i w tym szukajcie podniety.

Murarz z cegłami, do tego i kielnia,
zapał, entuzjazm i ZOR-y.
Może być także i gminna spółdzielnia
albo huczące traktory.

Bo tylko taka poezja jest żywa,
czyta ją górnik i hutnik,
który zwycięsko normy wykonywa —
do nich skierujcie dźwięki waszej lutni.

A wy o oczach, niewiadomo czyich,
że są niebieskie jak błękit,
że się zjawiła, by życie umilić,
by bardziej świat się stał pięknym..."

Prawił redaktor poecie morały.
Poeta słuchał ze łzami,
obiecał przejrzeć i z nowym zapałem
powiązać słowa rymami.

Spełniłby pewnie swoje przyrzeczenia,
że będzie tworzył po linii,
że będzie pisał, jak kraj się przemienia
a nie o oczach dziewczyny,

ale przypadkiem — napotkał górnika,
ten go zaczepił nieśmiało:
„Drogi poeto, chciałem was zapytać,
dlaczego w wierszach miłości tak mało?"

Obywatele redaktorzy — nakażcie górnikowi,
żeby mu takie myśli nie przychodziły do głowy.

Marek Adam Jaworski

GRZEGORZ TADEUSZ LIPSZYC

O POZIOM KRYTYKI TEATRALNEJ W LUBLINIE

Krytyka teatralna ma dziś do spełnienia dwa doniosłe zadania: po pierwsze musi ona dopomagać nowej, niewyrobionej publiczności, wprowadzając ją w problematykę artystyczną, historyczną i społeczną omawianej sztuki, po drugie powinna pełnić funkcje doradcy i kontrolera kierownictwa artystycznego oraz całego zespołu teatru przez podkreślanie osiągnięć i sukcesów, a wytykanie wad i błędów repertuarowych i realizatorskich. Spełniając tak ważne, a zarazem tak odpowiedzialne zadania autor recenzji teatralnej ma obowiązek gruntownego zapoznania się z tekstem utworu, z postacią autora, z zagadnieniami, o których mówi sztuka, z historią dotychczasowych wystawień dzieła itd. Oczywiście dziennikarzowi, który pełni funkcje krytyka teatralnego tylko przygodnie, pisząc od czasu do czasu recenzje w lokalnym dzienniku, trudno stawiać te same wymagania co do zasobu wiedzy teatrologicznej, jakie stawia się recenzentom czasopism specjalnych, ale istnieją pewne elementarne wymagania w tej dziedzinie, od których odstępować w żadnym razie nie wolno. Nikt nie może zaprzeczyć, że nawet najpobieżniejsza krytyka teatralna musi stanowczo zaspokajać następujące, jakże skromne postulaty:

1) każdy artykuł o teatrze powinien być napisany poprawną polszczyzną i nie zawierać błędów stylistycznych oraz gramatycznych;

2) w żadnym artykule o teatrze nie mogą znajdować się twierdzenia fałszywe, wprowadzające w błąd czytelnika, a zdradzające ignorancję autora.

Te dwa żądania są tak niewątpliwie słuszne (zresztą nie tylko w odniesieniu do recenzji teatralnych), że dalszego omówienia raczej nie wymagają. Warto natomiast tak sformułowany „program minimum" skonfrontować z lubelską rzeczywistością. Posłużymy się w tym celu choćby trzema tylko ocenami jednego z recenzentów (artykuły z ostatniego roku). Zacznijmy od strony językowej.

„...„Panna Maliczewska" to surowa, *że tak można użyć określenia,* drapieżna krytyka ustroju..." „Ta ocena... nie może być... *uważana jako krytyka* twórczości Jiraska", „zapoznanie się z tekstem, musi utwierdzić w przekonaniu *o szeregu trudnościach...*", „Podstawowym błędem *reżysera (którego* już nie da się w pełni naprawić)..." itp. Pośpiech pracy redakcyjnej wiele tłumaczy, to pewne, ale przecież pisząc o sprawach kultury trzeba być bardziej uważnym i nie należy mówić o reżyserach, których już się nie da naprawić. Język to także element naszej kultury narodowej i to nie mniej ważny. Nie ma jednak żadnych wątpliwości, że sprawa treści omawianych recenzji jest znacznie donioślejsza od takich czy innych potknięć stylistycznych. Nawet pobieżne przerzucenie trzech artykułów, które nas interesują, pozwala na stwierdzenie, że obok sądów niewątpliwie słusznych, niekiedy wnikliwych i cennych, autor wypowiada poglądy świadczące o zbyt pośpiesznym wydawaniu wyroków i o formułowaniu nieprzemyślanych wniosków, dotyczących zagadnień zgoła krytykowi obcych.

Spróbujmy zrozumieć takie (na ten temat jedyne w całej recenzji) zdanie, usiłujące wyjaśnić czytelnikowi, na czym polega słynna „metoda Stanisławskiego" „Przedstawienie lubelskie jest sukcesem pracy zespołowej, opartej na założeniach metody Stanisławskiego, wskazujących aktorowi na konieczność oparcia roli na „działaniu scenicznym"(!) przy uwzględnieniu „głównego zadania" w sztuce, oparcia swej gry nie na gestach i mimice, ale na wewnętrznej prawdzie, którą żyje każda postać". Wniosek, jaki można wyprowadzić z tej formułki, jest chyba tylko jeden: autor sam bardzo niewiele słyszał o Stanisławskim i „opiera się" na informacjach z trzeciej ręki.

Silny sprzeciw wewnętrzny budzą niektóre „analizy ról aktorskich". Oto przykłady: „Pawlikowskiej można doradzić, aby posuwała się wolniej po scenie wtedy, kiedy ma twarz zakrytą welonem i mówiła bardziej zbolałym głosem. Tym większy będzie kontrast z wybuchami temperamentu, które zagrane są nieźle". Tyle i ani słowa więcej o tytułowej roli jednego z przedstawień w Teatrze Domu Oficera. Innym przykładem braku zrozumienia dla pracy aktora niech będzie druga „cenzurka", również zacytowana w całości: „...na pewne wyróżnienie zasługuje Paweł Bem w roli starego smakosza Mieczysława (słaby na początku pierwszego aktu — tekst powinien mówić wolniej i wyraźniej))". Nie trzeba chyba dowodzić, że taki „rozbiór roli" w niczym nie pomaga ani publiczności, ani teatrowi.

Z okazji premiery „Latarni" A. Jiraska, mimo że w okresie poprzedzającym wystawienie tej sztuki teatr był zamknięty z przyczyn technicznych (przebudowa urządzeń sceny) jedynie przez dwa czy trzy dni, krytyk napisał wbrew oczywistej prawdzie: „przygotowania pozbawiły publiczność lubelską tak spragnioną teatru tej rozrywki kulturalnej na okres *kilku miesięcy*". Trudno uważać tego rodzaju informację za przejaw poczucia odpowiedzialności u jej autora. Nie warto mnożyć cytat. Wniosek i tak jest chyba dostatecznie jasny: nie wszystkie recenzje teatralne zamieszczane w prasie lubelskiej osiągają niezbędny minimalny poziom, poniżej którego w żadnym razie schodzić nie wolno. Należy uczynić wszystko, aby na przyszłość czytelnicy nie byli narażeni na błędne czy bałamutne informacje, ani na grzechy przeciw poprawnej polszczyźnie, ani na takie nieodpowiedzialne oceny pracy aktora, jak wyżej cytowane wskazówki, dotyczące wolniejszego chodzenia czy mówienia w odpowiednim akcie. Wydaje się, że w mieście o paru wyższych zakładach naukowych ten skromniutki postulat nie jest nie do zrealizowania.

Grzegorz Tadeusz Lipszyc

RECENZJE

OPOWIEŚĆ O ROMANIE ZMORSKIM

Rodzaje literackie przeżywają ewolucję. Ewolucję ogromną przeżyła od czasów Plutarcha z Cheronei biografia. Nie wchodząc w szczegóły jej historycznego rozwoju — jak działalność Bohomolca, jak Hoffmanowej *Jan Kochanowski w Czarnym Lesie* — zaznaczyć warto dwa stadia rozwojowe tego gatunku literackiego, oba z naszego wieku, znane pod wspólną nazwą *vie romancee* — stworzoną przez Andre Maurois, teoretyka tego gatunku i autora powieści biograficznych o Byronie, Shelleyu, — naprawdę jednak różne.

Pierwsze stadium reprezentowane było w Polsce w dwudziestoleciu międzywojennym przez powieści: Wołoszynowskiego *„Słowacki"*, Boya *„Marysieńka"*, Aliny Świderskiej *„Zygmunt"* i wydane po wojnie *„Żniwo na sierpie"* Hanny Malewskiej. Najwybitniejszymi pozycjami drugiego stadium są: Jastruna *„Mickiewicz"*, Hertza *„Portret Słowackiego"*, Broszkiewicza *„Kształt miłości"*. Do tego szeregu przybyła ostatnio książka znanego na gruncie lubelskim Henryka Syski o Romanie Zmorskim*).

Stadium drugie wyraźnie odcina się od pierwszego Powieści biograficzne sprzed lat kilkunastu snuły obrazy z życia wielkiego człowieka oparte na wyobraźni autora. Autorzy nie dążyli do autentyzmu w szczegółach. Rzadko też cytowano autentyczne dłuższe wypowiedzi bohatera książki; autor powieści dostrajał tylko styl wypowiedzi jego do stylu znanego z dzieł czy listów. Książki Jastruna i Hertza są czymś pośrednim między *vie romancee* a *essayem*. Hertz nawet nazwał raz swą książkę — monografią. Autorzy książek tego typu mają ambicję posługiwania się dłuższymi cytatami z listów. pamiętników, a nawet poezji swego bohatera.

Omawiana książka Syski posiada cechy charakterystyczne dla stadium drugiego.

Wybór tematu zasługuje ze wszech miar na pochwałę. Przedmiotem powieści biograficznej stał się bowiem — w przeciwieństwie do dotychczasowych dzieł tego typu — poeta minor, ale poeta niesłusznie zapomniany u nas, a przynajmniej rzadko wspominany, ważny jednak dla okresu romantyzmu, dla dziejów polskich badań i zainteresowań Słowiańszczyzną.

Opowieść o „Synu Mazowsza" napisana jest żywo i zajmująco. Syska jest utalentowanym narratorem, nie pierwszą już książkę pisze; wiele kart ostatniej jego pozycji czyta się z prawdziwą przyjemnością i zaciekawieniem. Plastycznie, z dużą siłą i realizmem opowiedział autor o młodości Romana Zmorskiego. Interesujący jest tu zwłaszcza epizod o ostatnim lirniku Warszawy i rzecz charakterystyczna — ten szczegół zanotowany przez Romana Zmorskiego i Kazimierza Wł. Wójcickiego zainteresował ostatnio nie tylko Syskę: przypomniał owego lirnika prof. Kleiner, dopatrując się w nim pierwowzoru Zoriana z *Króla Ducha*, który w I rapsodzie poematu występuje jako stary lirnik w płaszczu błękitnym **).

Okolice, z których pochodził poeta i w których spędził łata młode, opisał Syska dokładnie, by i w ten sposób młodość poety uplastycznić. Słusznie przypomniano tu nie tylko Warszawę z pierwszej połowy XIX w., ale i Cieleśnicę, w której wychowywał się Zmorski, i ruiny zamku w Białej Podlaskiej, istotnie wówczas sławnej (tu kształcił się przecież Kraszewski), i prastarą stolicę Mazowsza — Czersk, któremu Zmorski poświęcił szkic dłuższy i wiersz pt. *Na zwaliskach zamku w Czersku*, i Wyszków nad Bugiem, ze słynnym obeliskiem.

Słuszne jest pasowanie Zmorskiego na poetę Bugu, jak też i przypomnienie największego z poprzedników jego pod tym względem — Macieja Sarbiewskiego. To ostatnie jest może nawet dygresją, nie jedyną w książce Syski. Ze względów kompozycyjnych można by niektóre dygresje pominąć.

Trafnie — choć zwięźle oddana została atmosfera cyganerii warszawskiej. Na pozór dziwne się wydaje, że raz tylko (str. 86) wspomniany został — i to epizodycznie — Cyrpian Norwid, którego Zmorski znał wówczas. Pominięcie Norwida nie jest jednak zupełnie bez uzasadnienia wobec braku wzmianki o Zmorskim w dwu tomach Listów Norwida.

Peregrynacje Zmorskiego po ziemiach Polski, leżących wówczas za kordonem pruskim, odtworzone zostały starannie i trafnie. Przypomniał autor kontakty poety z ludem wielkopolskim, kaszubskim. Specjalnie wiele miejsca poświęcił pobytowi Zmorskiego na Śląsku i na Łużycach. Ta bardzo piękna karta działalności autora *Lesława* skreślona została z dużą siłą. Zwłaszcza w ustępie poświęconym pismu *Stadło* redagowanemu przez Zmorskiego zabłysnął talent Syski — narratora.

Epizodycznie — i dobrze, że epizodycznie — potraktowany został pobyt poety w Paryżu, jego kontakty z Mickiewiczem i Słowackim.

„Jeżeli szczegół dotyczący wiersza Zmorskiego *Westchnienie z oddali* i odczytanie tego wiersza Słowackiemu jest — jak wszystkie inne w tej książce — autentyczny, to szkoda, że autor nie podał dokładniej źródeł tej sceny, bo scena to piękna a przez biografów Słowackiego nie znana i nie przypomniana. Zaś przytoczone *in extenso* wspomnienie Tekli Zmorskiej o spotkaniu Romana z Juliuszem Słowackim w Dreźnie w roku 1848 — pięknie wmontowane w opowieść Syski — odgrywa tu rolę analogiczną do tej, jaką w *Portrecie Słowackiego* Hertza odgrywa spotkanie Juliusza Słowackiego z Mieczysławem Darowskim we Wrocławiu. Wspomnienie to — wydobyte z zapomnienia — może równie jak tamto przed czterema laty zostanie spopularyzowane.

Ostatnie lata Zmorskiego — siedemnaście lat bujnej działalności, wśród Słowian południowych zwłaszcza — omówione zostały zbyt krótko; należałoby ten okres życia poety opracować dokładniej.

Podkreślić należy dużą erudycję autora, opierającego się na źródłach, chociaż w przeciwieństwie do bardzo pod tym względem skrupulatnego Jastruna Syska jest liberalniejszy w traktowaniu relacji współczesnych. Jedynie o Faleńskim wypowiedział się sceptycznie, a może należałoby również krytycznie odnosić się do Aera

*) Henryk Syska *„Syn Mazowsza". Opowieść o Romanie Zmorskim*. W-wa, 1953.

**) Juliusz Kleiner, *Przyczynki do genezy wielkich kreacji poetyckich"*, *Roczniki Humanistyczne* II/III Lublin 1953.

(Adama Rzążewskiego) i Półkozica (Niewiarowskiego). Ogólnie jednak strona historyczna dzieła wypadła zadowalająco.

Jednakże autora powieści biograficznej wplatającego często do tekstu swego utworu wiersze czy nawet wypowiedzi prozaiczne poety lub współczesnych poecie obowiązuje nie tylko metoda historyczna, ale i zachowanie zasad filologicznych. Ta strona nie przedstawia się w omawianej książce zbyt świetnie. Na str. 31—32 cytuje autor wiersz Zmorskiego ogłoszony najpierw w *Przeglądzie Warszawskim* pt. *Nad Bugiem*, a później w lipskim wydaniu *Poezyj* Zmorskiego (1866) nazwany *Tęsknotą*. Wydanie lipskie to *editio ultima* Zmorskiego i to wydanie obowiązuje. Autor ma wprawdzie na swoje poparcie i to także, że wiersz ten istniał przez lat dwadzieścia sześć pod tytułem *Nad Bugiem*, że tak zapamiętał go Edward Dembowski (por. str. 194), ale też autor pisząc o tym wierszu na początku str. 33 wyraźnie rozwija motyw tęsknoty, tak znamienny dla wiersza. Nie jest więc umotywowane dostatecznie odstępstwo od tytułu *editionis ultimae*.

To zresztą szczegół drobny. Gorzej, że cytowane utwory poety zawierają błędy oczywiste dla każdego, kto przestrzega zasad rymu i rytmu. W wierszu *Powitanie* (str. 47) winno być: „święta wiara" zamiast błędnego „wiara święta"; w wierszu *Nad Wisłą* (str. 51) przekręcono zupełnie myśl zdania. Winno być:

... Czyś ją widział, gdy brzemię zimowe
Zrzuca, ze snu się budzi niecierpliwa?
Gdy, burzą grzmiącą piersi wznosząc płowe,
Wściekła, gniotące okowy rozrywa?

W pierwszym wersecie następnej strofy tego utworu przekręcono „natenczas" na „wtenczas", psując w ten sposób rytm jedenastozgłoskowca.

W wierszu *Anioł niszczyciel* (str. 54) między strofą zakończoną słowami: „Runą i pogrzebią was" i strofą zaczętą słowami: „Hej! Ludzie, ja lecę..." opuszczono dwie strofy nie zaznaczywszy tego wielokropkiem. W dalszym zaś ciągu wiersz winien brzmieć:

Hej! ludzie! ja lecę,
Ogień wszędy miecę;
Bo, by się przyjął siew nowy,
By wyczyścić pole,
By zniszczyć kąkole, —
Wyplenić plon trzeba niezdrowy.

W wierszu *Do młodego poety* (str. 57) na początku wskutek brzydkiej omyłki „piosenka" zamiast poprawnego „piosnka" przełamano tok trzynastozgłoskowca.

W wierszu *Wróżby mazura* (str. 103) popełniono dwie drobne omyłki; winno być: „...skry w ogniu trzeszczą" (zamiast „z ognia") a nieco dalej: „A same kruki, wrony..." (nie „kawki, wrony...").

W wierszu *Jaskółka* (str. 105) znów wskutek brzydkiej omyłki: „skrzydłach" zamiast poprawnego „skrzydełkach" zniekształcono rytm wiersza: dwunastozgłoskowca przeplatanego z dziewięciozgłoskowcem.

W wierszu *Na dawnym szlaku* (str. 200) również nie oznaczono wielokropkiem opuszczonych strof.

Nie jest wolne od omyłek także wspomnienie Tekli Zmorskiej przytoczone na str. 161—163. Na str. 161 w wierszu 11 od dołu winno być: „Szliśmy przez most" (zamiast błędnego: „przez miasto"). W wierszu 9 od dołu „mostu" (zamiast błędnego: „ulicy"). W ostatnim wierszu na str. 162 winno być: „na mnie" (zamiast zupełnie tu nielogicznego: „za nim"). W ostatnim wierszu relacji (str. 163), wiersz 8 od góry winno być: „nigdy" (zamiast błędnego: „więcej").

Ale i ze strony filologicznej można coś przypisać na plus dzieła: zasługą autora jest wydobycie w paru miejscach tekstu sprzed cenzury carskiej, tekstu opuszczonego w wydaniu: *Pisma oryginalne i tłumaczone* (1899) najbardziej znanym dziś a jakże dalekim od prawdziwych intencji poety. I tak na str. 67 przywrócił Syska werset:

Z czerwonych proporców błysnął orzeł biały.

na str. 103 zaś strofę:

Hej, hej! mały czy duży
Przeklina ciężki czas
I lepsze czasy wróży,
Wywróżą przecież raz.

Bogaty i interesująco dobrany jest materiał ilustracyjny.

Książkę Syski powitać należy jako pozycję ważną i potrzebną. Jeżeli jednak autor przygotuje kiedyś drugie jej wydanie — a utwory tego typu rozchodzą się szybko — (Jastruna *Mickiewicz* osiągnął już pięć wydań, Hertza *Portret Słowackiego* — dwa) — pożądane byłoby dokładniejsze omówienie ostatnich lat poety i usunięcie przytoczonych tu błędnych lekcji jego poezji.

Dotknięte tu sprawy tekstowe wskazują na to, że krytyczne wydanie poezji Zmorskiego byłoby rzeczą bardzo pożyteczną.

Jerzy Starnawski

„WIOSNA ADMIRAŁA"

W ostatnim czasie wyszła spod prasy nowa książka Michała Rusinka pt. „Wiosna admirała"*). Jest to powieść, której akcja rozgrywa się za panowania Zygmunta Trzeciego, kiedy to Polska już „nierządem stała". Granice Rzeczypospolitej były na oścież otwarte, król wikłał naród w coraz to nowe wojny, magnaci frymarczyli ojczyzną, żyjąc z krwi i potu pańszczyźnianego ludu, a szlachta wodziła się za łby pijąc i sejmując.

W tej ciężkiej, dramatycznej epoce działa bohater „Wiosny admirała", Krzysztof Arciszewski, syn gorliwego arianina, którego fanatyzm religijny doprowadził do kompletnej katastrofy majątkowej, do wyprzedania niemal całej ziemi na rzecz prokuratora Brzeźnickiego, sknery i szlacheckiego wydrwigrosza. Młody Krzysztof po sądzie w Kościanie wyjeżdża do Birż na Litwę, gdzie staje się ulubionym dworzaninem księcia K. Radziwiłła,

**) Rusinek „Wiosna admirała" — powieść — P.I.W. Warszawa 1953.*

pełniąc z jego ramienia szereg poważnych funkcji w stolicy, w wojsku i gdzie indziej, starając się zbliżyć do prostego ludu, usiłując walczyć z obskurantyzmem szlachty w imię wolności chłopa. Po wielu interesujących przejściach Krzysztof Arciszewski zrywa ostatecznie z księciem Radziwiłłem, którego przejrzał na wylot. Dla kogóż żył Radziwiłł? pytał sam siebie. „Nie dla tej ziemi, skoro mógł cierpieć, by chodzili po niej głodni, wynędzniali na jego włókach pracujący poddani

Za cóż więc bił się pod Mitawą i Rygą, nawet z konia, choć hetman, przez dwa dni nie zsiadał? Zawsze mówił, że za ojczyznę miłą. Ale jego ojczyzna to setki wsi, Birże, miast wiele i pół Litwy, a tego chłopa korzeń i kora brzozowa, którą mełł na przednowku, jak chłopi Brzeźnickiego. Jakże nędzny i splugawiony twój ród, Radziwiłłe". W ostatniej chwili Krzysztof przypomniał sobie słowa swojego ojca: „nie masz urodzenia ani poddaństwa. Nie masz mieszczanina, chłopa ani pana. Bóg wszystkich z jednej ulepił gliny. W czynie człowieka jego wielkość i chwała".

Autor z dużą wnikliwością i plastyką odmalował epokę, wczuwając się znakomicie w problemy polityczne i religijne. Z dramatycznym zacięciem maluje M. Rusinek bezwolę i tępotę króla, magnatów i szlachty w przeddzień straszliwej klęski pod Cecorą. Nawet śmierć hetmana Żółkiewskiego nie potrafiła wstrząsnąć tą bezduszną, zdradziecką masą, dla której istniała tylko prywata, tylko próżniacze życie.

W narodowej kadzi mąci prymas Gembicki trzymający Zygmunta Trzeciego wraz z jezuitami w szponach. W tych warunkach Polska jest tylko kolonią Watykanu.

Przez szkarłat i zmurszałą purpurę dostojeństwa, urojonej wielkości wyziera straszna nędza mas chłopskich i pospólstwa. Autor problem ten przedstawił w „Wiośnie admirała" z dużą siłą i prawdą, na jaką może się zdobyć tylko nieprzeciętny realista. Kiedy Krzysztof po nocnej przygodzie trafia do kuczy chłopa Łukasza, słyszy taki głos: „ani konia uchować! Jeno woły wolno, bo do sprzężaju na pańszczyznę potrzebne. Tej zimy zdarli dwa dachy z chałup za karę, że stajnie były nieopatrzone i że woły niszczeją. A latem to cztery dni na pańskim. Rządca Gruza „wyciśnie wszystko z kmiecia. Tego roku na święty Marcin wybierał od chłopów dla dziedzica ostatnie ziarno ze stodół, bo spust był zmniejszony i cena w górę szła. Toteż chłopy koło Smigla już korę z brzóz mielą". Rusinek starał się w swojej powieści o sumienne oddanie stanu gospodarczego wsi za czasów Zygmunta Trzeciego, przedstawiając życie ludu, jego niedolę i krzywdę w sposób oryginalny i nowy, bez czułostkowości czy szablonu. Dlatego obraz ten trafia do wyobraźni czytelnika. Chłop w „Wiośnie admirała" myśli, patrzy i obserwuje, po swojemu kocha ojczyznę i gotów jest jej bronić, ale zostaje odepchnięty przez zdrajców w kontuszach.

M. Rusinek stworzył w „Wiośnie admirała" całą galerię wspaniałych, krwią i życiem pulsujących postaci; począwszy od bohatera powieści Krzysztofa Arciszewskiego, a kończąc na drobnej szlachcie i obozowych ciurach. Na długo pozostaną w pamięci czytelnika sylwety starego arianina Eliasza, matki Krzysztofa, braci chłopów oraz magnatów: K. Radziwiłła i Sapiehy, rycerzy i zamachowca Piekarskiego.

Tok akcji płynie wartko pochłaniając uwagę czytelnika. Książka jest napisana z rozmachem, na jaki stać tylko utalentowanego narratora. Jednocześnie jest komunikatywna. Autor docenia walor słowa, dlatego w utworze nie ma nic zbytecznego, dłużyzn czy niepotrzebnych powtórzeń. Trzeba też zapisać na dobro autora trafność kompozycji „Wiosny admirała".

Dużo pracy i rzetelnej troski włożył M. Rusinek w język powieści. Jest on tylko zlekka archaizowany, ale bogaty, barwny, plastyczny i klarowny.

Literaturze polskiej przybyło nowe cenne dzieło, książka zakrojona na nieprzeciętną miarę, najlepsza pozycja w dotychczasowej twórczości autora „Ziemi miodem płynącej" i „Igraszek nieba".

Należałoby jednak mieć pretensję do Państwowego Instytutu Wydawniczego, że powieść M. Rusinka została wydana tak niedbale. Odbito ją na słabym papierze, pozostawiając niewiele światła. Tylko dobrze skomponowana okładka A. Uniechowskiego przedstawia się na tym tle dodatnio.

J. N. Kłosowski

„DACH NAD GŁOWĄ"

Mamy do zanotowania nową pozycję beletrystyczną, odznaczającą się niezwykłością tematyki oraz nieprzeciętnymi walorami artystycznymi — powieść D. Bieńkowskiej pt. „Dach nad głową"*). Znajdujemy tu prawdziwych ludzi wielkiej budowy, bohaterów naszego czasu. To oni, projektodawcy, inżynierowie i architekci stali się razem z brygadami murarzy i robotników twórcami nowej, wspaniałej stolicy, budowniczymi Marienszatu, MDM, Starego Miasta, Nowej Huty, kombinatów fabrycznych i całych osiedli. Najmniejsze załamanie się pracy architekta odbija się wręcz katastrofalnie na realizacji projektu. Dlatego też Biuro Projektów musi pracować w zawrotnym tempie, posługując się metodą wysiłku kolektywnego i cyklicznego współzawodnictwa.

Zespoły młodych i starszych architektów z dużym samozaparciem tworzą coraz to nowe projekty, starając się unikać koszarowości „tak bardzo charakterystycznej w przedwojennych niemieckich osiedlach, gdzie stawiano rzędami domy bliźniaczo podobne". Chodzi o to, by znaleźć własną drogę, wiodącą do realizmu socjalistycznego w polskiej architekturze, do takich rozwiązań, które najdoskonalej oddawałyby ducha dzisiejszych czasów, całą wielkość i niezwykłość epoki, w której żyjemy. „Komponujemy, mówi jedna z bohaterek „Dachu nad głową", wnętrza kolonijne utworzone przez kilka bloków mieszkalnych, z zieleńcem po środku i urządzeniami dziecięcymi. Niemały kłopot mamy z budownictwem społecznym. Trzeba mu zapewnić odpowiedni teren, przestronny i słoneczny, między zabudową mieszkaniową, albo w pasach zieleni, które jak szwy łączą

*) *Danuta Bieńkowska „Dach nad głową" „Czytelnik" 1953.*

dzielnice miasta. Wyobraźmy sobie, jak będą wyglądały przyszłe ulice, co przesłoni ich wylot, jakie perspektywy otworzą się na ich zakręcie lub skrzyżowaniu".

Na czele Biura Projektów Architektonicznych stoi dyr. Bostel, człowiek zdolny, energiczny, ale patrzący na wszystko przez pryzmat własnych, subiektywnych upodobań, trochę pięknoduch i biurokrata, wyłamujący się z ram pracy kolektywnej. Nic więc dziwnego, że w biurze panują przykre i wybitnie niezdrowe stosunki. Najzdolniejszych architektów odtrąca się i zniechęca, gdy nie potrafią zdobyć sympatii dyrektora. Taki właśnie los spotkał utalentowanego twórcę projektu Nowej Rudni, inż. Orańskiego. Za to, że szedł drogą prawdy, że nikomu nie schlebiał, odebrano mu ukochaną pracę, podważając tym samym wiarę we własne siły. Pod opieką dyrektora panoszą się reakcyjni rutyniści inż. Rączka i inż. Frankowski, hamując współzawodnictwo pracy i lekceważąc sprawę wychowania młodego narybku architektów.

Partia postanawia naprawić zło, pomóc uzdolnionym, pracowitym ludziom w walce z egoizmem, sobiepaństwem, partactwem i chorobliwą żądzą władzy. Przedstawiciel stołecznego KW mówi na jednym z zebrań aktywu: „Socjalistyczny stosunek do pracy wyprzeć musi z naszej psychiki przeżytki mieszczańskie: chęć wybicia się kosztem innych, egoistyczne korzystanie z wynalazków i usprawnień przez jednostki, które nie udostępniają ich swoim kolegom, przywiązywanie większego znaczenia do papierków niż do ludzi i problemów. Socjalistyczny stosunek do pracy nie rodzi się z dnia na dzień, wzłaszcza wśród ludzi wychowanych w innej ideologii, ale narasta stopniowo, zmieniając gruntownie psychikę człowieka. Zadaniem organizacji partyjnej jest przyśpieszenie tej przemiany".

Sprawę oczyszczenia atmosfery w Biurze Projektów partia powierza Gawrysiowi, który stara się dotrzeć do korzeni zła. W trudnej, uporczywej walce sytuacja staje się coraz bardziej wyrazna. Razem z losami inż. Orańskiego, inż. Halemby, dzielnej Oli Górzyńskiej i in. kształtuje się przyszłość naszej architektury, wzmaga jej samodzielność i rozmach. Droga do własnych, oryginalnych rozwiązań urbanistycznych, do własnego wyrazu w projektowaniu Nowej Rudni czy Ostrzynia jest otwarta. Zespół zapalonych twórców starszego i młodego pokolenia stara się wizję miast, kombinatów i osiedli zamknąć w planszy, nadając każdemu z projektów znamiona nowej epoki, cechy charakterystyczne dla realizmu socjalistycznego w architekturze. „O sile wyrazu, mówi do Ireny inż. Orański — nie decyduje ani wielkość budynku, ani bogate zdobnictwo. Rozstrzygają o tym proporcje, umiar, ustawienie w terenie, zgranie z otoczeniem, rzetelność kompozycji. Nie znoszę widoku paradnych ulic, jeśli ich zaplecze jest ubogie jak przysłowiowy kopciuszek, jeśli kosztem ozdobności fasad powstały smutne i ciasne podwórza".

Znacznym sukcesem D. Bieńkowskiej jest przełamanie przez nią schematyzmu i pokazanie żywych ludzi w walce i w działaniu, pełnych wad, przywar i słabości, ale i takich, co pokonawszy wszystkie przeszkody, śmiało zmierzają do wytknięcia celu, pragnąc, by „w Kamionce, w Nowej Hucie i Nowych Tychach, wszędzie, gdzie ludzie do siodmego potu zmagają się z trudami budowy, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem zapalało się światło w oknach nowych domów". Obok nowych domów rosną nowi ludzie, pokolenie, na którego barkach spoczywa rzadka odpowiedzialność: zbudowanie nowej stolicy i zrębów Państwa Ludowego. Tacy pionierzy, jak inż. Orański, czy Jankowski są narysowani mocno i przekonywająco, nie mówiąc już o mnóstwie innych postaci z dyr. Bostelem na czele.

Jednak najlepiej udały się autorce w „Dachu nad głową" kobiety. Wzruszające są dramaty Kasi Wojnowskiej, zakochanej w dyr. Bostelu oraz dzielnej Oli, przezwyciężającej własną słabość. Doskonale zindywidualizowane są sylwety dyrektorowej Bostelowej, inż. Orańskiej, Moniki Sulatyckiej i woźnej Duniaczki. Każda z tych kobiet jest po swojemu inna i każda prawdziwa.

Grutowne studia pozwoliły D. Bieńkowskiej na swobodne poruszanie zagadnień związanych z urbanistyką i architekturą.

Powieść jest napisana jasno, komunikatywnie. Trudno tylko zgodzić się na zakończenie książki, nie odbiegające od szablonu.

J. N. Kłosowski

KRONIKA KULTURALNA LUBELSZCZYZNY

DZIAŁALNOŚĆ LUBELSKIEGO ODDZIAŁU ZLP W 1953 R.

Rok 1953 był dla Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich okresem poważnych wysiłków organizacyjnych. Trzeba było uregulować ostatecznie sprawę uzyskanego w r. 1952 lokalu, przeprowadzić jego remont, uruchomić sekretariat, czytelnię, punkt noclegowy dla kolegów przybywających do Lublina z innych ośrodków, rozwiązać różne sprawy administracyjno-gospodarcze, uruchomić redakcję i administrację kwartalnika „Kamena", ożywić i zaktualizować pracę Koła Młodych oraz zaprojektować plan całorocznej pracy wewnętrznej i zewnętrznej. Na program pracy wewnętrznej składa się działalność dwóch sekcji, twórczości oryginalnej i przekładowej. Praca zewnętrzna to akcja literacka, której wyrazem są odczyty, wieczory autorskie i spotkania literatów ze społeczeństwem i młodzieżą.

Bilansując całoroczną działalność stwierdzić trzeba, że wszystkie zamierzenia zrealizowano, plan pracy całkowicie wykonano, a w niektórych punktach nawet przekroczono. Tak więc budżet na rok 1953 został prawie całkowicie wykonany — pozostały niewielkie uzasadnione oszczędności. Fundusze na akcję literacką nie tylko całkowicie wyczerpano, ale jej program przekroczono o kilkanaście procent. Członkowie oddziału biorący udział w akcji literackiej nie ograniczyli się do terenu Lublina, ale docierali do wszystkich miast powiatowych, do osad i wsi i do zakładów produkcyjnych. Ogółem wygłoszono ponad trzydzieści odczytów i pogadanek. Ponadto odbyło się kilka wieczorów

autorskich i kilka zbiorowych wieczorów poświęconych literaturze polskiej, radzieckiej i demokratycznych Niemiec.

Zgodnie z planem wydano wraz z obecnym cztery numery „Kameny". Z przyczyn obiektywnych poszczególne numery ukazały się z opóźnieniem.

Sprawozdania Sekcji Twórczości Oryginalnej i Przekładowej zamieszczamy poniżej.

W zakresie prac innych najważniejsze było zorganizowanie i całkowite wyposażenie sekretariatu oddziału, uruchomienie świetlicy, w której odbywają się zebrania oraz uruchomienie punktu noclegowego, z którego, jak to zaznaczono powyżej, korzystają przybywający do Lublina koledzy z innych ośrodków i członkowie innych związków twórczych.

Ilustracją ożywionej działalności Lubelskiego Oddziału ZLP są listy. W ciągu roku otrzymano 440 pism a wysłano 250.

W 1953 roku ukazały się na półkach księgarskich: „Czarna wiosna" Józefa Nikodema Kłosowskiego, „Opowiadania indyjskie" Jerzego Krzysztonia, „Bajka o rzepce" — komedia muzyczna dla dzieci Marii Bechczyc-Rudnickiej i „Wiersze z Lublina" Stefana Wolskiego. Ta ostatnia pozycja wyszła nakładem „Biblioteki Kameny". Z prac, które ukażą się wkrótce, wymienić trzeba „Trzydziesty ósmy równoleżnik", poemat o walczącej Korei, pióra Konrada Bielskiego, tom wierszy Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, poezje Zygmunta Mikulskiego i Ryszarda Liskowackiego, „Kronikę J.M.P. Woyszy", powieść historyczną Eugeniusza Gołębiowskiego i pierwszy tom cyklu powieściowego Józefa Nikodema Kłosowskiego.

Obchód Dziesięciolecia Polski Ludowej silnie absorbuje lubelskie środowisko literackie. Projektowane jest wydanie specjalnego numeru „Kameny", zbiorowej książki w ramach biblioteki „Kameny" oraz silne wzmożenie akcji literackiej. Projekty te uzależnione są jednak od uzyskania odpowiednich funduszów.

W ramach prac dla teatru wymienić trzeba napisanie przez Eugeniusza Gołębiowskiego dramatu historycznego pt. „Giordano Bruno".

Oprócz prac wynikających z działalności związku poszczególni jego członkowie współdziałali w akcjach społecznych i politycznych Frontu Narodowego. Komitetu Obrońców Pokoju, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i innych. W akcjach tych brali udział: kol. kol. Maria Bechczyc-Rudnicka, Konrad Bielski, Eugeniusz Gołębiowski, Wacław Gralewski i Kazimierz Andrzej Jaworski.

W ramach specjalnej imprezy propagandowo-artystycznej, związanej z akcją skupu zboża, uczestniczył łącznie z ekipą Artosu w dziesięciodniowym objeździe, sekretarz związku, kol. Wacław Gralewski.

Członkowie Lubelskiego Oddziału ZLP współpracują z radiem, Artosem i innymi instytucjami, mającymi na celu działalność kulturalno-artystyczną.

Na specjalne omówienie zasługuje działalność Koła Młodych. Z ramienia zarządu oddziału opiekuje się nim kol. Anna Jakubiszyn-Tatarkiewicz. Koło w 1953 roku zreorganizowano. Przeprowadzona weryfikacja wyłoniła aktyw, który energicznie rozpoczął pracę. Zebrania odbywają się regularnie raz na tydzień. Koło zorganizowało wieczory autorskie i spotkania z czytelnikami a specjalnie z młodzieżą. Utwory członków Koła Młodych drukowane były w „Nowej Kulturze", „Kamenie" itp. Znaczne natężenie pracy przewidziane jest w 1954 r.

Reasumując działalność Lubelskiego Oddziału ZLP trzeba poruszyć jeszcze jedną poważną sprawę. Jest nią tak zwane zagadnienie bytowe. Większość członków utrzymuje się z pracy, która nic wspólnego albo niewiele ma z literaturą. Dotyczy to również młodzieży, która stawiając pierwsze kroki na niwie literackiej nie znajduje terenu dla swych wypowiedzi. „Kamena" jako kwartalnik ma ograniczone możliwości. „Kultura i Życie", dodatek tygodniowy „Sztandaru Ludu", zapełniony przeważnie materiałami agencyjnymi i redagowany eklektycznie, pozbawiony jest charakteru literackiego, przy czym redakcja jego ma mało zrozumienia dla środowiska literatów. W tych warunkach powołanie do życia literackiego wydawnictwa okręgowego o charakterze przynajmniej miesięcznika wprowadziłoby sprawę na nowe tory. Zagadnienie to powinny rozważyć odpowiednie czynniki decydujące.

(g)

SEKCJE TWÓRCZOŚCI ORYGINALNEJ I PRZEKŁADÓW

Zebrania Sekcji Twórczości Oryginalnej Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich odbywały się przy dobrej frekwencji członków dwa razy miesięcznie (w czwartki) — łącznie w r. 1953 było ich 19, w tym jedno organizacyjne, związane z planem pracy, nadto zebranie nadzwyczajne — po zgonie Józefa Stalina.

8.I. Feliks Araszkiewicz: „Pozycja Zygmunta Niedźwieckiego w naturalizmie polskim".

22.I. Ustalenie planu pracy na r. 1953.

22.II. Drobne wiersze Goethego w tłum. Stefana Zarębskiego, dyskusję zagaił E. Gołębiowski.

5.III. Konrad Bielski: „38 równoleżnik" — poemat, dyskusję zagaił Kazimierz Andrzej Jaworski.

14.III. Nadzwyczajne zebranie po zgonie Józefa Stalina.

19.III. Konrad Eberhardt: Esseje „Dziwna zabawa współczesności" i „W kręgu miniatur francuskich", dyskusję zagaił K. A. Jaworski.

16.IV. Anna Jakubiszyn: Wstęp do „Turcareta" Lesage'a, dyskusję zagaił K. Eberhardt.

30.IV. Zygmunt Mikulski: Wiersze, dyskusję zagaił Stefan Zarębski.

14.V. Zbigniew Jakubik: „Wilczyn czyli samotność" — nowela. Bez zagajenia.

11.VI. Jerzy Krzysztoń: „Opowiadania indyjskie", dyskusję zagaił Z. Jakubik.

25.VI. Dokończenie poprzedniego zebrania.

10.IX. Omówienie n-ru 1—2 „Kameny", dyskusję zagaił K. A. Jaworski.

24.IX. Wacław Gralewski: Nowele („Meteor", „Dzikie kaczki", „Cień serca"), dyskusję zagaił E. Gołębiowski.

8.X. Włodzimierz Chełmicki: „Olga Boznańska" — sztuka, dyskusję zagaiła M. Szczepowska.

22.X. Józef Nikodem Kłosowski: „Czarna wiosna", dyskusję zagaiła A. Jakubiszyn.

5.XI. Zebranie poświęcone pamięci ks. Ludwika Zalewskiego. Referat F. Araszkiewicza.

19.XI. O literaturze dla dzieci, referat Czesława Janczarskiego.

3.XII. Eugeniusz Gołębiowski: „Giordano Bruno" — sztuka, dyskusję zagaił Stefan Wolski, analizę od strony teatralnej przeprowadziła Maria Bechczyc-Rudnicka.

17.XII. Omówienie n-ru 3 „Kameny", dyskusję zagaił E. Gołębiowski. *(k)*

Sekcja Przekładów, której zebrania odbywają się raz na miesiąc — z dwumiesięczną przerwą wakacyjną — zaplanowała na rok 1953 dziesięć dyskusji, w tej liczbie trzy łącznie z Sekcją Twórczości Oryginalnej. Plan został wykonany. Dyskutowano nad następującymi tematami i sprawami: Drobne wiersze Goethego w przekładzie Stefana Zarębskiego (dyskusję zagaił Eugeniusz Gołębiowski); Przekład poetycki — referat Kazimierza Andrzeja Jaworskiego; Jean Lafitte „Ceux qui vivent" w przekładzie Heleny Platta — fragment przekładu zanalizowała Maria Bechczyc-Rudnicka; „Człowiek" Majakowskiego w przekładzie K. A. Jaworskiego — dyskusję zagaił Konrad Bielski; Działalność przekładowa Bogdana Żyranika — słowo wstępne K. A. Jaworskiego; „Deutschland" Heinego w przekładzie E. Gołębiowskiego; „Opowieść o Turcji" Nazima Hikmeta w przekładzie zespołu literackiego Załoga Nr 1— dyskusję zagaił Włodzimierz Chełmicki; Pisma polityczne M-me de Staël w przekładzie Anny Jakubiszyn — słowo wstępne autorki przekładu. Na zebraniu pierwszym w r. 1953 Sekcja zaprojektowała wymienione tematy dyskusji, na zebraniu ostatnim omówiono plan pracy na r. 1954, przewidując dyskusje nad sprawami idiomów, archaizacji, dialektów, imion i nazwisk itp. kwestiami z warsztatu tłumacza oraz nad przekładami wykonanymi przez członków Sekcji. *(r)*

PAŃSTWOWY TEATR IM. J. OSTERWY

W dniu 6 grudnia lubelski Teatr Państwowy otrzymał pismo następującej treści:

„Centralny Zarząd Teatrów wyraża podziękowanie zespołowi artystycznemu, technicznemu, administracyjnemu i kierownictwu za przedterminowe wykonanie planu gospodarczego na r. 53. Jednocześnie CZT życzy Teatrowi dalszych sukcesów na polu krzewienia kultury narodowej w walce o szybszą i pełną realizację zadań Planu Sześcioletniego.

Dyrektor
Jerzy Pański

Na te słowa uznania zasłużył teatr wykonaniem rocznego planu już w dniu 30 listopada, — dając 107,5% przedstawień przewidzianych na rok 1953, z przekroczeniem również liczby widzów (104,9%).

Wszystkie grudniowe spektakle (30) były więc pracą ponadplanową. Obsłużyły one dodatkowo ok. 10.000 widzów. Takie wyniki wzmożonego wysiłku kolektywu zakwalifikowały teatr lubelski na jedno z pierwszych miejsc w Polsce pod względem osiągnięć produkcyjnych w r. ub. — sukces tym bardziej cenny, że uzyskany w trudnych warunkach pracy: przy zbyt szczupłych kadrach i z niedostatecznym wyposażeniem sceny.

Na repertuar Państwowego Teatru im. J. Osterwy w minionym sezonie (który jak wiadomo pokrywa się z rokiem kalendarzowym) składały się „Śluby panieńskie" Fredry, „Rodzinka" Jurandota, „Poemat pedagogiczny" Makarenki (wszystkie trzy sztuki w reżyserii Zofii Modrzewskiej), „Latarnia" Alojzego Jiraska (w reżyserii Jerzego Uklei — prapremiera polska), „Szkoła kobiet" Wojciecha Bogusławskiego (reżyseria Modrzewskiej), „Sześć godzin ciemności" Romana Bratnego (w reżyserii J. Uklei — prapremiera), „Mąż i żona" Fredry w reżyserii Stefana Drewicza i „Panna Maliczewska" Zapolskiej — warsztatowa praca reżyserska Mieczysława Górkiewicza.

Nadto teatr wystawił w kotarach montaż fragmentów „Człowieka z karabinem" Pogodina.

W r. 1953 grali w lubelskim teatrze państwowym następujący aktorzy: Aleksander Aleksy, Maria Ceraficka, Maksymilian Chmielarczyk, Stefania Cybulska, Aleksandra Czarnocka, Marian Czyżewski, Stanisław Dąbrowski, Stefan Drewicz, Eleonora Frenkiel-Ossowska, Stanisław Gawlik, Leon Gołębiowski, Maria Górecka, Mieczysław Górkiewicz, Juliusz Grabowski, Jadwiga Grossman, Kazimierz Iwiński, Zbysław Jankowiak, Alina Jankowska, Włodzimierz Kaniowski, Piotr Kurowski, Lechosław Litwiński, Józef Ludziński, Eugeniusz Ławski, Stanisława Łopuszańska, Mieczysław Łoza, Stanisław Maleszewski, Tadeusz Markowski, Stanisław Michalik, Stanisław Mikulski, Irena Miszke, Marian Nowicki, Stanisław Olejarnik, Halina Racięcka, Zygmunt Regro, Bronisław Romaniszyn, Irena Skwierczyńska, Ilona Stawińska, Joanna Walter i Halina Ziółkowska.

W marcu scena nasza poniosła dotkliwą stratę w osobie utalentowanego aktora b. dyrektora Maksymiliana Chmielarczyka-Cybulskiego.

Państwowy Teatr im. J. Osterwy pracuje od listopada r. 1952 pod dyrekcją Jerzego Uklei.

Prace dramaturgiczne wykonywali: Maria Bechczyc-Rudnicka (kierownik literacki), Zbigniew Bessert i Tadeusz Lipszyc.

Od strony scenograficznej opracowywał sztuki Jerzy Torończyk, oprócz „Latarni", której dekoracje i kostiumy zaprojektował Jerzy Ukleja. Ilustracje muzyczne komponował Ryszard Schreiter. Układ graficzny afiszy i programów projektował Eugeniusz Pol.

Do czołowych pracowników technicznych należą: Aniela Michońska (kierowniczka pracowni krawieckiej), Edward Klimek (kierownik brygady technicznej), Marian Marzycki (peruki), Bolesław Dziuba (światło), Stefan Kulczycki (kierownik pracowni malarskiej), Stefan Zebrowski (rekwizyty).

Aczkolwiek w r. ub. Państwowy Teatr im. Osterwy nie był placówką objazdową, kierownictwo dążyło do obsłużenia w miarę możności miast powiatowych, a nawet ośrodków wiejskich (Jabłoń i Pszczela Wola) oraz budujących się dopiero zakładów przemysłowych, jak Zawadówka i Budzyń. Przy zupełnym braku własnych środków transportowych i przy innych przeszkodach technicznych ma jednak teatr w swoim dorobku blisko 70 przedstawień poza siedzibą stałą. Osiągnięcie takie

wymagało ofiarnej postawy zespołu, ponieważ występy odbywały się nieraz w warunkach bardzo ciężkich: niektóre sceny terenowe nie odpowiadają najprymitywniejszym wymaganiom. Właściwe czynniki z Wydziałem Kultury Prezydium WRN na czele powinny dołożyć starań, ażeby sceny i pomieszczenia zakulisowe w prowincjonalnych salach imprezowych zostały doprowadzone do porządku. Przybywający zespół teatralny nie może nadal borykać się z takimi trudnościami, jak brak światła za sceną, nieogrzane garderoby itp.

Na rok 1954 przewiduje się rozszerzenie działalności objazdowej teatru lubelskiego. Teatr ma otrzymać 2 samochody i 14 dalszych etatów artystycznych. Jednak dla pełnej realizacji planów usługowych placówki niezbędne jest poparcie Wojewódzkiej Rady Narodowej w sprawach uzyskania już w pierwszym kwartale przynajmniej 14 izb mieszkalnych, uzyskania pomieszczeń na rozbudowę składów, warsztatów, garaży i powtarzamy — w sprawie właściwego przygotowania sal do występów teatru w terenie.

Poza pracą aktorską artyści Państwowego Teatru im. J. Osterwy uczestniczyli w licznych koncertach, częstokroć bezpłatnie; brali też udział w jury konkursu recytatorskiego, prowadzili rekrutację do szkół aktorskich itp. Niektórzy mają poważne osiągnięcia jako pedagodzy-instruktorzy w ruchu amatorskim. Ostatnio ponad dziesięciu aktorów zgłosiło chęć objęcia akcją instruktorską świetlic robotniczych.

Stosunek do potrzeb społeczeństwa, jaki okazuje na obecnym etapie zespół artystyczny, techniczny i administracyjny, świadczy o tym, że kolektyw Państwowego Teatru im. J. Osterwy przystąpił do pracy w r. 1954 z pełną świadomością zadań teatru w Polsce Ludowej.

(m. b.-r.)

ŚWIETLICE I DOMY KULTURY

Ostatnie dwa lata świadczą o dużym rozwoju upowszechnienia kultury. W ciągu 1952 r. powstały na terenie naszego województwa 63 świetlice gminne, w 1953 roku przybyło 33. Równocześnie z rozwojem świetlic, a nawet szybciej, powstają biblioteki gminne i punkty biblioteczne, rozszerza się sieć kin wiejskich stałych i ruchomych.

Ścieżki, którymi kultura idzie na wieś, stają się coraz liczniejsze, docierają coraz głębiej, do najbardziej zapadłych wiosek. Nie bez trudności jednak.

Zajmiemy się tymczasem jednym tylko z zagadnień ruchu kulturalno - oświatowego, jakim jest sprawa świetlic i domów kultury. Jak wygląda praca tych 96 świetlic, któe powstały w ciągu ostatnich dwóch lat?

Oczywiście trudno po kolei omawiać działalność każdej z nich, jednakże dość przejrzeć prasę codzienną czy sprawozdania Wydziału Kultury PWRN, by rzuciły się w oczy te same, uparcie powtarzające się bolączki: niedostatek fachowych kadr, należytej opieki ze strony gminnych czy powiatowych rad narodowych i komitetów PZPR, walka z naleciałościami dawnego ruchu amatorskiego spod znaku ochotniczych straży pożarnych, trudności lokalowe, brak sprzętu, instrumentów, kostiumów itp.

Brak fachowych kadr kulturalno-oświatowych szczególnie mocno zaciężył na działalności świetlic. Wprawdzie Ministerstwo Kultury i Sztuki sprawnie zorganizowało akcję szkoleniową tak, że około 80% kierowników objęło świetlice dopiero po ukończeniu kursu, albo w kilka miesięcy po rozpoczęciu pracy pojechało na kurs do Jadwisina czy Otwocka. Jednakże jednorazowy kurs nie ukształtuje od razu dobrego kierownika świetlicy. Funkcja ta jest trudna, odpowiedzialna i nie każdy się do niej nadaje. Dlatego też często zdarza się tak, że kierownik świetlicy nawet po ukończeniu kursu nie może dobrze poprowadzić swojej placówki. Odpowiedzialność za taki stan rzeczy często spada również na gminne rady narodowe czy komitety PZPR, które wysuwając ludzi na kursy nie zastanawiały się nad tym, czy kandydat nadaje się do pracy kulturalno-oświatowej. Stosowano raczej zasadę „kto się nawinie pod rękę", lub „kto się gdzie indziej nie nadaje". Wyniki takiej polityki w wielu wypadkach okazały się opłakane. Kierownik świetlicy nie wie, z której strony zabrać się do pracy.

Wiele nowoutworzonych świetlic walczy z trudnościami lokalowymi; zaczęte remonty ciągną się w nieskończoność, brak najprymitywniejszych sprzętów utrudnia pracę. Gminne rady narodowe rzadko dostatecznie żywo interesują się sprawami kultury. Przeciwnie, często zdarzają się fakty odrywania kierownika świetlicy od jego zajęć i wysyłania w teren w ramach akcji niezwiązanej z działalnością kulturalno-oświatową. Zdarzało się również, że zajmowano lokale świetlicowe na magazyny zboża, mieszkania prywatne itp.

Właściwie na palcach można by policzyć dobrze funkcjonujące świetlice. Wśród tych nielicznych wymienić należy nagrodzony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki za całokształt działalności Bełżec (pow. Tomaszów), Końskowolę (pow. Puławy) z dobrze zapowiadającym się zespołem tanecznym, Krynice (pow. Tomaszów), Bychawę (pow. Lublin), Wohyń (pow. Radzyń), Niemce (pow. Lubartów) i kilka innych.

Na ogół można stwierdzić, że praca amatorskich zespołów artystycznych rozwija się lepiej niż ruch oświatowy. Wprawdzie T.W.P., które dociera ze swymi pogadankami i odczytami nie tylko do gmin, ale i do gromad, dobrze już zasłużyło się sprawie upowszechnienia wiedzy rolniczej, ale działalność jednego T.W.P. nie wystarczy. Wprawdzie mamy takie świetlice, jak w Krzczonowie (pow. Lublin), gdzie istnieje ścisła współpraca z gminną biblioteką, jak świetlica w Łomazach (pow. bialski), gdzie sprawnie funcjonuje 20-osobowy zespół czytelniczy, ale to raczej wyjątki na tle ogólnego zaniedbania ruchu oświatowego.

Prawda, że propagandą czytelnictwa, prowadzeniem zespołów oświatowych, kół upowszechnienia wiedzy rolniczej zajmują się również, a może przede wszystkim, biblioteki gminne i punkty biblioteczne, jednak żywa współpraca świetlic jest konieczna. Konieczna tym bardziej, że zagadnienia oświatowe, a zwłaszcza upowszechnienia wiedzy rolniczej, szczególnie mocno wiążą się z tak ważną sprawą podniesienia kultury rolnej.

W akcji upowszechniania kultury na wsi decydującą rolę winny spełnić powiatowe domy kultury, jako placówki, których zadaniem jest ustawienie pracy w świetlicach gminnych na terenie powiatu. W latach 1952-53

liczba domów kultury poważnie wzrosła. W 1953 r. na budżet państwowy przeszły dwa powiatowe domy kultury (dawniej związków zawodowych) w Chełmie i Puławach, dom kultury w Białej Podlaskiej otrzymał dodatkowe kredyty i wygodniejszy lokal, otwarto nowe w Krasnymstawie, Łukowie, Włodawie i Biłgoraju. Państwo zagwarantowało tym placówkom podstawy materialnego bytu i zapewniło wyposażenie w sprzęt.

Praca domów kultury, bardziej skomplikowana i różnorodna, niż praca świetlic, rozwija się nierównomiernie. Podobnie jak w świetlicach widać przede wszystkim rozwój artystycznych zespołów amatorskich. Przy P.D.K. w Puławach dobrze pracuje, może jedyny na naszym terenie naprawdę żywotny, zespół kukiełkowy, w Białej Podlaskiej odznaczającej się licznymi i ruchliwymi zespołami — orkiestra ludowa i męski chór „Echo Podlasia", w Krasnymstawie — zespół teatralny. Oczywiście nie wymieniamy tu wszystkich zespołów istniejących przy domach kultury, tylko te, które wyróżniają się poziomem. Na ogół można stwierdzić, co zresztą wykazały czerwcowe eliminacje przed Zjazdem w Bukareszcie, że poziom artystyczny zespołów amatorskich w stosunku do lat ubiegłych podniósł się znacznie.

W lepiej funkcjonujących domach kultury: w Białej Podlaskiej, Puławach, Chełmie działalność odczytowo-imprezowa rozwija się dobrze. Domy kultury to przystanie, do których chętnie zawija „Artos", Filharmonia, objazdowe zespoły teatralne amatorskie i zawodowe, kino, prelegenci T.W.P. i in. Natomiast zespoły czytelnicze i oświatowe, podobnie jak w świetlicach gminnych, albo nie istnieją w ogóle, albo jeżeli są — to przejawiają minimalną działalność. Współpraca z powiatowymi bibliotekami na polu krzewienia oświaty pozostawia wiele do życzenia. Nie postawiono też jak dotychczas na odpowiednim poziomie instruktażu świetlic gminnych pozostających pod opieką domów kultury. Nawiasem trzeba dodać, że pewną odpowiedzialność za nieprawidłowe funkcjonowanie domów kultury ponosi Ministerstwo Kultury i Sztuki, które od dwóch lat obiecuje opracowanie statutu, na razie jednak zadowala się nie zawsze dość jasno sformułowanymi instrukcjami wytyczającymi zaledwie najważniejsze zadania domów kultury. Ten brak precyzji w formułowaniu zadań, brak właściwego rozłożenia ciężkości na poszczególne zagadnienia powoduje w rezultacie dość przypadkową działalność „od akcji do akcji". Brak systematyczności, ciągłości pracy i „zrywy" to ogólna, bardzo charakterystyczna wada świetlic i domów kultury.

W okresie zimowym praca placówek kulturalno-oświatowych bardzo się ożywia. Ożywienie to widać zwłaszcza dziś, w okresie poprzedzającym II ogólnokrajowy zjazd PZPR. I tak inicjatorką współzawodnictwa łańcuchowego stała się świetlica gminna w Bychawie. Świetlice powiatu biłgorajskiego podjęły wiele cennych zobowiązań.

Grudzień 1953 r. upłynął pod znakiem akcji sprawozdawczo-wyborczej do zarządów świetlic i rad społecznych domów kultury, mającej na celu zmobilizowanie rezerw kulturalnych naszej wsi. Włączenie do prac świetlicy inteligencji technicznej (zootechników, agronomów, mechaników), nauczycielstwa, przedszkolanek itp. znacznie rozszerzy możliwości zespołów oświatowych.

Przed nowymi zarządami świetlic i radami społecznymi stoi zadanie podniesienia wszystkich form pracy świetlicowej. Jednym z naczelnych zadań jest obecnie przygotowanie zespołów amatorskich do obchodu Dziesięciolecia Polski Ludowej. Eliminacje ich na szczeblu miejskim i powiatowym mają rozpocząć się już w marcu 1954 r.; przyniosą nam one podsumowanie dotychczasowych osiągnięć naszego amatorskiego ruchu artystycznego.

Ale nawet najwyższe osiągnięcia amatorskiego ruchu nie mogą przysłonić faktu, że praca zespołów artystycznych to tylko jedna strona właściwej działalności domów kultury i świetlic. Nie możemy zapominać o tym, że nowo powstałe świetlice to jeszcze nie ogniska kultury, ale słabe płomyczki, które dopiero trzeba rozdmuchać w płonące ogniska.

S. M.

JESIENNA WYSTAWA OKRĘGOWA PLASTYKÓW LUBELSKICH

Wystawa jest podsumowaniem osiągnięć plastyków — pozwala stwierdzić, czy środowisko rozwija się, czy też je cechuje zastój.

Gdy ostatnią jesienną wystawę okręgową plastyków lubelskich porównamy z poprzednimi, stwierdzimy, że w jej klimacie, w stosunku do przeszłości, niewiele się zmieniło. Zarówno wybór tematów, jak i rozwiązania plastyczne, nie zaskakują, nie przykuwają uwagi widza. Nie znaczy to, że środowisko lubelskie pozbawione jest talentów, że możliwości jego są ograniczone. Tylko... Właśnie nad tym „tylko" należy się zastanowić, należy je dobrze naświetlić. Zanim to uczynimy, zwróćmy uwagę na kilka szczegółów. Pierwsze spostrzeżenie, jakie nasuwa się po wejściu do sali wystawowej, dotyczy rozmiaru obrazów. Są niewielkie. Można by z miejsca ukuć kalambur, że jest to wystawa małoobrazkowa. Tylko dwie prace, Pakulskiego i Waleszyńskiego, z jednego boku przekroczyły metr (88 na 118 i 84 na 103). Najmniejszym obrazem olejnym jest pejzaż Miłosiowej (20 na 28). Inne prace ograniczają się przeciętnie do rozmiarów 30 cm na 60 cm.

Drugie spostrzeżenie dotyczy tematów. Na 67 pozycji mamy 23 pejzaże oraz 10 prac o tematach zbliżonych do pejzażu. Powiązanie z obecną rzeczywistością i dokonanymi przemianami widać na wystawie tylko w niewielu pracach. Są to: „Fabryka Samochodów Ciężarowych (sangwina Podciechowskiego), „Hutnik" (linoryt Pola), „Głowa robotnicy" (olej Romualda Kononowicza) i „Pieśń Pokoju" (tusz Władysława Żurawskiego).

Sentyment malarzy do Kazimierza Dolnego wyraża się szeregiem obrazów dotyczących jego odbudowy i związanych z nim pejzaży.

Widocznie brak zamówień indywidualnych czy społecznych uniemożliwia plastykom lubelskim malowanie portretów i nie daje im okazji do wykazania swych umiejętności w tej dziedzinie. Jedyną tego typu pracą z modela jest... autoportret Stanisława Brodziaka. Obrazy takie, jak „Karol Marks" Pakulskiego czy „Gen. Świerczewski" Filipiaka, mają charakter studiów portretowych o charakterze historycznym i konwecjonalnym.

Dalsze spostrzeżenia dotyczą techniki malarskiej. Przeważają zdecydowanie obrazy olejne w ilości czterdziestu ośmiu. Obok nich znalazły się tylko trzy akwarele, dwie tempery, jedna sangwina, dwa linoryty, dwa tusze i pięć drzeworytów. Rzeźbę reprezentowały trzy eksponaty, Gosławskiego i Pudełki, a metaloplastykę znane szeroko w Lublinie wyroby ze srebra Joanny Szydłowskiej.

Z zestawienia tego wynika, że specjalizacja plastyków lubelskich jest jednokierunkowa. Brak na wystawie prac rysunkowych jest niewątpliwie poważną luką.

I jeszcze jedno. Gdybyśmy chcieli na dorobek lubelskich plastyków spojrzeć z punktu widzenia kierunków malarskich, to musielibyśmy ocenić ją jako postimpresjonistyczną.

Spostrzeżenia, jakie nasuwa wystawa, powiązać trzeba z wypowiedziami podczas dyskusji zorganizowanej przez zarząd lubelskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Wzięli w niej udział lubelscy historycy sztuki, przedstawiciele organizacji twórczych i społeczeństwa. Padło podczas niej wiele stwierdzeń, które rzucają światło na warunki, w jakich lubelscy plastycy pracują, a które w dużej mierze wpływają na ich osiągnięcia. Tak więc okazuje się, że w Lublinie do chwili wystawy nie było ani jednej pracowni malarskiej. Izba, w której odbywały się praktyczne zajęcia w zakresie rysunku, została zabrana przez władze kwaterunkowe. To tłumaczy rozmiar obrazów widzianych na wystawie. Malowane są one „pokątnie", to znaczy w jakimś ciasnym kącie mieszkania. Nadzieja na polepszenie warunków lokałowych, uzyskanie obszernego pomieszczenia na zbiorową np. pracownię malarską jest niewielka. Wynika z tego, że sprawa budowy w Lublinie Domu Pracy Twórczej, w którym pomieszczenie znalazłyby wszystkie związki twórcze, jest bardzo aktualna.

Niezwykle żywo omówiono podczas dyskusji sprawę kierunku socrealistycznego. Kierunek ten wymaga długich i dokładnych studiów. Wyżycie się w kolorze jest łatwiejsze, dlatego wielu malarzy skłania się ku tematom impresyjnym. Martwa natura czy pejzaż dadzą się opracować w ciągu kilku czy kilkunastu godzin, podczas gdy kierunek socrealizmu wymaga długiej i wnikliwej pracy przygotowawczej, powtórnego niemal uczenia się rzemiosła, szukania nowych metod pracy itp.

Jeśli się weźmie pod uwagę, że obok warunków mieszkaniowych również i warunki bytowe naszych malarzy są trudne (wszyscy oni muszą mieć uboczne prace często odbiegające od ich zawodu, gdyż malarstwo nie daje im całkowitego zaspokojenia potrzeb materialnych), to ucieczki na „łono natury" stają się zrozumiałe. Ci, co chcą uczynić zadość zamówieniu społecznemu, często idą po linii słabszego oporu i chwytają się wyrozumowanego tematu, bo liczą, że za jego opracowanie mogą dostać nagrodę. Te schematyczne chwyty tworzą namiastkę właściwego kierunku.

Problem więc dania malarzom lubelskim właściwej bazy materialnej i oderwanie ich od niewłaściwych zajęć, które pochłaniają im czas, jest doniosłym problemem kulturalno-społecznym. Trafne jego rozwiązanie da w efekcie dobre malarstwo, które należycie wypowie się w swych pracach.

Gdyby, wracając do wystawy, trzeba było wyróżnić najlepsze spośród nadesłanych obrazów, to wymienić należy prace Józefa Abramowicza, Stanisława Brodziaka, Władysława Filipiaka, Jana Karmańskiego, Zenona Kononowicza i martwe natury Eugeniusza Waleszyńskiego.

Obecnie malarze lubelscy przygotowują się do uczczenia Dziesięciolecia Polski Ludowej. Prace z tego zakresu zobaczymy na następnej wystawie.

W. G.

WYSTAWA PRAC STANISŁAWA NOAKOWSKIEGO

Poważnym wydarzeniem kulturalnym była w Lublinie wystawa prac Stanisława Noakowskiego. Złożyły się na nią prace z okresu 1882—1918, to jest z lat pobytu Noakowskiego w Rosji, a później w kraju 1919—1928, tak zwany „cykl pomorski" i wreszcie osiemnaście fotografii słynnych rysunków kredowych. Wiadomo, że podczas wykładów Noakowski rysował kredą na tablicy fragmenty konstrukcji architektonicznych — efemeryczne arcydzieła swego genialnego kunsztu. Była to twórczość jedyna w swoim rodzaju. Niestety, te setki i tysiące kredowych wizji przepadły nieutrwalone we właściwym czasie. Część ich, po powrocie Noakowskiego do Polski, kiedy rozpoczął on wykłady na Politechnice Warszawskiej, sfotografował Czesław Olszewski. Jemu to zawdzięczamy oglądanie jakże urzekających tworów kapitalnej fantazji Noakowskiego. W Lublinie mieliśmy możność oglądać osiemnaście takich plansz.

Ogółem na wystawie pokazano 99 prac ilustrujących bogatą puściznę dzieł wielkiego twórcy. Pewnego rodzaju artystyczną sensacją wystawy był cykl „Bramy Wolności", składający się z siedmiu prac, wystawionych w Lublinie po raz pierwszy w Polsce. Tematem cyklu są fantazje architektoniczne będące szkicami projektów łuków i bram tryumfalnych wyczarowanych z motywów polskich.

Na otwarciu wystawy w sali Muzeum Lubelskiego, wysłuchano interesującego referatu mgr inż. Tadeusza Witkowskiego, próby charakterystyki twórczości Stanisława Noakowskiego.

Niestety, ta niezmiernie ciekawa wystawa trwała b. krótko, bo zaledwie kilka dni i to w okresie przedświątecznym i świątecznym. Zasługę jej zorganizowania przypisać należy inż. Tadeuszowi Witkowskiemu, inicjatorowi wystawy, który z wielką energią pokonał duże trudności i zdołał uzyskać eksponaty od Muzeum Narodowego i prywatnych właścicieli. Na osobne podkreślenie zasługuje piękny katalog, zawierający zdjęcia dzieł i portret Noakowskiego.

(w)

PROJEKT DOMU PRACY TWÓRCZEJ

W grudniu ub. r. odbyło się w Państwowym Teatrze im. J. Osterwy zebranie przedstawicieli instytucji kulturalnych i związków twórczych, na którym omawiano

projekt budowy Domu Pracy Twórczej w Lublinie. W gmachu tym przewiduje się lokale dla Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, dla Okręgu Związku Plastyków, Oddziału Związku Architektów, Związku Kompozytorów, Związku Dziennikarzy, Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu, Oddziału Związku Zawodowego Pracowników Kultury i dla Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Nadto zaprojektowano salę odczytowo-estradową na 300 osób, salę konferencyjną na 100 osób, bibliotekę i czytelnię, klub, stołówkę, pracownie malarskie i rzeźbiarskie oraz 30 pokojów gościnnych.

Myśl podjęcia takiej budowy znajduje zrozumienie w Zarządzie Głównym Związku Zawodowego Pracowników Kultury, w Centralnym Zarządzie Teatrów, jak również w Prezydiach Wojewódzkiej Rady Narodowej i Miejskiej Rady Narodowej. Władze miejskie przyrzekły oddać na ten cel odpowiedni plac, a wojewódzki Oddział SFOS zadeklarował przekazanie na potrzeby budowy kwoty 300.000 zł po uzyskaniu przez inicjatorów równej sumy ze zbiórki publicznej zorganizowanej pod egidą SFOS.

Powstanie Domu Pracy Twórczej, który niewątpliwie przyczyni się w dużym stopniu do rozwoju życia kulturalnego w Lublinie, będzie jednym z osiągnięć uświetniających Dziesięciolecie Polski Ludowej.

(r)